



SHARON OWENS



*To musi być
miłość*

Rozdział 1

Niewyparzony język znowu w akcji

Było wpół do dziewiątej w mroźny piątkowy wieczór grudniowy. Kiedy Sara wyszła ze stacji metra, w przenikliwie zimnym powietrzu koniuszek jej nosa zaczerwienił się i zdrętwiał. O tej porze roku zawsze zaskakiwała ją nagła zmiana temperatury. Pośpiesznie ruszyła ulicą ku ładnie udekorowanemu wejściu do swojej kamienicy. Wbiegła na trzecie piętro (zwykle było to jej jedyne ćwiczenie w ciągu dnia) i już była prawie u celu. Ale zaraz, gdzie posiała klucze z breloczkiem w kształcie zielonego jabłuszka?

- Kochanie, wróciłam! - zawołała wesoło, chociaż wiedziała, że nikt nie odpowie.

Jej narzeczony Mackenzie przez cały rok mieszkał w maleńkiej wiosce Glenallon (na wschodnim wybrzeżu Szkocji, około czterdziestu minut jazdy z Edynburga), zajmując się swoją posiadłością. W roku 1776 nadano jej romantyczną nazwę Ostowy Puch, choć w istocie miejsce było surowe i wietrzne. Trzypiętrowy gotycki dwór miał trzy wieżyczki, cztery gargulce oraz zabytkowe, wybijane ćwiekami i pomalowane na czarno drzwi wejściowe. Usadowiony na krawędzi klifu Sarze wydawał się nieco przerażający. Ale Mackenzie był dumny ze swojego domu i lubił życie na wsi, a ponieważ Sara kochała go z całego serca, nie wątpiła, że z czasem jej nastawienie do Ostowego Puchu się zmieni.

Na razie adres w dobrej dzielnicy Londynu był o wiele miłszym miejscem do życia, a nowoczesne meble też zapewniały większą wygodę.

Na końcu ulicy znajdował się niewielki Marks & Spencer, dwa rewelacyjne butiki mieściły się tuż za rogiem. Mieszkanie stanowiło część spadku, który Mackenzie otrzymał po śmierci ojca. Sara mieszkała tu przez ostatnie trzy lata, ściśle mówiąc - od zaręczyn. (Byli ze sobą od pięciu lat.) Mackenzie przyjeżdżał do Londynu, kiedy tylko mógł, ona natomiast prawie w każdy piątek odwiedzała go w Ostowym Puchu. Ale przy tej miłości na odległość czasami czuła się samotna, dlatego

miło było udawać, że kiedy wraca z pracy do domu, Mackenzie kręci się po kuchni, śpiewa pod prysznicem albo siedzi w ulubionym fotelu i czyta wieczorną gazetę.

Sara postawiła torebkę z czarnej skóry na stoliku w przedpokoju i włączyła elektryczne grzejniki. Ponuro przyznawała, że jedyną wadą wysokich pokoi jest to, iż zimą człowiek ciągle się trzęsie w niedogrzanych pomieszczeniach.

Wyczerpał ją dzień spędzony na fotografowaniu: pierwszym obiektem była potrawka z jagnięciny i kluseczki w misie błękitnej jak kacze jajo, potem przyszła kolej na fantastycznie wysoki biszkopt wysadzany srebrnymi kuleczkami i posypany cukrowymi płatkami róży. Sara była zawodową fotograficzką, obecnie pracowała dla eleganckiego magazynu kulinarnego. Jej najlepsza przyjaciółka Abigail takie wydawnictwa nazywała „gastropornografią”. Dania, jakich większość ludzi nie jest w stanie przyrządzić, nawet gdyby ktoś zadał sobie trud zgromadzenia długiej zwykle listy składników, prezentują w domach, na jakie większość ludzi nie może sobie pozwolić albo z braku talentu nie potrafi podobnie urządzić.

- Cała butelka drogiej sherry? - zauważyła raz Abigail.

- Po to, żeby dodać jedną łyżkę stołową do potrawy? Przecież to szaleństwo. A poza tym kto pije sherry? I kto ma dodatkową łyżkę z długą rączką? I to srebrną, na litość boską?

- Nie zwalaj winy na mnie - odparła wtedy urażona Sara.

- Ja tylko robię zdjęcia. Wykonuję rozkazy.

- To samo powtarzał pułkownik Paul Tibbets.

- Kto?

- Pilot „Enola Gay”, człowiek, który zrzucił bombę atomową na Hiroszimę.

- Mądrała!

Abigail zawsze była tą mądrą. Pracowała jako psycholog kliniczny w jednym z najlepszych szpitali w Londynie, prowadziła terapię ludzi w depresji, zagubionych, ze złamanymi sercami. Abigail nie musiała przed nikim udowadniać, że jej praca jest Ważna. Nikt nie stroi sobie żartów z psychologów klinicznych.

Cóż, już niedługo przestanę pracować w branży gastroporno, pomyślała Sara wesoło. Ponieważ w Wigilię Sara Quinn, lat trzydzieści, zawodowa fotograficzka i zagorzała wielbicielka mody, zrezygnuje ze swej wspaniałej kariery w mediach,

przeprowadzi się do Szkocji i poślubi Mackenziego Campbella, posiadacza ziemskiego i cudownego, sporo starszego od siebie mężczyznę. Włoży suknię z kremowej satyny ozdobioną rzędem obciążanych guziczków na plecach, w której babcia Ruby brała ślub, i będzie niosła ogromny bukiet kremowych róż przeplatanych bluszczem. Po raz pierwszy w życiu z radością zamieni wygodne buty do kostek na aksamitne czółenka. Już odliczała dni, wręcz godziny, dzielące ją od uroczystości.

Kiedy poznała Mackenziego na sesji fotograficznej w Ostowym Puchu (przedstawiającej Fine Foods, jego małą firmę wyrabiającą sery i dżemy), od razu beznadziejnie się w nim zakochała. Był wysoki, barczysty, bardzo przystojny ze zmierzwionymi jasnymi włosami przetykanymi siwizną i błyszczącymi niebieskimi oczami. Jego pierwsza żona, piękna Jane, przed laty zginęła w wypadku samochodowym; spodziewała się wtedy ich pierwszego dziecka. Wszystko to było szalenie tragiczne i smutne, ale Mackenzie niechętnie o tym mówił. Sara szanowała jego prywatność i nigdy nie pytała o Jane, po ślubie pragnęła jednak się nim opiekować, tak jak on zawsze opiekował się nią, i urodzić mu co najmniej jedno dziecko. Może dwoje lub nawet troje. Wtedy Mackenzie nie będzie ostatnim z Campbellów mieszkających w Ostowym Puchu. (Dwór należał do rodziny od siedmiuset lat.) Sara każe na ścianach pokoju dziecinnego wymalować pastelowe murale przedstawiające połączone drzewa i wstawi ogromną kołyskę z grubymi zasłonkami, które chronić będą maleństwo od przeciągów. Będzie najlepszą w świecie matką.

A skoro o tym mowa, trzeba przyznać, że matka Mackenziego, Millicent, była cokolwiek żółwowata. No i mieszkała z synem w dworze. Niestrudzona, zawsze coś robiła. Nigdy nie usiadła, nigdy nie odpoczęła. Sara natomiast była dziewczyną z Londynu, która nie umiała gotować, szyć ani zajmować się psami, a Mackenzie miał sześć medalowych niemieckich wyżłów. Prawdę mówiąc, dla Sary prowadzenie posiadłości z wielkim domem, stadem mlecznych krów i małą firmą wciąż było czarną magią. Ale to drobiazgi. Szybko we wszystkim się połapie.

- Szybko się połapie - powiedziała do siebie, zdejmując buty. - Dobra, najpierw drink, potem zamówię pizzę.

W mieszkaniu panowały ciemność i cisza, od której dzwoniło w uszach. Sara weszła do wspaniałego salonu, zdjęła płaszcz i szal w groszki, po czym z orzechowego barku wyjęła wielki kieliszek i butelkę merlota. Przed wyjściem do pracy zapomniała podnieść żaluzje i teraz w salonie było zimno, a w powietrzu unosiła się atmosfera opuszczenia, typowa dla niewietrzonych przez cały dzień pomieszczeń. Ściany pomalowane były na ciemny szarobłękitny kolor, nad kominkiem wisiało wielkie lustro w ramach z żywicy. Z ulicy dobiegał warkot przejeżdżających samochodów, niecierpliwe klaksony, a czasami gniewne krzyki na tych kierowców, którzy mimo zaostrożonych przepisów wciąż decydowali się na podwójne parkowanie przed ulubionymi sklepami. Sara posłała całusa stojącemu tyłem fotelowi Mackenziego i opadła na sofę. Otworzyła wino i nalała ostrożnie do kieliszka. Nie chciała pochłapać poduch z czerwonego brokatu.

- Wychodzę za mąż - powiedziała, unosząc kieliszek do swego odbicia w pięknym, srebrzystym lustrze. - Naprawdę wychodzę za mąż. Taka staruszka jak ja, kto by pomyślał?

To było szalenie podniecające. Musiała z kimś porozmawiać, raz jeszcze omówić wszystkie dziewczynskie szczegóły. Postanowiła zadzwonić do Abigail. Piątki w klinice były jej dniami „administracyjnymi” i istniała szansa, że Abigail nie będzie zbyt zmęczona na porządną, długą rozmowę o ozdobnych pudełeczkach zapalek oraz maleńkich różowych puzderkach z migdałami w cukrze.

Ale nikt nie odbierał w eleganckim dwupoziomym mieszkaniu Abigail w Chelsea. Pani psycholog nieraz mawiała, że w każdej chwili mogłaby kupić sobie coś większego, jednakże nade wszystko ceniła sobie prywatność, a jej dzielnica należała do ekskluzywnych dzięki starym drzewom i zgranej społeczności znających się od lat mieszkańców. Sara rozłączyła się i wybrała numer komórki.

- Halo? Sara? Przepraszam, chyba się zdrzemnęłam - wymamrotała Abigail, ziewając. - Boże, ale ten sygnał jest głośny. Muszę wreszcie dojść, jak się go ścisza.

- Cześć. - Sara miała wyrzuty sumienia, że przeszkadza przyjaciółce w odpoczynku. - Nie chciałam cię budzić.

- Nic się nie stało, i tak jeszcze się nie położyłam. Co u ciebie?

- Och, wszystko w porządku, tylko przyszła mi ochota na pogawędkę. Dzisiaj jestem sama w domu. A ty jesteś zajęta?

- Nie w tej chwili! Leżałam na sofie brzuchem do góry i czekałam, aż w telewizji zacznie się jakiś przyzwoity program. Więc nie jedziesz do Mackenziego? Tylko mi nie mów, że znowu gdzieś posiałaś tiarę? - To była cała Abigail, ciągle żartowała ze snobistycznego narzeczonego Sary i jego szlacheckiego stylu życia.

- Cha, cha. Nie, po prostu byłam zbyt zmęczona, żeby jechać, ostatnia sesja strasznie się przeciągnęła. Nie chodzi mi o nic szczególnego, chciałam tylko pogadać o ślubie. Wiem, że mam kompletnego bzika na tym punkcie, ale proszę, dopieść mnie. Kupiłaś już tę spinkę do włosów z górskiego kryształu? No wiesz, tę, którą widziałas w sklepie ze starociami w Notting Hill?

- Jeszcze nie, ale kupię. Pójdę tam jutro z samego rana.

- Bo wiesz, do ślubu zostały tylko trzy tygodnie, a ty jesteś moją druzną i jeszcze nawet nie kupiłaś butów. Będę musiała do twojej sprawy zaangażować Wielką Millie.

- Bardzo śmieszne.

- O tak, Wielka Millie doprowadzi cię do porządku. Powiem jej, żeby o północy przez szparę pod drzwiami wśliznęła się do twojej sypialni i przeraziła cię śmiertelnie.

Obie jak nastolatki wybuchnęły śmiechem. Millicent Campbell bez kapelusza miała metr osiemdziesiąt osiem wzrostu i była bardzo, bardzo koścista. Sara i Abigail w tajemnicy nazywały ją Wielką Millie. W rozmowach z przyjaciółką Sara żartowała, że gdyby w Fine Foods zabrakło kiedyś noży, mogą wykorzystać Wielką Millie do krojenia serów.

- Więc nie przytyła na świątecznych przysmakach? - zapytała ze śmiechem Abigail.

- Nie, nawet w tweedach wciąż będzie dość chuda, żeby przeciąć cheddar - wykrztusiła Sara.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć ją na żywo! (Abigail nie poznała jeszcze Millie, choć widziała ją na zdjęciach.)

- Wielka szkoda, że jest już za późno, żeby zaangażować ją do „Harry'ego Pottera” - roześmiała się Sara. - Z długimi białymi włosami, w sukni do kostek

pasowałyby jak ulał. Nie wspominając już o tym, że w starych zamkach czuje się jak u siebie. Biega po schodach jak pantera, całkiem bezszelestnie. Nigdy nie wiesz, gdzie jest, skręcasz za róg i proszę, Wielka Millie odkurza poroża jelenia, jakby się paliło. Lepiej uważaj na to, co mówisz, kiedy przyjedziesz do Ostowego Puchu, dobrze?

- Będę. Przyrzekam, że będę zachowywała się najlepiej, jak potrafię.

- Mówię szczerze, Abigail, kiedy poznasz Wielką Millie, przestraszysz się. Na żywo jest bardziej przerażająca niż na zdjęciach. I patrzy na człowieka tak, jakby czytała w myślach.

- Och, ale jesteś podła!

- Tak. Wiem, że jestem trochę oszołomiona, ale to z podniecenia. Chciałabym, żeby ślub był jutro rano. Chciałabym w tej chwili być kościele. Chciałabym, żeby Wielka Millie odfrunęła na swojej miotle i zostawiła mnie i Mackenziego samych w domu.

- Hej, tylko nie męcz za bardzo tego biedaka, dobrze? Pamiętaj, niedługo skończy pięćdziesiątkę. Nie chcemy, żeby wyciągnął kopyta, zanim w kołyskach zakwilią dziedzic i zastępca.

- I kto teraz jest podły? Mackenzie jest w doskonałej kondycji. Och, poczekaj tylko, aż usłyszysz, co dzisiaj wydarzyło się w pracy. Zapomniałam ci o tym powiedzieć. Pod koniec zdjęć wyszłam z pokoju, żeby wymienić sprzęt, i Eliza wrzuciła czekoladowego penisa do potrawki. A potem, jak wróciłam i zobaczyłam ten penis sterczący pomiędzy kluseczkami, zrobiła mi zdjęcie. Powiedziała, że dzisiaj wieczorem umieści je na MySpace. Wyglądam na nim strasznie, oczy dosłownie wyszły mi z orbit.

- Ojej, muszę to zobaczyć!

- W sumie cała sprawa była niesmaczna i wulgarna, ale umieraliśmy ze śmiechu. Eliza jest niesamowita, no nie? Co prawda pracuje z nami dopiero od roku, ale cieszę się, że ją poprosiłam, żeby została moją drugą druhną. Urządzimy rewelacyjny jubel w wieczór panieński w Ostowym Puchu.

- Posłuchajcie Irlandzką Miss Londynu! Rewelacyjny jubel, też coś. Nasi rodzice może i byli Irlandczykami, ale ty i ja urodziłyśmy się i wychowałyśmy w Londynie, moja panno!

- Wiem o tym. Chcę cię tylko poinformować, że wprowadzam się w celtycki nastrój. Żeby się przygotować do bliskiej przeprowadzki do Szkocji.

- I słusznie. Ale w Szkocji nie mówią „jubeł”, tylko inaczej... och, jak tam mówią?

W sumie to była bardzo przyjemna pogawędka: dwie przyjaciółki żartujące w spokojny piątkowy wieczór.

Szkoda tylko, że Mackenzie znajdował się kilka kroków od Sary i słyszał niemal każde słowo. To nie była jego wina, że zasnął w fotelu, prawda? A potem obudził się w samą porę, żeby usłyszeć kpiny ze swojej matki. Bez uprzedzenia, spontanicznie przyjechał do Londynu, żeby zabrać Sarę na kolację. Od świtu pracował na farmie, Sara spóźniała się z pracy, więc czekając na nią, wypił kilka drinków i zasnął w fotelu. Teraz da jej znać o swojej obecności. Sara pewnie dostanie ataku serca. Kaszląc cicho, przechylił się przez oparcie fotela i przepaszająco pomachał.

Jak było do przewidzenia, o mało ze strachu nie zemdlą. Kieliszek wypadł jej z rąk, czerwone wino rozchlapało się na dywan. Szybko wyłączyła telefon, nie pożegnawszy się z Abigail.

- Co się stało? - zapytała bez tchu, obie dłonie przyciskając do ust w geście szoku i głębokiego zakłopotania.

- Witaj, Saro.

- Mackenzie, o mój Boże, co ty tu robisz?

- Przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć, bo z jakiego innego powodu byłbym w mieście? Ślub już niedługo i nie chciałem, żebyśmy spędzali ten weekend osobno, to wszystko. I nie miałem zamiaru podsłuchiwać twojej rozmowy, tylko... no cóż, nie mogłem się powstrzymać. Była taka interesująca.

- Posłuchaj, bardzo mi przykro - powiedziała Sara. - Przepraszam za to, co mówiłam o Wielkiej Millie. To znaczy Millicent. Żartowałam, Mackenzie, wcale tak nie myślę. Chyba nie sądzisz, że mówiłam poważnie, prawda? To tylko była zabawa.

- Nie przejmuj się, to nie ma znaczenia - odparł, uśmiechając się do niej czule. Ale to miało znaczenie.

Rozdział 2

W moim domu mieszka duch

Abigail odsunęła blond grzywkę z oczu i wygładziła zmarszczkę na sukni z czerwonego aksamitu, która idealnie odsłaniała rowek między piersiami i ładnie układała się na bujnej figurze.

- Dziewczyny, dziewczyny, czy któraś może ściszyć tę muzykę o dwie kreski? - zapytała głośno, podając siedmiu kobietom wysmukłe kieliszki z musującym szampanem. - Dzięki, Elizo. Tylko tyle Slade'ów da się jakoś znieść. A teraz czy mogę prosić o uwagę? Dziękuję. Ehm. Proponuję toast za Sarę Quinn, największą szczęściarę w dziejach! Kieliszki w górę!

- Zdrowie! - odpowiedział jej donośny chór.

- Zdrowie! Tak, za naszą słodką Sarę. - Abigail mrugnęła do przyszłej panny młodej, by pokazać, jak wszystkie cieszą się z jej szczęścia. - Gratulacje za usidlenie najbardziej pożądanego, a dodam, że też najprzystojniejszego kawalera Szkocji, Mackenziego Campbella! Niechaj Sara nigdy nie zapomni o wiernych przyjaciółkach, czyli nas, nawiasem mówiąc, kiedy będzie królowa w Ostowym Puchu. Wszystkiego najlepszego dla Sary i Mackenziego! Niech w wielki dzień wszystko potoczy się jak trzeba. I przy okazji: za Wigilię! Hip, hip, hurra!

- O tak! - krzyknęły wszystkie, usiłując klaskać z wysmukłymi kieliszkami do szampana w dłoniach.

- Dziękuję wam, wariatki. - Sara uśmiechnęła się, powstrzymując łzy wdzięczności. - Bardzo dziękuję, że przyjechałyście tu dzisiaj ze mną z Londynu, i dziękuję, że towarzyszyście nam obojgu w tych cudownych chwilach. Zdrowie!

- O tak! - powtórzyły i któraś znowu podkręciła muzykę.

Do Wigilii pozostały trzy dni, nad klifami wiał przenikliwie zimny wiatr, jęcząc straszliwie w podnoszonych oknach, bezlitośnie szarpiąc obłuzowaną w zawiasach drewnianą furtkę, za którą były schody prowadzące na plażę; bramka bez ustanku otwierała się i zamykała. W wieczornej prognozie pogody zapowiadali opady śniegu,

najbardziej obfite na wybrzeżu, przez co wioski i osady położone w trudno dostępnych miejscach mogą zostać odcięte od świata, kiedy chwyci mróz. Ale Sara się tym nie przejmowała. Serce jej śpiewało ze szczęścia, ponieważ wszystko czego potrzebowała, znajdowało się w tym domu. W Ostowym Puchu. No, z wyjątkiem jej rodziców, ale i oni tu dotrą, co do tego nie miała wątpliwości. Byłe zamieć nie przeszkodzi państwu Quinnom wziąć udziału w ślubie jedynaczki. Czyli wszystko jest na miejscu, nawet pastor, niezwykle miły i łagodny wielebny James Alexander. Ze swoją uroczą żoną Susan i dwoma ślicznymi pieskami wpadł na przedślubną rozmowę z Mackenzie i Sarą, a Millicent zaprosiła ich na kolację. Wielebny i jego żona siedzieli teraz w oficjalnym salonie na parterze, w towarzystwie Millicent popijając gorące porto i przegryzając paszteciki.

Mackenzie i jego przyjaciele urządzili sobie wieczór kawalerski w obszernej kuchni na tyłach domu, natomiast Sara na wieczór paniński anektowała salonik na piętrze. Dziewczyny planowały pojechać do pubu we wsi na konkurs karaoke, ale ze względu na prognozowany śnieg postanowiły zostać w domu i dobrze się bawić we własnym gronie.

Sara znowu spojrzała na piękną złotą bransoletę, którą Mackenzie dał jej w prezencie ślubnym. Bransoleta ładnie otulała jej przegub, połyskując tysiącami maleńkich żółtych refleksów. Zaledwie tydzień temu Mackenzie powiedział Sarze, że zawsze będzie ją kochał.

Nawet Wielka Millie, która uwielbiała jedynaka i otaczała go wielką troską, obecnie wobec Sary była wyjątkowo miła, choć na początku znajomości przez długi czas zachowywała dystans. Przypuszczalnie wątpiła w przywiązanie Sary do Mackenziego i Ostowego Puchu, ale teraz należało to już do przeszłości.

Odtąd Mackenzie będzie blisko Sary całymi dniami - i to było najlepsze. Będą razem prowadzić posiadłość i rodzinną firmę. Fine Foods miało nawet własne logo: wieniec z fioletowego ostu owinięty wokół sylwetki byka. Mackenzie eksportował na cały świat swoje produkty w wiklinowych koszykach wyłożonych materiałem w szkocką kratę. (Emigranci wprost za nimi szaleli.) Będzie mógł wpadać do domu na kawę i pieścizoty przy piecu, kiedy tylko zechce. Wszystko było po prostu idealne. Sara z czystej radości zaplotła ręce na piersiach. Abigail zobaczyła, jak przyjaciółka

uśmiecha się do migotliwych płomieni (w kominku płonął przytulny ogień) i żartobliwie ją szturchnęła.

- Dajże spokój - powiedziała, udając gniew na dziewczynę, którą znała od pierwszej klasy podstawówki. - Zostaw trochę szczęścia także dla nas. Przestań śmiać się do siebie i poświęć choć jedną myśl samotnym starym pannom.

- Masz rację - zgodziła się druga drużna Sary, nagradzana stylistka Eliza McKenna. - Półka z samotnymi jest zimna i zakurzona. Miej litość, dobra pani! - Eliza wyciągnęła rękę i pokuśtykała ku Sarze w parodii zebraczki. Siedem kobiet wybuchnęło nieopanowanym śmiechem. Eliza McKenna nigdy nie siedziała i nie będzie siedziała samotnie na żadnej półce. Jej jedyny problem polegał na próbach zapamiętania, z którym facetem na kiedy się umówiła, żeby nie pomylić imion przy odbieraniu telefonu. I była urodzoną komediantką; wszyscy mężczyźni ją uwielbiali. Ale dziewczęta były szalenie zazdrosne o Sarę i jej wspaniałego męża i nie miało sensu udawać, że jest inaczej. Nawet nie próbowały. - Coś wam powiem. - Eliza naląła sobie szampana, zanim znowu usiadła. - Lepiej niech Mackenzie Campbell ma odpowiednich kumpli, bo na przyjęciu mogą być problemy. Ciekawe, czy znajdzie się tu więcej takich jak wielebny? Jak na duchownego jest dość przystojny.

- Nie przejmuj się - zachichotała Sara. - Zawsze możesz wykorzystać jednego z twoich małych czekoladowych przyjaciół, gdyby nic innego się nie trafiło. A przy okazji, dorwę cię za to umieszczenie mojego zdjęcia na MySpace. Tylko poczekaj.

Eliza tak się śmiała, że spadła z sofy na owczą skórę rozłożoną na podłodze, choć na szczęście nie uroniła nawet kropli z kieliszka.

- Elizo McKenna, uważaj, co robisz! - przestrzegła Abigail, bez wątplenia jedyna rozsądna w tym towarzystwie.

- O tak, pilnuj się, ile wypijesz, Eliza - dodała któraś. - I nie zachowuj się tak w wieczór przed ślubem! Nie chcemy, żeby druga drużna puściła pawia na swoją suknię.

- Albo na wielebnego - roześmiała się Sara. - Już to kiedyś zrobiła, prawda, Lizzy?

Znowu wybuchnęły głośnym śmiechem.

- Mam nadzieję, że Mackenzie i jego przyjaciele nas nie słyszą. - Abigail czule poklepała Sarę po ramieniu. - Nie mamy zamiaru ich przestraszyć.

Pan młody z przyjaciółmi rozkoszowali się szklaneczkami dobrej whisky, pieczenią z sarniny i nagrany na wideo ważnym meczem piłkarskim. Millicent wykluczyła wszelkie bardziej pieprzne rozrywki i ten raz Sara była zachwycona, że jej przyszła teściowa patrzy przenikliwym, nie tolerującym sprzeciwu wzrokiem. Nikt nie chciał powiedzieć tego wprost, ale Mackenzie był dojrzałym, czterdziestodziewięcioletnim mężczyzną, który swoją pierwszą żonę stracił w tragicznych okolicznościach, więc pikantne atrakcje byłyby w złym guście. Sara wiedziała, że i tak na nich mu nie zależało. Mackenzie to prawdziwy dżentelmen, człowiek dobry i mądry, na którym można polegać, że zawsze postąpi właściwie. Tak, jej życie było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Po raz kolejny spojrzała na swoją cudowną bransoletkę.

I wtedy przypomniała sobie o zegarku.

Zegarku, który kupiła Mackenziemu na urodziny. Czyli na dzisiaj, dwudziestego pierwszego grudnia. Zupełnie wyleciało jej to z głowy! Ptaszki mózdek - jak mogła nie pamiętać o takiej ważnej okazji? Na litość boską, Mackenzie pomyśli, że całkiem zapomniała o jego urodzinach. Co to za początek baśniowego małżeństwa? (Motywem przewodnim były czerń i biel, dziewczyny porównywały teraz swoje suknie, wzdychając na widok błyszczących buziek przyjaciółek i ich ozdobnych pęków piór do wpięcia we włosy.) A może spotkanie z Mackenzie w wieczór kawalerski będzie złym omenem?

Ale nie, Sara nie jest przesądna. Dzisiaj są urodziny Mackenziego. Dzień nie może minąć bez pocałunku i wręczenia ślicznego prezentu. Zostawiła chichoczące, rozgadane przyjaciółki w saloniku. W lustrze nad kominkiem upewniła się, że długie do ramion włosy są błyszczące i gładkie, przypudrowała twarz, by złagodzić skutki czterech kieliszków wina i jednego szampana, wyjęła zegarek z torebki i wyszła z pokoju w chwili, gdy Eliza zaczęła śpiewać.

Zbiegła po schodach, nikogo nie spotykając.

To śmieszne, że się tym aż tak przejmuje, ale naprawdę chciała dać mu zegarek. Kazała wygrawerować napis: „Mojej miłości, Sara”. Da Mackenziemu prezent, wypije kieliszek szampana i pożegna się z dziewczynami. Pójdzie się położyć, żeby jutro ładnie wyglądać. Co nie znaczy, że teraz źle wyglądała, choć była zmęczona po

podróży z Londynu i od wieków już tyle nie wypila. Z drugiej strony na dnie serca marzyła, by wsunąć gołe stopy pod ciepłą flanelową pościel w najlepszym pokoju gościnnym, który dzieliła z Abigail do nocy poślubnej (dopiero wtedy będzie mogła legalnie wrócić do łóżka Mackenziego!). Jeśli dopisze jej szczęście, wywoła go na minutkę z kuchni i nikt się nawet nie zorientuje. Na palcach przeszła koło potężnej choinki w holu ozdobionej sznurami oślepiających lampek i korytarzem ruszyła w stronę kuchni. Każdy obrazek na ścianie miał wetknięte za ramę gęste gałązki świeżego ostrokrzewu, a koło kominka w najmniejszym saloniku, w którym Mackenzie od czasu do czasu wypalał cygaro, stał koszyk z szyszkami o zapachu cynamonu. Sara czuła cudowny aromat wypływający z otwartych drzwi i napełniający dom obietnicą Bożego Narodzenia.

Zaraz jednak usłyszała, jak Mackenzie wzdycha, i zobaczyła go stojącego przy kominku. Wierzchem dłoni ocierał oczy, jakby płakał. Sara na moment znieruchomiała, potem cicho się wycofała.

- Wszystko w porządku, Mackenzie - powiedział łagodnie męski głos. (Sara pomyślała, że to chyba przyjaciel Mackenziego, Dougal, chociaż mężczyzna stał poza zasięgiem jej wzroku.) - To tylko whisky tak na ciebie działa, nic więcej. O wiele za dużo wypieś. Bóg wie, że sam robiłem to aż za często, więc możesz mi wierzyć.

- Przepraszam, Dougal - powiedział Mackenzie, znów cicho i żałośnie wzdychając.

To było najdziwniejsze, ponieważ przez pięć wspólnie spędzonych lat Sara nigdy nie widziała go płaczącego. Powiedział jej, że nie płakał nawet wtedy, kiedy jego ukochany ojciec, William, dwadzieścia lat temu zginął, spadając z konia. Był zrozpaczony, ale że nie należał do ludzi roniących łzy, zacisnął tylko zęby i jak mówiła Millicent, z jego błękitnych oczu na długo zniknął blask. Nie płakał także po śmierci Jane. Kiedy coś go dręczyło, zwykle na dzień czy dwa zamykał się w sobie. Ale płacz? Nie. Sara przypuszczała, że nie dzięki szlochom Campbellowie z Glenallon stali się jedną z najbardziej szanowanych rodzin w kraju.

Teraz więc nie miała pojęcia, jak postąpić. Czekala za drzwiami, rozdarta pomiędzy chęcią słuchania a obawą, że ktoś ją przyłapie. Każdy mógł zaraz tu przyjść, może nawet Wielka Millie, żeby podgrzać więcej pasztecików albo porto dla gości.

- Posłuchaj mnie, Mackenzie - powiedział Dougal stanowczo. - Chodźmy się przejść, dobrze? Ruch dobrze ci zrobi. Sara może cię zobaczyć, przyjacielu, i źle to zinterpretować.

- Nie zobaczy mnie, cały wieczór będzie się bawić z dziewczynami na piętrze.

- No dobrze, ale wracając do tematu, Jane nie chciałaby, żebyś resztę życia spędził w samotności, pragnęłaby, żebyś był szczęśliwy. Brrr, temperatura chyba spada, zaciągnę kotary. Patrz, płatki śniegu! Dobrze, że zaparkowaliśmy samochody w stodole.

- Mam nadzieję, że jeśli patrzy na nas z góry, nie ma nic przeciwko mojemu powtórnemu małżeństwu - powiedział Mackenzie. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że odeszła. Dwa lata byliśmy razem, tylko dwa krótkie lata.

- No tak, powiadają, że wyroki boskie są niezbadane.

- Czasami, kiedy po nabożeństwie idę na jej grób, mam wrażenie, jakby ktoś walnął mnie w piersi. Ciągle od nowa czuję ten ból.

- To naturalne, przyjacielu. Każdy na twoim miejscu tak by czuł.

- Nie znoszę zostawiać jej tam samej i wracać do domu, gdzie czeka na mnie dobry obiad i ciepłe łóżko. Kiedy mi powiedzieli, po prostu zamknąłem się w sobie. Przez wiele tygodni nie potrafiłem prawidłowo sformułować zdania. Wciąż codziennie za nią tęsknię, Dougal. Wtedy zabroniłem sobie płakać, bo bałem się, że jak raz zacznę, nigdy nie przestanę.

- Nie tylko ty tęsknisz za Jane, Mackie, niech spoczywa w pokoju. To był straszny cios dla nas wszystkich, była przecież sercem naszej wioski. Opiekowała się nami, skłoniła do wspólnej pracy, by nie dopuścić do budowy obwodnicy. Wiesz co, dajmy sobie spokój ze spacerem, bo jest okropnie mroźno. Zaprowadzę cię do łóżka, rano będziesz lepiej wyglądał. Planujesz chyba polowanie, pójście na ryby albo coś w tym rodzaju?

- Tak, o ile nie będzie śniegu po kolana.

- Wygląda na to, że będzie. No, chodźmy już. Posłuchaj, wszystko będzie dobrze. Zależy ci na Sarze, wiem, że tak. Stanowicie wspaniałą parę. To serdeczna dziewczyna i o to chodzi, takiej ci potrzeba. W tym domu brakuje dzieci. Sara wszystkim się zajmie, przy niej znowu wszystko będzie dobrze.

- Tak, wiem. Wspaniała z niej dziewczyna, prawda?

- Tak.

- Za młoda i za piękna dla takiego starego biedaka jak ja. Nie zasługuję na nią. Zrezygnowała z niezwyklej kariery, żeby zostać żoną farmera, a przecież ma za wielki talent, żeby naklejać etykiety na słoiki z dżemem.

- Ona cię kocha, ty głupcze. Masz dopiero czterdzieści dziewięć lat, Mackie, nie jesteś zmurszałym zabytkiem. Ja skończyłem czterdzieści osiem lat i na pewno nie mam zamiaru usiąść w kącie z pledem na kolanach. No, chodźmy teraz do kuchni. Powiemy dobranoc chłopakom, a potem położę cię do łóżka.

- Okay, czuję się już dobrze - powiedział Mackenzie. - Przepraszam za to małe przedstawienie. Nie wiem, co mnie naszło.

- Wszystko w porządku. Rozumiem cię. Pierwsza miłość nie rdzewieje, co? Jeśli o mnie chodzi, ta rozmowa nie miała miejsca.

- Dobry z ciebie przyjaciel, Dougal, wiesz o tym? - Mackenzie przestał płakać, teraz w jego głosie brzmiały tylko smutek i przygnębienie. - Jak powiada mama, ojciec i Jane odeszli w lepsze miejsce, a my musimy robić, co do nas należy, prawda?

- Prawda.

- Wiesz, parę tygodni temu w Londynie słyszałem, jak Sara żartuje sobie z mamy. To chyba było zabawne i wtedy nie przykładałem do tego wagi. Nie mogłem jednak powstrzymać się od myśli, że Jane nigdy by czegoś takiego nie powiedziała. Bardzo się przyjaźniły. Jane wiedziała, że mama szczeka, ale nie gryzie. Chodzi o to, że od tylu lat żyje sama, bez ojca. Jest zagubioną duszą, tak jak ja. To znaczy, ja byłem zagubioną duszą, dopóki nie poznałem Sary.

- Nie bądź wobec niej zbyt surowy, Mackie, nikt nie jest doskonały.

- Jane była doskonała. Z naddatkiem ucieleśniała wszystkie moje pragnienia. A ja ją zawiodłem, Dougal. Tego nic nie może zmienić.

Zapadło milczenie.

Wstrząśnięta i zraniona Sara ledwo trzymała się na nogach. Nigdy nie oczekiwała, że Mackenzie kiedykolwiek przestanie kochać Jane, z całą pewnością nie sądziła, że kiedykolwiek o niej zapomni. Trudno zresztą było przegapić otoczony troskliwą opieką grób na cmentarzu w Glenallon. Jako jedyny miał nagrobek w postaci

kamiennego anioła, pozostałe tablice były proste. Nigdy wcześniej jednak Mackenzie nie mówił o swojej pierwszej żonie z taką czułością i przywiązaniem. Dzisiaj wieczorem wszystko wskazywało na to, że w jego sercu jest miejsce tylko dla jednej kobiety. I tą kobietą z całą pewnością nie była Sara Quinn.

Rozdział 3

Bajka o Nowym Jorku

- No chodź, powinniśmy wracać.

Nagle Sara znalazła dość sił, by schować się w przyległym pokoju, zaraz potem obaj mężczyźni wyszli z saloniku i skierowali się w stronę kuchni. Sara słyszała głośne docinki, bo przyjaciele Mackenziego założyli, że zrobiło mu się niedobrze od nadmiaru whisky.

- Aaa, popatrzcie tylko, w jakim jest stanie! I oczy ma czerwone! Robisz się za stary na picie? Co za wstyd! Na następną imprezę będzie musiał przynieść usprawiedliwienie od mamusi, niech Bóg ma go w opiece!

Przerwał im spokojny głos Dougala, który mówił, że są bandą przerośniętych nastolatków i że on teraz odprowadzi Mackenziego do sypialni. Odpowiedział mu kolejny wybuch hałaśliwego śmiechu i żartobliwe przytyki.

- Hej, to twoja sprawa, co się dzieje na wieczorze kawalerskim, Mackenzie! Milczymy jak grób. Czego Sara nie będzie wiedziała, to jej nie zrani.

Sara miała wrażenie, jakby opuściła własne ciało. Równocześnie było jej zimno i gorąco. Tak, Mackenzie był pijany i co zrozumiałe, z uczuciem wspominał dobre czasy, które przeżył z pierwszą żoną. Na litość boską, każdy mężczyzna w jego wieku musi mieć za sobą jakieś poważne związki uczuciowe, Sara to rozumiała. Teraz jednak pojęła, że rzadko mówił o Jane, ponieważ wciąż ją kochał.

Sara była tylko zaufaną towarzyszką, która miała trzymać go za rękę podczas spokojnych przechadzek po okolicy, wprowadzić do domu pozory życia i koloru,

próbować zapełnić potężną otchłań zostawioną przez Jane. Nagle wszystko to wydało się strasznie wielką pracą. Może wręcz przerastającą jej siły? Sara zawsze myślała o swojej przeprowadzce do Glenallon jako wydarzeniu otwierającym okres spokoju i pewności w jej życiu. Teraz ogarnął ją strach, że wszyscy będą z ciekawością obserwować, czy zdoła wydobyć Mackenziego spod tej lawiny żalu. Ale jak ma to zrobić, skoro nigdy jej nie powiedział o swym cierpieniu? Mury Ostowego Puchu nieodwołalnie zamieniły się w więzienne kraty.

Opuściła swoją kryjówkę i pośpiesznie wróciła na górę.

Zmęczona biegiem po schodach na wysokich obcasach, rozdygotana z rozpaczy wpadła do saloniku i usiadła w fotelu pod oknem. Abigail od razu zauważyła jej ściągniętą twarz i małe skórzane pudełko w dłoni. To był zegarek dla Mackenziego, o którym Sara zupełnie zapomniała.

- Gdzie byłaś? - szepnęła Abigail, przysiadając na krawędzi ławki pod oknem. Teraz śnieg padał regularnie, na razie nie był obfity, ale pewnie już niedługo zgęstnieje.

- Mackenzie wciąż kocha Jane - odparła Sara z przygnębieniem. - Słyszałam, co mówił w palarni.

Abigail natychmiast pojęła, co się stało.

- Ojej, Saro, posłuchaj mnie, moje kochane biedactwo. Widzę, że to, co usłyszałaś, strasznie cię przygnębiło, ale ze strony Mackenziego to tylko wyrzuty sumienia. Ma wyrzuty sumienia z powodu ponownego ożenku i zmian w swoim życiu. Zostawia Jane za sobą. To normalne, uwierz mi. Rozstaje się z przeszłością. Rozmawiał z Dougalem?

Sara potaknęła.

- Tak myślałam. Obawiam się, że Mackenzie dzisiaj wieczorem całkiem się rozkleił. Początek uroczystości i tak dalej. A kumple włali pewnie w niego tyle whisky, że pięciu innych już by leżało pod stołem.

- Nie, on wciąż ją kocha, nie słyszałaś jego głosu. Był taki smutny. Abigail, przy mnie nigdy tak nie mówił. Ma złamane serce. Nie wiem, czy nie powinnam zrezygnować ze ślubu. Czulałabym się jak oszustka.

- Nie mów tak, dziewczyno! Nawet tak nie myśl.

- Wiesz, Jane też była wysoka i ciemnowłosa. Miała zielone oczy jak ja.

- Och, Saro, bardzo cię proszę, nie rób takich porównań. Wielka szkoda, że go słyszałaś. Jestem pewna, że wcale nie chodziło mu o to, że wolałby mieć Jane z powrotem. On bardzo cię kocha, przecież wiesz.

- Ale sprawiał wrażenie załamane, pogrążonego w rozpacz. Z tonu jego głosu wynikało, że bez namysłu zostawiłby mnie i wrócił do niej, gdyby to było możliwe - szepnęła Sara. Z jej oczu popłynęły łzy. - Jak mogłam o tym nie wiedzieć, Abigail? Jak mogłam być taka ślepa?

- Sara, wszystko w porządku? - zapytała Eliza, nagle uświadamiając sobie, że nastrój imprezy zaczyna się psuć.

- Tak, tylko jestem trochę zmęczona - odparła Sara z uśmiechem. Pomachała do dziewczyn, by pokazać im, że nic jej nie jest.

- Posłuchaj, teraz pójdziemy do pokoju i położysz się, dobrze? - powiedziała Abigail. - Sporo wypiliśmy, szczerze mówiąc. Skoczę do kuchni po herbatę i grzanek. Nic nie ustawia spraw we właściwej perspektywie jak herbata i grzanka, zawsze to powtarzam. A może chciałabyś porozmawiać z Mackenzie? Pogadać z nim dzisiaj? Czy to by pomogło? Zaraz, zaraz, minęła północ i na pewno jest porządnie wstawiony. Porozmawiaj z nim jutro rano, kiedy oboje lepiej się poczujecie. Dobrze?

- To nie wchodzi w grę, Abigail. Przyrzeknij, że słowem o tym nie wspomnisz ani jemu, ani Dougalowi. Teraz potrzebuję spokoju i ciszy. Muszę się zastanowić. - Sara wstała, przygotowując się do pożegnania z przyjaciółkami. Wzięła głęboki oddech i wesoło powiedziała: - Hej, wy tam, idę do łóżka. Postarajcie się nie imprezować przez całą noc.

- Jasne! - odrzyknęły i zaczęły śpiewać coś, co mgliście przypominało „Fairytale of New York”. Pewnie dlatego, że Mackenzie i Sara w podróż poślubną wybierali się do Nowego Jorku.

- Do zobaczenia rano - powiedziała łagodnie Abigail, zrecznie prowadząc Sarę koło grupki wstawionych, głuchych na wszystko kobiet. Eliza zrobiła sobie boa z grubych pasków błyszczącej lamety i kręciła nim nad głową w rytm muzyki.

Kiedy znalazły się w cichej sypialni, Sarę ogarnęła jeszcze większa rozpacz.

- Pójdę po herbatę i grzanki - oznajmiła Abigail, próbując poprawić nastrój sobie i przyjaciółce. - Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Wsuniemy się pod kołdry i omówimy wszystko. - Narzuciła ciepły sweter; miała nadzieję, że Sara coś zje, a potem zaśnie. Rano może lepiej poradzi sobie ze swoimi uczuciami.

- Nie jestem głodna - mruknęła Sara. Weszła do łazienki, zamknęła drzwi, usiadła na sedesie i szlochała jak dziecko.

- Wszystko w porządku? - zapytała Abigail. - Zostanę, jeśli chcesz... Płaczesz? Wyjdź i przytul się do mnie...

- Nic mi nie jest, idź po herbatę, chociaż mnie nie chce się jeść.

- Dobra. Przyniosę coś do przegryzienia, gdybyś zmieniła zdanie. - Abigail wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem energicznym krokiem.

Sara płakała, aż oczy zaczęły ją boleć.

Jak Mackenzie mógł zwierzyć się z równie intymnych odczuć Dougalowi, myślała z goryczą, odrywając długi kawałek papieru toaletowego, żeby wytrzeć łzy. Akurat Dougalowi Pattersonowi? Drużbie? Który teraz będzie patrzył przez całą uroczystość na Sarę i wiedział, że Mackenzie wciąż kocha Jane. To takie niesprawiedliwe! Bo jak Sara może konkurować z Jane Campbell? Dlaczego Mackenzie kazał jej czekać trzy lata na ten ślub, skoro tak czy owak na małżeństwie mu nie zależy? Bo stało się jasne, że Sara chętnie przeprowadzi się do Ostowego Puchu i podejmie obowiązki pani domu? A może rzecz w tym, że jego serce pozostało obojętne? Czy to ważne, co Mackenzie powiedział albo nie powiedział o Jane, czy rozmawiał z Dougalem czy z Sarą? Wciąż kocha Jane. To była prosta i jasna prawda. Sara gdzieś przeczytała, że prawda niekiedy bywa tak ostateczna, iż człowiek odbiera ją jak śmierć w rodzinie. Dzisiaj tak właśnie się czuła, pusta i zimna w środku.

Niemal pogrążona w żałobie.

Odrętwiała.

Sen dobiegł końca.

Kiedy dziesięć minut później wróciła Abigail z wrzącą herbatą i podgrzanymi maślanymi bułeczkami na tacy, Sara zasłoniła oczy ręką i udawała, że śpi. Nie miała ochoty na rozmowę z nikim, a zwłaszcza z kochaną, serdeczną przyjaciółką, która zawsze wszystkim matkowała i we wszystkich starała się dostrzegać najlepsze cechy.

Abigail poradziłaby jej, żeby szanowała uczucia, które Mackenzie wciąż żywi do Jane. Powiedziała, że Mackenzie ma prawo do wyrzutów sumienia tuż przed drugim ślubem, że każdy człowiek musi jakąś część swojej osoby zachować dla siebie, nie ujawnić przed partnerem przełomowego życiowego doświadczenia, które jest dla niego cenne i bardzo prywatne. Że Mackenzie kocha Sarę tak głęboko, jak mężczyzna może kochać kobietę. Że Sara powinna wybrać szczęście, cieszyć się baśniowym ślubem i wymarzonej miesiącem miodowym w Nowym Jorku. Lot do Nowego Jorku w Wigilię! Żaden miesiąc miodowy nie mógłby być lepszy, tak powiedziała Abigail.

I może miałyby rację. Ale Sara nie potrafiła zapomnieć tego, co dzisiaj wieczorem Mackenzie wyznał Dougalowi, kiedy zaczął padać pierwszy tej zimy śnieg. Nie sądziła, by kiedykolwiek mogła wyrzucić te słowa z pamięci.



Rozdział 4

Wiem, że wszystko skończone

Kiedy rano Abigail otworzyła oczy, bała się spojrzeć na łóżko Sary na wypadek, gdyby okazało się puste. Ale niedługo trwała w niepewności, ponieważ jej wzrok padł na kartkę na toalecie. Dobry Boże! Serce Abigail skoczyło w dół jak kamień rzucony w studnię. Tak, łóżko Sary istotnie było puste. Z szafy zniknęły jej torby, buty z ostrymi noskami nie stały pod łóżkiem.

Cholera jasna!

- Sara zwiłała - powiedziała na głos Abigail. Serce na moment przestało jej bić, gdy dotarł do niej sens tych słów. A może tylko zrobiła porządek ze swoimi rzeczami i poszła na spacer, pomyślała Abigail, chwytając się brzytwy. Odsunęła ciepłą kołdrę, podeszła do komody i rozwinęła kartkę wyrwaną z kołnотatnika, które Sara tak lubiła. Faktycznie, Sara wyjechała z Ostowego Puchu w środku nocy. Boże wielki, i co teraz?

Abigail odciągnęła zasłony, jakby to jakimś cudem mogło sprowadzić Sarę z powrotem, ale zobaczyła tylko grubą pokrywą nieskazitelnego, dziewiczego śniegu otulającą dziedziniec, zabudowania gospodarcze, pola ze ślicznymi kamiennymi murkami i gołe konary. Widoczna w oddali plantacja choinek była teraz białą masą, tak samo jak wioska Glenallon i ciemnofioletowe wzgórza.

Dłonie Abigail ściskające list trzęsły się z frustracji. Westchnęła głośno i usiadła na łóżku, by ponownie przeczytać notkę.

Sara przeproszała wszystkich zainteresowanych za nagły wyjazd i prosiła, żeby Abigail wytłumaczyła gościom, co zaszło.

Abigail zamknęła oczy.

Boże, czasami rola mądrej sowy jest strasznie trudna. Myśl, rozkazała sobie. Podejść do tego logicznie. Dobra. W żadnym razie nie może „wytłumaczyć” Sary przed gośćmi. Bo właściwie co miałyby „wytłumaczyć”? Że Sara opuściła narzeczonego w środku nocy, ponieważ nagle dotarło do niej, że Mackenzie wciąż kocha

pierwszą żonę? To przecież sprawa między nim a Sarą. Abigail wiedziała też, że tylko upokorzyłaby Mackenziego, gdyby w ogóle podjęła próbę zapanowania nad tą sytuacją. Nie, nie może mu tego zrobić. Poza tym Sara teraz cierpi, ale w końcu wróci jej rozsądek. O Boże! Abigail chętnie przełożyłaby Sarę przez kolano - jak mogła w taki sposób zepsuć swój wymarzony ślub? Bo jest rozpieszczoną jedynaczką, przewrażliwioną na krytykę, niewiarygodnie upartą. A Mackenzie ma prawo do swoich uczuć, prawda? rozmyślała Abigail, już z całego serca współczując obojgu. Mackenzie nie chciałby, żeby wszyscy jego przyjaciele i krewni dowiedzieli się, że szlochał z żalu za Jane. Przecież przez całe życie demonstrował siłę i opanowanie. Biedny Mackenzie! Wielka Millie także będzie załamana. Oraz rodzice Sary, ludzie nieśmiali i nerwowi. Trzeba do nich zadzwonić i powiedzieć, żeby odwołali podróż. O ile już nie wyruszyli w drogę. A co z dziewczętami? Biedna Eliza, podekscytowana jak małe dziecko czekające na Świętego Mikołaja, choć na pozór taka niezależna i nowoczesna. Wszystkie tu były, spodziewały się paru dni tradycyjnych wiejskich rozrywek przed baśniowym ślubem w Wigilię. Nie wspominając już o innych gościach przyjeżdżających na samą uroczystość, w niektórych wypadkach z zagranicy.

Och, Saro!

- Wspaniale wybierasz porę - powiedziała z furią Abigail.

Wtedy też zauważyła ślubną suknię w ochronnym plastikowym worku wiszącą na drzwiach sypialni. Sara musiała bardzo się śpieszyć, skoro o niej zapomniała. Ta staroświecka suknia wiele dla niej znaczyła.

Abigail wiedziała, że przyjaciółka nie przeżyłaby, gdyby coś się jej stało, więc naprawdę musiała być w rozpacz. Abigail zastanowiła się przelotnie, dlaczego nie słyszała zajeżdżającej taksówki ani trzasku zamykanych drzwi, no ale sporo wieczorem wypła. Niewykluczone, że ucieczkę Sary zagłuszył szum morza, fale rozbijające się o skały.

- Zadzwonię do niej! - wykrzyknęła Abigail, zrywając się na nogi. - Zadzwonię od razu, może jeszcze nie jest za późno! - Wygrzebała komórkę z obszernej białej torby i wybrała numer Sary. - Lepiej niech się nie okaże, że wyłączyłaś telefon, moja pani - szepnęła, coraz bardziej zaniepokojona. Nie mogła znieść myśli o tym, co czuje teraz Sara, zupełnie sama, roztrzęsiona i zmęczona. - Och, odbierz!

Na szczęście Sara odebrała niemal od razu.

- Tak myślałam, że mniej więcej o tej porze zadzwonisz. Za dziesięć minut będę w mieszkaniu - powiedziała Sara, głośno ziewając. - Przed chwilą wysiadłam z metra. Na szczęście nie musiałam długo czekać w Edynburgu na samolot. Trafiło mi się ostatnie wolne miejsce. Ostatnie, wyobraź sobie! Zamówiłam taksówkę, czekała na mnie przy bramie, Abigail. Musiało być po wpół do piątej, kiedy szłam podjazdem; w ciemności to było naprawdę niesamowite. Przepraszam, że ci nie powiedziałam, ale wołałam nie urządzać scen. Nie chciałam nikogo budzić.

- Saro, dlaczego uciekłaś? Dlaczego? Nie musiałaś.

- Tak, musiałam. Powiedziałaś już Mackenziemu?

- Jeszcze nie. Na litość boską, dopiero się obudziłam i znalazłam twój liścik. Jeszcze nie całkiem oprzytomniałam, Saro. W głowie wciąż mi szumi. Która godzina?

- Wpół do dziewiątej.

- Wszyscy chyba jeszcze śpią.

- Okay. Choć znając Millie, pewnie jest na spacerze z psami, piecze chleb albo odśnieża podjazd. Wiesz, jaka ona jest - westchnęła Sara. - Nie mam pojęcia, skąd bierze siły.

- Bierze je z Ostowego Puchu. Wczoraj przy kolacji powiedziała mi, że ten dom ma we krwi. Nie mogłaby bez niego funkcjonować. Mackenzie też nie.

- Tak ci powiedziała? Jezu, musi naprawdę cię lubić.

- Ja tylko stwierdziłam, że dom zapiera dech w piersiach, co jest prawdą - odparła Abigail ze znużeniem.

- Lizuska!

- To bez znaczenia. Powiedz, wrócisz tu, jak się uspokoisz? No wiesz, mogłabyś po prostu wrócić jak ze zwykłej wycieczki. Któraś z nas odebrałaby cię z lotniska...

- Abigail, ja nie wracam. Nigdy nie wrócę - oznajmiła Sara stanowczo. Po jej twarzy znowu strumieniem płynęły łzy. - Mackenzie mnie nie kocha. Jak mogę być z nim do końca życia, jak mogę z nim spać, skoro o tym wiem? Chciałam, żeby ten ślub był idealny. Teraz wiem, że jestem druga na liście.

- Saro, już ci mówiłam, że wczoraj wieczorem Mackenzie był pijany, bardzo pijany. Wszyscy byliśmy, tak? Rzeczą zupełnie normalną jest poczucie straty w ważnych momentach życia, a płacz to bardzo dobry mechanizm rozładowania emocjonalnego. W gruncie rzeczy to znak, że Mackenzie zaczyna godzić się z sytuacją. - Abigail czuła, jak pod ciepłą piżamą spływają jej strumyczki potu. Sprawy naprawdę wymkną się spod kontroli, jeśli Sary nie da się przekonać do natychmiastowego powrotu do Ostowego Puchu.

Uznała jednak, że logika nie będzie skutecznym narzędziem.

Lepiej wykorzystać pochlebstwo.

- On naprawdę cię kocha - argumentowała. - Uwielbia cię, Saro, to widać gołym okiem. Na wasz widok skręcamy się z zazdrości, wystarczyło, jak wczoraj przy kolacji na ciebie patrzył. Mówię ci, ślub będzie cudowny. Proszę, nie rań go w taki sposób, proszę, nie opuszczaj go bez słowa pożegnania. Sobie też nie rób krzywdy. To miał być twój wyśniony ślub, pamiętasz? Saro, czy ty mnie słuchasz?

- Pomyślisz, że to dziwne, ale przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem, patrzyłam na fasadę Ostowego Puchu, na Mackenziego wychodzącego z psami, i myślałam sobie, że to jest za dobre, żeby było prawdziwe. Że żyję we śnie. Że mój portret nigdy nie zawiśnie w bibliotece, nie zostanę panią Campbell, nie będę brała udziału w tych wszystkich szlacheckich rozrywkach. Teraz już wiem, dlaczego tak mi się wydawało. Ponieważ on zawsze pragnął Jane.

- Jasne, że jej pragnął, jasne, że ją kochał. Była jego żoną! Saro, błagam cię, czy możesz przestać kierować się emocjami i zrobić to, co ci mówię? Jeszcze nie jest za późno na naprawienie tej sytuacji, rozumiesz?

- Jest za późno.

- Zachowałeś się jak dziecko, uciekając bez słowa. A w dodatku zważyłaś to na mnie, wielkie dzięki.

- Abigail, od dwudziestu pięciu lat jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Pamiętasz, jak w parku godzinami siedziałyśmy na huśtawkach i nic nie mówiłyśmy, tylko oglądałyśmy chmury i marzyłyśmy, kim zostaniemy, jak dorośniemy? Nie miałyśmy nawet pieniędzy na słodycze czy lody.

- Tak, pamiętam.

- Wiesz, zawsze myślę o tych czasach jako bardzo... no, rzeczywistych. Mimo że nic konkretnego nie robiłyśmy. Każda chwila była dla nas ważna i wypełniona znaczeniami. Jakbyśmy były na właściwym miejscu we właściwym czasie. Wiem, że to brzmi głupio, ale będąc narzeczoną Mackenziego, nigdy się tak nie czułam. Nawet kiedy pokazywał mi posiadłość, kiedy spacerowaliśmy po plaży i wiosce, miałam wrażenie lekkiego dystansu. A kiedy oprowadzał mnie po pomieszczeniach firmy za domem, czułam się jak gość. Wymieniał imiona wszystkich zwierząt, a ja sobie myślałam: po co mam wiedzieć, jak nazywają się jego krowy? Przy oglądaniu antyków i tak dalej zawsze miałam wrażenie, że to program w telewizji. Oszukiwałam się od samego początku.

- Nie oszukiwałaś się, głuptasie. Po co robiłby to wszystko, gdyby cię nie kochał? Mój Boże, Saro, ależ ty masz irytujący zwyczaj interpretowania spraw w strasznie dziwny sposób.

- Ale kiedy wczesnym rankiem jechałam taksówką na lotnisko i śnieg wirował na przedniej szybie, był mróz i radio grało te okropne bożonarodzeniowe piosenki, czułam, że to wszystko jest bardzo realne. Ani razu nie spanikowałam, nie nachodziły mnie wątpliwości. - Sara westchnęła, wierzchem dłoni ocierając łzy.

- Posłuchaj, związek po prostu musi być idealny, w przeciwnym wypadku nie zależy mi na nim. Przykro mi, ale tak to wygląda. Nie wierzę w uczucie, nad którym trzeba pracować; miłość jest albo jej nie ma. Zadzwoń do ciebie wieczorem, jak odpocznę, dobrze? Poza tym muszę się spakować.

- Co to znaczy: musisz się spakować? Dokąd się wybierasz?

- Mieszkanie należy do Mackenziego, zapomniałaś? Do majątku Campbellów, mówiąc ściśle. Zapłacił za mój cudowny samochód, choć w gruncie rzeczy nie było go na to stać. On sprzedaje sery, Abigail, nie diamenty. Odchodzę od niego i rezygnuję z życia, jakie przy nim prowadziłam. Nie chcę niczego, co naprawdę do mnie nie należy. Mówię śmiertelnie poważnie, niech mi Bóg pomoże. To już koniec.

- Saro, do jasnej cholery, nie rób tego! Posłuchaj, wiem, że nie powinnam nikomu mówić, co ma robić ze swoim życiem, ale moim zdaniem Mackenzie potrzebuje cię o wiele bardziej, niż ci się wydaje. Przecież możesz nauczyć się żyć ze wspomnieniem Jane? Uważam, że jego uczucie do niej jest niewiarygodnie ro-

mantyczne. Czy to nie dowód, że Mackenzie głęboko szanuje kobiety w swoim życiu? Co według ciebie ma zrobić? Odprawić Jane machnięciem dłoni, jakby nic dla niego nie znaczyła? Saro, ty mnie słuchasz?

- Nie. To znaczy tak, słucham. Ale jest za późno.

Abigail na dnie serca uważała, że Sara zachowuje się jak mała dziewczynka, która pochłapała czerwoną oranżadą swój nowiuteński strój księżniczki i wyszła z przyjęcia, bo przestała dobrze się bawić. Z drugiej strony wołała nie oskarżać jej o niedojrzałość w chwili, gdy potrzebowała przyjaciółki, nie terapeutę. Jak nigdy wcześniej należało użyć dyplomacji.

- Dobrze, powiem ci, co zrobię. Wyjaśnię sytuację, ale tylko Mackenzemu. Jemu zostawię decyzję, co począć ze ślubem. Nie zamierzam wpadać z okrzykiem: „Odwołać wszystko!”, bo a nuż odzyskasz rozsądek i przywleczesz tyłek z powrotem. Chodzi mi o to, że kościół ani Mackenzie nigdzie się nie wybierają. Masz kilka dni na zmianę decyzji. Choć niewykluczone, że będziesz musiała iść pieszo do Ostowego Puchu, jeśli drogi pokryje lód. Dzwoniłaś do rodziców? Martwię się o nich, może już wyruszyli.

- Nie, jeszcze nie. Nie chciałam ich budzić. Teraz zadzwonię. A właściwie nie mogłabyś ty tego zrobić? Wiesz, jacy są, kiedy dostają złe wiadomości. Jestem pewna, że nie wyszli z domu, tylko po raz setny sprawdzają, czy mają bilety, i kłócą się, co będzie lepsze: zamknąć żaluzje czy zostawić światło.

- Okay. Powinnaś się przespać.

- Dzięki. Zaraz się kładę. Słuchaj, od ciebie zależy, co powiesz Mackenzemu, ale ja wiem, że to już koniec. Czuję pewność, że postępuję słusznie. Kocham cię, Abigail. Niedługo się odezwę. Cześć. - Połączenie zostało przerwane.

- Cześć - odparła Abigail ze smutkiem, wyłączając komórkę i przez kilka sekund się w nią wpatrując. Wbrew nadziei modliła się, by telefon znowu zadzwonił i ten koszmar się skończył. Ale nie, w pokoju panowała cisza.

- Saro, ty niemądra dziewczyno - powiedziała cicho Abigail. - Ha, będę się cudownie bawiła. Wielkie dzięki, Saro Quinn. Ty sobie uciekasz, żeby leczyć zranioną dumę, ale co ja mam zrobić? Proszę, myślałam, że na kilka dni będę miała spokój od

udzielania porad. Chyba lepiej zacznę od państwa Quinnów. A potem przekażę radosną wieść panu młodemu. Cudownie!

Pobiegła do łazienki, by wziąć krótki prysznic i wyszczotkować zęby. Powiedziała sobie, że później może nie mieć na to czasu, zwłaszcza jeśli ktoś wpadnie w histerię. Wysuszyła jasne włosy obcięte na pazia, nałożyła lekki makijaż, by ukryć zmęczoną cerę, i włożyła czarne spodnie z szerokimi nogawkami i modne czarne polo. Strój służbowy.

Jak było do przewidzenia, matka Sary bardzo się zdenerwowała, kiedy Abigail najlepiej jak umiała wyjaśniała jej sytuację. Za to do pana Quinna istota sprawy szybko dotarła.

- Ha, nie winię jej, że go opuściła. Co ten Mackenzie sobie myślał, mówiąc takie rzeczy, skoro wie, jak bardzo wrażliwa jest Sara? Powinna była wieczorem do nas zadzwonić i o wszystkim powiedzieć, pojechalibyśmy po nią do Ostowego Puchu. Na pewno jest w rozsypce.

- Przypuszczam, że to by było lepsze rozwiązanie. Ale liczyłam, że jakoś to sobie wyjaśnią. Mam do siebie pretensje, że wczoraj wieczorem nie zrobiłam czegoś więcej - powiedziała Abigail ze znużeniem. - Nie sądziłam, że Sara od razu wyjedzie, naprawdę do głowy mi to nie przyszło.

- To hańba i tyle. Natychmiast do niej dzwonię - odezwał się nagle pan Quinn. - Upewnię się, że u niej wszystko w porządku.

- Z ust mi to wyjąłeś - westchnęła pani Quinn, od nowa popadając w zdenerwowanie. - Myślisz, że się załamała albo coś w tym rodzaju? Powinniśmy zadzwonić do naszego lekarza?

(Łatwo odgadnąć, po kim Sara odziedziczyła skłonność do dramatyzowania, pomyślała Abigail.)

- Proszę się nie martwić, Sara na pewno się z wami skontaktuje, jestem o tym przekonana - powiedziała pośpiesznie. - Jak tylko trochę odpocznie. Przez telefon wydawała się bardzo zmęczona.

- A, w takim razie poczekamy. Myślę, że tak będzie najlepiej - odparł ojciec Sary. - Mackenzie bardzo mnie rozczarował, tak denerwując Sarę. A skoro o tym mowa, pewnie będzie chciała się do nas przeprowadzić.

- O tak - powiedziała wstrząśnięta matka Sary. - Trzeba zabrać się za porządki, usunąć maszynę do szycia i rowerek z pokoju Sary. Przewietrzyć pościel, kupić więcej chleba i mleka i tak dalej.

Abigail wiedziała, że to właściwa droga. Rodzice Sary muszą mieć praktyczne zadania, na których teraz się skupią.

- Wspaniały pomysł - powiedziała. - Sara wspominała o wyprowadzce z mieszkania Mackenziego.

- Niech cię Bóg błogosławi, że do nas zadzwoniłaś, Abigail. Dobra z ciebie dziewczyna. - Matka Sary smutno pociągnęła nosem. - Szczerze mówiąc, nie wiem, czuję się ogłuszona. A kupiłam im taki śliczny zegar na prezent ślubny!



Rozdział 5

Chłopaki nie płaczą

Kilka minut później Abigail przystanęła przed główną sypialnią, wzięła kilka głębokich oddechów i stanowczo zapukała do drzwi.

- To powinno być interesujące - szepnęła bez tchu. Mackenzie otworzył drzwi. Miał na sobie papucie, wczorajsze spodnie i koszulę. Jedną dłoń trzymał na czole. Najwyraźniej dręczył go potężny kac.

- Abigail? Stało się coś?

- Szybko się orientujesz - odparła z grymasem. - Mogę na moment wejść?

Cofnął się, odsłaniając rozgrzebane łóżko z baldachimem oraz potężne zabytkowe biurko i fotel.

- Och, głowa mi pęka. Wczoraj wieczorem przesadziłem z bursztynowym nektarem - powiedział zakłopotany, mierzwiąc siwoblond włosy, ziewając i przeciągając się.

Sara musiała stracić rozum, żeby ot, tak zrezygnować z tego uroczego mężczyzny, pomyślała nagle Abigail. Razem wyglądali wspaniale. Wysoka i smukła Sara z wydatnymi kośćmi policzkowymi i przenikliwymi zielonymi oczami. Mackenzie silny, przystojny, wyższy od Sary o równe dziesięć centymetrów. Abigail mierzyła tylko przeciętne sto sześćdziesiąt osiem centymetrów.

- Dziwię się, że trzymasz się na nogach - powiedziała z uśmiechem.

- Tak, za dużo wypilem. Ale przecież mężczyzna nie żeni się codziennie.

- To prawda - odparła Abigail nerwowo, przysiadając na skrzyni na pościel, która stała w nogach łóżka. - Mackenzie... hmm... mam dla ciebie złe wiadomości. Przepraszam, nie da się tego inaczej powiedzieć. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Dougalem o Jane. A Sara was słyszała.

Twarz Mackenziego ściągnęła się.

- Jak to? Myślałem, że przez cały wieczór była z dziewczynami na piętrze!

- Niezupełnie. Zeszła na dół, żeby dać ci zegarek. Ten zegarek... proszę, równie dobrze możesz go wziąć. - Abigail wyjęła pudełko z kieszeni i postawiła na łóżku. Tylko tego Sara nie wzięła, kiedy pakowała swoje rzeczy i o północy ukradkiem opuszczała dom. No, poza swoją cenną suknią ślubną, o której musiała zapomnieć. - Obawiam się, że wbiła sobie do głowy, że jej nie kochasz.

- Jezu! Ale dlaczego ty dajesz mi ten zegarek? Gdzie jest Sara? Muszę z nią porozmawiać. Oczywiście, że ją kocham.

- Proszę, Mackenzie... Daję ci ten zegarek, ponieważ Sara wróciła do Londynu. Przed chwilą rozmawiałam z nią przez telefon. Powiedziała mi, że nie wyjdzie za ciebie w Wigilię.

- O nie! To straszne! Zaraz do niej zadzwonię! Rzucił się ku stojącemu na nocnym stoliku telefonowi.

- Nie, czekaj! - powstrzymała go Abigail. - Ona jest wyczerpana i roztrzęsiona. Daj jej trochę czasu. Próbowałam z nią rozmawiać, ale jest okropnie uparta. Jej duma poważnie ucierpiała. Prosiła, żeby ci powiedzieć, że to... ehem... koniec.

- Nie wierzę. Znowu to zrobiłem, co? Po raz drugi zawałem. O Boże, w co ja się bawię? Muszę być przeklęty. Boże, powinienem był słuchać Dougala. Nie wierzę, że byłem tak cholernie głupi i rozplakałem się.

- Byłeś pijany, Mackenzie.

- Więc nie powinienem był pić! Idiota ze mnie! W życiu nie wezmę kropli alkoholu do ust!

- Posłuchaj, nie panikuj. Jestem pewna, że Sara tylko się dąsa, okropnie się dąsa, wiesz, jaka ona jest. Jak byłyśmy małe, wpadała we wściekłość, kiedy wygrałam z nią w tenisa albo dostałam lepszą ocenę z dyktanda. Łatwo ją zranić, Mackenzie. Jest strasznie wrażliwa.

- Nie wiem, co począć - powiedział przez ściśnięte gardło Mackenzie. - Co mogę zrobić? Powinienem był trzymać język za zębami, ale niekiedy nie potrafię przestać myśleć o Jane. Ciągłe siebie pytam... Czy była zbyt zmęczona, żeby tamtego dnia prowadzić? Czy powinienem był przewidzieć, że stanie się coś złego? Powinienem był to wyczuć? Czy zginęła z mojej winy? Czy dziecko zginęło z mojej winy? Jane nigdy nie jechałaby nieostrożnie, gdyby nie miała powodu: może jakiejś

zwierzę przebiegło jej drogę? Wiesz, niewykluczone, że nikt nie mógłby nic zrobić, ale ja ciągle o tym myślę.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła Abigail machinalnie. Te same słowa wypowiadała codziennie do swoich pacjentów.

Mackenzie westchnął i podszedł do okna, wpatrując się w śnieg. Dachy zabudowań pokryte były grubą warstwą połyskliwej bieli niczym świąteczne ciasto lukrem. Sama posiadłość nigdy nie wyglądała ładniej. Na najwyższym świerku ozdobionym staroświeckimi bombkami paliły się lampki.

- Pojedziemy za nią? - zapytała łagodnie Abigail.

- A po co? - odparł ze smutkiem Mackenzie. - Nic nie mogę zrobić. Nikt nic nie może zrobić. To beznadziejne. Nikt tego nie rozumie.

- Ja mogę zrozumieć - szepnęła Abigail. - Żałoba nie jest mi obca.



Rozdział 6

Nigdy się nie pobierzemy

- Więc nie zamierzasz podjąć próby naprawienia tej sytuacji? - zapytała Abigail dwadzieścia minut później.

- A jaki miałyby to sens? Wiem, że Sara i tak nie da mi drugiej szansy - powiedział Mackenzie cicho.

Abigail pomyślała, że jego twarz wyraża zarówno rozczarowanie, jak i determinację. Z całą pewnością w głosie Mackenziego brzmiało przekonanie.

- Mogłabym was oboje stuknąć głowami, naprawdę - westchnęła.

- Pod pewnym względem Sara ma rację. Nie można cofnąć czasu. Nigdy nie wymażę tego, co powiedziałem o Jane - odparł spokojnie. - Za bardzo zależy mi na Sarze, żebym teraz zaczął opowiadać jej brednie, a poza tym nie sądzę, by mi uwierzyła.

- Ale byłeś pijany, Mackenzie. Po pijaku ludzie wygadują najróżniejsze rzeczy.

- Ja nie i Sara o tym wie. To zawsze stałoby między nami, kpiło z nas.

- Więc odwołasz ślub?

- Na to wygląda.

- Mackenzie, nie wierzę własnym uszom. Byliście taką dobraną parą. - Abigail ledwo powstrzymywała łzy. - Co za szkoda.

- Abigail, bardzo proszę, nie pomyśl, że jestem uparty, bo Sara przyłapała mnie, jak plotłem coś do Dougala. Wiem, co oznacza odwołanie ślubu i w jak złym świetle mnie to postawi. Ale nie ma sensu gonić Sary, ponieważ to co powiedziałem, wszystko między nami zniszczyło. Sara wie teraz, dlaczego nigdy nie mówię o Jane. Nie potrafię o niej mówić, nie wybuchając płaczem. Sara wie, że nie jestem w stanie zapomnieć o Jane. Przy każdej kłótni rzucałaby mi to w twarz. Może nawet by mnie opuściła.

- Na pewno nie, Mackenzie.

- Przecież teraz mnie opuściła! A ja zawsze się tego obawiałem.

Abigail widziała, jak bardzo czuje się zraniony. Stracił Jane, a teraz przez to, że wciąż nie pogodził się z tym cierpieniem, stracił też Sarę. Lecz sławna determinacja Campbellów go nie zawiodła. Wczoraj wieczorem płakał, teraz nie. Zrezygnowany wyraz jego oczu powiedział jej, że przetrwa tę stratę, tak jak przetrwał stratę Jane. Spróbowała jeszcze raz go przekonać, by jednak pojechał do Sary, była bowiem przekonana, że oboje będą żałować swego uporu do końca życia. Na próżno, najwyraźniej nie pozwalała mu na to męska duma.

- No i co teraz? - zapytała. - Powiedziałam rodzicom Sary, nikomu więcej. A przy okazji przepraszam, że musiałam wyjawić im, w jakich okolicznościach do tego doszło. Uważałam, że mają prawo wiedzieć.

- Zgadza się i rozumiem. Dobrze, poproszę Dougala, żeby wszystkim się zajął i zaczął powiadamiać gości. Będzie bardzo rozczarowany, bo wczoraj radził mi, żebym się zamknął. Powie, że zmieniliśmy zdanie, nie ma potrzeby nic więcej dodawać. W moim imieniu odwoła przyjęcie i podróż poślubną. Z mamą sam porozmawiam, jak tylko zrobię ze sobą porządek. Spałem w ubraniu, strasznie wyglądam. Zakładam, że zajmiesz się podróżą dziewczyn i tak dalej? Zapłacę za nowe bilety na samolot, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- To bardzo miło z twojej strony, ale mam nadzieję, że nie będzie z tym problemu. Większy ruch jest w tę stronę, do Edynburga.

- Dziękuję, Abigail. - Mackenzie potarł oczy i przestał krążyć po pokoju. Usiadł na łóżku, przez chwilę patrzył na pudełeczko z zegarkiem, wreszcie je otworzył.

- Och, Saro, mogliśmy być tacy szczęśliwi - szepnął.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Mackenzie. To wielki szok. Jak się czujesz?

- Poradzę sobie. Mam nadzieję, że Sara też.

- Dobrze, w takim razie już pójdę. - Abigail wruszyła ramionami. - Trzymaj się.

- Ty też kogoś straciłaś, prawda? Chłopaka? - zapytał nagle, gdy Abigail była przy drzwiach. - Sara mówiła mi o tym dawno temu. Zginął w wypadku, tak?

- Tak. Na imię miał Donal i był irlandzkim londyńczykiem jak Sara i ja. Nasi rodzice dobrze się znali z irlandzkiego klubu w Kilburn. Jechał na motocyklu i potrąciła go ciężarówka. Wracał z pracy do domu. Kierowca twierdził, że w ogóle go

nie widział. Było ciemno, a Donal miał na sobie czarną skórę i czarny kask. Do dziś nie wiem, jak można było nie zauważyć tych wszystkich cholernych świateł, które Donal zamontował na swoim głupim motocyklu.

- To straszne. Kiedy to się stało?

- W listopadzie minęło siedem lat.

- I dlatego nie wyszłaś za mąż?

- Kto to wie? - odparła, uśmiechając się z wysiłkiem. Była przyzwyczajona do odpierania podobnych pytań ze strony pacjentów. Niektórzy zrobiliby wszystko, byle uniknąć rozmowy o własnych problemach.

- Przepraszam, Abigail, nie będziemy o tym rozmawiać, skoro nie chcesz.

- Nigdy nie przestałam go kochać, jeśli o to ci chodzi. W zeszłym roku spotykałam się z pewnym facetem, ale to nie było to samo, więc zerwałam znajomość. To znaczy lubiłam go, ale wiedziałam, że na dłuższą metę nic z tego nie będzie. Donal był dla mnie kimś bardzo wyjątkowym. Przy nim czułam się... czułam się także wyjątkowa. To była prawdziwa miłość, można powiedzieć.

- Ale przynajmniej nie ponosisz winy za wypadek? - zapytał Mackenzie, uważnie się jej przyglądając. - Nie masz jego śmierci na sumieniu. W przeciwieństwie do mnie.

- To nieprawda. Wypadek Jane również nie nastąpił z twojej winy. Nie bądź taki zaszokowany, Mackenzie. W tych sprawach jestem profesjonalistką. Jane zdecydowała się prowadzić samochód, choć może nie była dostatecznie przytomna, żeby to robić. Mogła wezwać taksówkę albo poprosić ciebie o podwiezienie, wolała jednak jechać sama. To był jej wybór. Tak samo twój ojciec uwielbiał jeździć konno, a Donal wiedział, że motocykle są niebezpieczne. Wiesz, statystyki dotyczące wypadków motocyklowych są przerażające. Ojciec błagał Donalą, żeby zamienił motor na jakiś wielki, nudny, bezpieczny samochód, ale on nie chciał słuchać. Rozmawialiśmy przez telefon pół godziny przed wypadkiem. Potem znowu zadzwonił telefon.

- Och, Abigail, to straszne. Ile czasu trwało, nim otrząsnęłaś się z żałoby?

- Ty pytasz mnie o żałobę? Cierpienie nigdy nie mija, prawda? Staje się częścią osobowości. Człowiek zmienia się, twardnieje i brnie dalej. Choć, przyznaję, śmieję

się rzadziej niż dawniej. Ale z drugiej strony nie ma sensu przez całe życie skradać się na paluszkach, ponieważ takie rzeczy się zdarzają, prawda? Można się modlić, żeby nie przytrafiły się akurat tobie, ale czasami niestety się przytrafiają.

- Prawda.

- Wiesz, mam dziesiątki pacjentów, którzy nie potrafią zaakceptować kierunku, w jakim potoczyło się ich życie. Zastygli w chwili, kiedy wszystko poszło źle. Kiedy mąż po raz pierwszy uderzył żonę, kiedy w dzieciństwie poprosili Świętego Mikołaja o nowy rower, a dostali kowbojski kapelusz i plastikowy pistolet. Nie chcę tak skończyć, Mackenzie. Nawet połowiczne życie jest lepsze niż to trwanie w złej chwili.

- Chcesz powiedzieć, że to mój przypadek? Skoro tak sądzisz, dlaczego nie zostałeś z tym mężczyzną, z którym spotykałaś się w zeszłym roku?

- Ponieważ w gruncie rzeczy samotność mi nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Jeśli mam być szczerą, myślę, że nigdy nie wyjdę za mąż. Zresztą z tamtym facetem trudno było wytrzymać, miał ekstrawaganckie skłonności. W końcu i tak by mnie zirytował swoimi prezentami: balonami z helem, pluszowymi misiami, serduszkami z sentymentalnymi napisami. Na moje urodziny wynajął białą limuzynę. Niech Bóg go błogosławi za te starania, ale ja nie znoszę takich rzeczy. Nie jestem w stanie poważnie ich traktować. Bo wiesz, pluszaki są dla dzieci, a białe limuzyny dla amerykańskich nastolatków, żeby jechać na bal maturalny, a nie w ulewnym deszczu czekać na czerwonym świetle w londyńskim korku.

- Biedak, przynajmniej próbował. Powinnaś to docenić!

- Jakies pięć minut później poznał inną dziewczynę, nie martw się o niego.

Teraz ona dostaje baloniki z helem.

- To dobrze.

Abigail spojrzała na zegarek i wstała.

- Okay, lepiej już pójść. Wszyscy będą się zastanawiać, gdzie jesteśmy. Przyślę do ciebie Dougala, dobrze? Czy raczej zejdiesz na śniadanie? Powinieneś coś zjeść, to dobrze robi na szok.

- Zejdę na dół, napiję się kawy. Może pospaceruję po śniegu z psami. Mama na pewno już je wyprowadziła, ale one uwielbiają śnieg...

- Posłuchaj, Mackenzie, daleko mi do wygłaszania wykładów o miłości. Ale uważam, że jeśli znajdujesz miłość, nie powinieneś rezygnować z niej bez walki. Gdyby Donal wrócił, nigdy bym nie pozwoliła, żeby coś między nami stanęło. Może powinieneś przełknąć dumę i jednak porozmawiać z Sarą? Jestem pewna, że zdołałbyś ją przekonać, żeby dała ci następną szansę. Ona ma bzika na twoim punkcie.

Mackenzie tylko pokręcił głową z uśmiechem.

- Wyjątkowa z pani dziewczyna, panno Halloran. Dziękuję, że ze mną dzisiaj porozmawiałaś.

Abigail kiwnęła mu głową na pożegnanie i poszła do drzwi. Później poskładała suknię ślubną Sary i zapakowała w bibułę, po czym z szacunkiem włożyła do swojej walizki.

Zwróci suknię Sarze po powrocie do Londynu. Dziewczyny postanowiły pojechać na lotnisko wynajętym minibusem. Zapowiadano dalsze opady śniegu i nie chciały utknąć tutaj na całe święta. W każdym razie nie w sytuacji, kiedy nad głową wisiała im bomba. W ponurym nastroju pożegnały Millicent o kamiennej twarzy i wrzuciły swoje bagaże do minibusa. Biedna Eliza trochę popłakiwała, bo jej marzenia o poznaniu kogoś na wspaniałym wigilijnym ślubie rozsypały się w proch. Abigail zobaczyła, że Mackenzie przygląda się ich odjazdowi z okna holu na piętrze. Pomachała do niego. W odpowiedzi kiwnął jej głową, ale ani nie pomachał, ani się nie uśmiechnął.

Rozdział 7

Bóg wie, że jestem w rozpacz

Śmiertelnie zmęczona Sara przeszła obok swojego cudownego srebrnego saaba na parking, kierując się do drzwi budynku. Mackenzie dał jej samochód na dwudzieste siódme urodziny razem z pierścieniem zaręczynowym z pojedynczym brylantem. Teraz będzie musiała obie te rzeczy mu zwrócić. Nie czuła pokusy, by chociaż jedną zachować. Wiedziała, że ich widok tylko łamałby jej serce. Za każdym razem gdy spoglądałaby na brylant migoczący w słońcu albo jechała na przejażdżkę przy wtórze ulubionej muzyki, jej serce rozpadałoby się na maleńkie kawałeczki, na proch. Postanowiła, że teraz się nie rozplacze. Przez cały dzień nie będzie płakać, ponieważ ma wiele do zrobienia. Kiedy znajdzie nowe mieszkanie i przeniesie swoje rzeczy, wtedy wypłacze sobie oczy.

Z bijącym sercem poszła do windy. Dzisiaj nie będzie fatygowała się po schodach. Ochroniarz jak zwykle siedział przy swoim niewielkim marmurowym biurku koło ślicznej i dość sporej żywej choinki ozdobionej figurkami Świętego Mikołaja i szklanymi reniferami. Na ścianie naprzeciwko windy wisiał wieniec z oszronionymi czerwonymi jagodami.

- Witaj, Saro - powiedział uprzejmie. - Zimno dzisiaj, co?

- Cześć, Tim - odparła Sara z całą wesołością, na jaką mogła się zdobyć. -

Wspaniała choinka, bardzo ładna! Co u ciebie?

- Nie mogę narzekać. A ty?

- Ja też nie mogę narzekać.

- To dobrze. - Gestem zachęcił ją, żeby poczęstowała się cukierkiem ze szklanej misy. - Jak nie będę uważał, nowa administratorka każe mi wejść na dach z dziesięcioma tysiącami lampek i pistoletem do wbijania. Ma bzika na punkcie Bożego Narodzenia. Co Święty Mikołaj przyniesie ci w tym roku?

- Wielką niespodziankę. Już mi ją dał - westchnęła Sara.

Jej wzrok padł na mały stosik plastikowych worków na stoliku w holu, przy których widniała prośba o przekazanie niepotrzebnych rzeczy i ubrań organizacji Help the Aged. Stała jak wryta i wpatrywała się w żółte worki przez pełne dziesięć sekund, później wszystkie zgarnęła i zaniosiła do mieszkania Mackenziego. Ktoś z organizacji poświęcił czas i siły, by dostarczyć te worki, myślała roztrzęsiona. Jakie to smutne, że los najbiedniejszych starszych obywateli kraju zależy od niechcianych drobiazgów innych ludzi. Rozłożyła worki na kuchennym stole. Było ich dziewiętnaście. Uznała, że wystarczy na jej dobytek.

Najpierw jednak zadzwoniła do rodziców, żeby im powiedzieć, że u niej wszystko w porządku. Oczywiście jej telefon wprawił oboje w zachwyty.

- Niech Bóg nas błogosławi, Saro, koteczku - powiedział czule ojciec. - Tak się cieszę, że cię słyszę. Od rana nie możemy usiedzieć na miejscu. No, od pół godziny. Abigail pokrótce opowiedziała nam, co się stało, i jesteśmy po twojej stronie, tego nie trzeba dodawać. On na ciebie nie zasługuje, skarbie. Nigdy w życiu o czymś takim nie słyszałem. Powinien był zachować te swoje głupie myśli dla siebie, bez dwóch zdań. Wskoczył z tym w nieodpowiednim czasie. To ty powinnaś być teraz w centrum uwagi. Miałem zamiar solidnie mu nawrzucać, ale w końcu postanowiliśmy, że będziemy trzymać język za zębami. Abigail uważała, że to nie nasz interes. To znaczy powiedziała, że to sprawa między nim a tobą. Powinien się wstydzić. A Millicent zawsze traktowała nas z góry, kiedy tam przyjeżdżaliśmy.

- Chcesz się dzisiaj do nas przeprowadzić? - zapytała matka, wrywając słuchawkę ojcu z ręki. - Tylko że twój pokój nie jest jeszcze gotowy. Ale nie przejmuj się, będzie. Odkręciłam grzejnik na cały regulator, a kołdrę wywiesiłam do wywietrzenia. Cudownie będzie mieć cię na całe Boże Narodzenie w domu, kochanie. Choć oczywiście twoje zaręczyny zostały zerwane, a ślub odwołany. Och, nie chciałam tak z tym wyskakiwać, skarbie. Wiesz, że miałam dobre zamiary. O której do nas przyjeździesz? Zrobię kurczaka i frytki.

- Oddaj mi ten telefon, kobieto - zażądał jej mąż niecierpliwie. - Kurczak z frytkami w takiej sytuacji? Najpierw musimy się dowiedzieć, czy nasza córka dobrze się czuje. Miałbym ochotę sprawić temu gościowi solidne lanie. Chociaż jest dwa razy ode mnie większy.

- Porządny posiłek pomoże Sarze odzyskać siły. Na pewno o wiele lepiej zrobi naszej córce, niż gdybyś dał się aresztować, ty cholerny idioto!

Sara słyszała, jak rodzice z furią coś do siebie szepczą. Wyglądało na to, że zapomnieli o niej.

- Oj! Natychmiast przestańcie! Jeszcze nie zdecydowałam, co będę robić. Na razie idę się położyć, całą noc nie spałam. Muszę odpocząć.

- Bo nie powinnaś była wymykać się w środku nocy - zganiła ją matka. - Wszystko mogło się zdarzyć. Czy to była taksówka z godnej zaufania firmy? Pomyślałaś, żeby to sprawdzić? W Ostowym Puchu mógł wybuchnąć pożar albo coś w tym rodzaju i nikt by nie wiedział, gdzie jesteś.

- Chciałam być sama, mamó. Przykro mi, że się martwiliście. Wiem, że postąpiłam głupio.

- Dobrze, wszystko w porządku. To już się stało, no nie? Będziemy tutaj, koteczku, gdy poczujesz, że jesteś gotowa na spotkanie z nami. Przyjedziemy po ciebie, jeśli chcesz. Tylko nie waż się znowu zniknąć, słyszysz? Biedna Abigail, wychodziła z siebie ze zmartwienia, kiedy znalazła twój list. Bądź silna, kotku. Kochamy cię.

- Kochamy cię - powtórzył ojciec ponad ramieniem żony.

- Tak, wiem. Ja też was kocham. Do zobaczenia.

- Cześć, kochanie. Odezwij się niedługo.

- Cześć.

Po tej rozmowie położyła się na sofie i spała kilka godzin, ani razu nie zmieniając pozycji, nawet o niczym nie śniąc.

Daleko w Szkocji Mackenzie chodził z psami tak długo, że zarówno zwierzęta, jak i on znaleźli się na skraju wyczerpania. Kilka razy już miał zadzwonić do Sary i za każdym razem się cofał. W końcu zdenerwował się na komórkę i rzucił ją w dół stromego zbocza. Co okazało się bardzo głupim postępkim, ponieważ był silny mróz, z minuty na minutę robiło się zimniej, a on musiał gołymi rękami kopać w śniegu, by wydobyć telefon. Przemarzył do szpiku kości, psy też dygotały na całym ciele. Potem Mackenzie przekonał się, że komórka jest zepsuta, i ogarnęła go panika. Niepotrzebnie się denerwował, Millicent bowiem już dawno wsiadła w dżipa i zaczęła go szukać.

Miała koce dla psów i termos z gorącą zupą dla swego ukochanego syna; w drodze do domu nie fatygowała się robieniem mu wykładu na temat rozsądnego zachowania w zimowych warunkach. Nawet Millicent wiedziała, kiedy człowiek dość się wycierpiał.

Teraz Mackenzie spał w starym fotelu koło kuchennego pieca. Gruby koc okrywał jego i sześć wyżłów zwiniętych w kłębek u jego stóp. Millicent obrzuciła tklwym spojrzeniem swoją małą rodzinę, potem jak zwykle zajęła się domowymi obowiązkami. Ugotowała zupę, odpowiedziała na pocztę, umyła naczynia, odkurzyła półki, odwiedziła firmę i w przewidywaniu dalszych opadów wcześniej puściła pracowników do domu, odmówiła modlitwę za zmarłego męża, tęskniąc za nim tak samo mocno jak zawsze, przyniosła drewno na opał, pozamiatała podłogi. Zastanawiała się też, czy nie powinna jednak na tym etapie wtrącić się w miłosne życie syna. Nie aprobowała rodzicielskich ingerencji ani swatania, mimo to uznała, że musi coś zrobić, by raz a dobrze wydobyć Mackenziego z jego muszli. W przeciwnym wypadku zestarzeje się i stanie się taki zrzędny jak ona.

Kiedy popołudniowe słońce blakło na niebie, Sarę obudziły głośnie kolędy, które w sąsiednim mieszkaniu ktoś puszczał na cały regulator.

Nagle przypomniała sobie, że niedługo jest Wigilia. Dzień ślubu. O świcie w pierwszy dzień Bożego Narodzenia z Mackenzie u boku zbliżały się do Nowego Jorku. Jej oszałamiający mąż i plany na przyszłość - wszystko to przestało istnieć.

Sara jak robot wstała, poszła cicho do sypialni i otworzyła szafy.

- Zatrzymam tylko to, co jest mi naprawdę potrzebne - powiedziała sobie surowo. Ponieważ w całej tej kłapie jedno było dla niej oczywiste: jeśli ma odejść od Mackenziego Campbella, zrobi to jak trzeba. Czyste cięcie bez wracania po książkę, ulubione naczynie do zapiekanek, listy albo z kluczami. Żadne tego rodzaju zależności nie wchodzi w grę dla Sary Quinn! Położyła na łóżku dwie otwarte walizki obite imitacją skóry z kucyka. Do większej spakowała swoje ulubione buty, te, które miała na wieczorze panieńskim: granatowe i błyszczące, z imitacji wężowej skórki, z wysokimi obcasami i złotymi paseczkami, a także trzy pary trzewików do kostek, najlepszy kostium do pracy, dwie pary najwygodniejszych dżinsów, dwa ciepłe swetry, skarpety i bieliznę, portfolio z pracami fotograficznymi, teczkę z dokumentami osobistymi. Do mniejszej walizki włożyła najlepsze kosmetyki i

ulubione piżamy razem z zimową kurtką, markowymi T-shirtami Stranglersów, płytami kompaktowymi oraz dwiema książkami o fotografii z autografami. Resztę ubrań, butów i drobiazgów starannie ułożyła w żółtych workach i windą zwoziła do holu.

- Wyprowadzasz się czy jak? - zapytał Tim nieco przestraszony ogromnym stosem rzeczy, którego będzie musiał pilnować. Nie mógł być przesadnie ostrożny, jeśli chodzi o kradzież, nawet w takim snobistycznym budynku pełnym bogatych ludzi. A poza tym żółte worki strasznie się gryzły z eleganckimi ozdobami świątecznymi. Administratorka się wścieknie! Ciekawe, czy można by je upchać w magazynku sprzątaczek, dopóki ktoś ich nie zabierze.

- Tak.

- Naprawdę się wyprowadzasz? Ja tylko żartowałem.

- Dzisiaj się wyprowadzam. - Sara uśmiechnęła się do niego, choć miała wrażenie, jakby całe jej ciało zbudowane było z malowanego szkła (jak te kruche, zabytkowe bombki w Ostowym Puchu) i w każdej chwili mogło się rozpaść na kawałki.

- Ha, to faktycznie nowina - powiedział Tim, przeglądając zapisy w swojej księdze. - Nie mam tu wzmianki o żadnych przeprowadzkach.

- Bo tylko ja się wyprowadzam, Mackenzie zostaje - wyjaśniła Sara, tłumiąc płacz.

- A tak. Rozumiem. Wielka szkoda. Przykro mi to słyszeć. Ach, to miałaś na myśli, jak mówiłaś o tej niespodziance?

- Tak. Przypuszczam, że powinnam była podać więcej szczegółów. Zajmij się tymi czterema workami, dobrze? Są w nich łatwo tłukące się przedmioty, naczynia i szklanki. Niektóre bardzo porządne. Bardzo bym nie chciała, żeby się potłukły. Mam jeszcze parę worków na górze, zaraz je przyniosę.

- Zajmę się nimi, nie martw się. Będą wzruszeni, jak to wszystko zobaczą.

- Dzięki, Tim, jesteś bardzo miły.

Uśmiechnęli się do siebie smutno. Sara po raz ostatni wychodziła z tego budynku, Tim przypuszczalnie utknął tu na zawsze, ponieważ w szkole się nie przykładał, a teraz miał żonę i córkę na utrzymaniu.

Razem ustawili worki w równy rząd za biurkiem, choć Tim wiedział, że zaraz po wyjściu Sary będzie musiał gdzieś je ukryć. W holu znalazła się jej obszerna kolekcja albumów. Cenne rekwizyty fotograficzne, w tym taca na ciasto z różowego szkła, którą kupiła w Wenecji, opakowane w liczne arkusze bibułki, także zostały dodane do rzeczy dla organizacji dobroczynnej. Stare kosmetyki i inne przedmioty nie nadające się do przekazania wylądowały w pojemniku na śmieci za budynkiem.

Poszła do mieszkania, czując się dziwnie pusta; zaparzyła sobie ożywczej herbaty i zadzwoniła do dawnego szefa. Powiedziała, że jednak nie wychodzi za mąż i nie przeprowadza się do Szkocji, więc czy jest jakaś szansa, żeby mogła dostać swoją pracę z powrotem? Wyraził współczucie i obiecał, że będzie o niej pamiętał, jeśli pojawi się wakat, ale bardzo mu przykro, poczynił już inne ustalenia. Sara podziękowała i życzyła wszystkim wesołych świąt. Słyszała, jak w tle przyjęcie dla personelu nabiera rozpędu.

Wzięła głęboki oddech, zabierając się do czynności, które ostatecznie rozdzielały ją z Mackenzie. Zmieniła pościel, wyszorowała łazienkę na wysoki połysk. Wyrzuciła słoiki kawy bezkofeinowej, masło orzechowe i inne rzeczy, o których wiedziała, że Mackenzie ich nie chce. Umyła lodówkę, opróżniła nawet mały kubeł pod zlewem i wyłożyła świeżym workiem. Bo kto wie, kiedy Mackenzie znowu tu przyjedzie? Traktował to mieszkanie jako inwestycję, a także ewentualne lokum dla dzieci na czas studiów.

Usunęła z sekretarki wiadomości do siebie, przepisała numery, zlikwidowała swój adres w komputerze, wprawdzie załatwiwszy przesyłanie e-maili na adres rodziców w Islington. Potem, wciąż wstrzymując łzy, swoim najlepszym piórem wiecznym na jasnoniebieskiej papeterii napisała list do Mackenziego.

Drogi Mackenzie!

Wiem, że postąpiłam źle, podsłuchując was wczoraj wieczorem, i gdybym mogła cofnąć czas, uczyniłabym to. Ale oboje dostatecznie dobrze już się poznaliśmy, by zdawać sobie sprawę, że to koniec między nami. Ty wciąż kochasz Jane, a ja nie chcę konkurować ze wspomnieniami o niej ani żyć w jej cieniu. Albo mówić, że Cię kocham, i oceniać szczerą Twoją odpowiedź. Może jakieś kobiety dałyby sobie z tym radę,

kobiety bardziej dojrzałe i wielkoduszne ode mnie, ale ja nie potrafię. Tak to wygląda. To nie jest Twoja wina i przykro mi, że dopiero teraz zrozumiałam, co naprawdę czujesz. Teraz przez jakiś czas zamierzam porządnie odpocząć i uporządkować myśli; mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze się ułoży. Będzie mi Ciebie bardzo brakowało i zawsze będę sobie cenila wspólnie spędzony z Tobą czas. Gdybym jednak teraz została, oboje wiedzielibyśmy, że jest w tym jakiś fałsz. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Proszę, pożegnaj ode mnie Millicent; naprawdę nie myślałam tego wszystkiego, co wtedy o niej mówiłam. Proszę też, żebyś dbał o siebie i nie pracował za ciężko.

Z wyrazami miłości Sara.

Na moment uniosła kopertę do ust, potem zaadresowała i nakleiła znaczek. Nada list, jak będzie stąd wychodzić, na końcu ulicy jest skrzynka pocztowa. Wsunęła list do kieszeni. Nic więcej nie zostało do zrobienia.

Odpocząć i uporządkować myśli, tak napisała. Ale niewielką na to miała nadzieję, prawda? Przy matce, która będzie się nad nią trzęsła, i ojcu gotującym się z bezsilnej wściekłości. Przez następne dziesięć lat będą wyrzekać z powodu odwołanego ślubu, powtarzać, że Mackenzie był dla niej za stary, więc może jednak dobrze się stało, że tamtego wieczoru Sara podsłuchiwała jak szpieg, przekonywać, że Bóg wybrał taki sposób na uratowanie jej przed nieszczęśliwym małżeństwem.

W najbliższej przyszłości będzie musiała zrobić rundę po redakcjach w poszukiwaniu nowej pracy. O której powszechnie sądzono, że jest łatwa jak bułka z masłem. Wszystkie te służbowe imprezy w porze lunchu, góry ślicznych prezentów, kosztowne koktajle.

Ha, fotografowie mogą tylko o tym pomarzyć! Gwiazda „Big Brothera” Jade Goody znajdowała się wyżej na liście gości niż kiedykolwiek Sara zawędruje. A w dodatku będzie musiała radzić sobie bez samochodu. Czekanie na autobus w deszczu, tłoczenie się wśród nieznajomych w metrze, dresiarze z nożami patrzący łakomie na jej torbę z aparatem. Też mi odpoczynek, pomyślała. Gdybym tylko miała kogoś, z kim mogłabym pojechać na wakacje.

Gdyby tylko ktoś zgodził się polecieć z nią na Wyspy Bahama albo do innego słonecznego rajku na dwa tygodnie. No ale widok innych par w podróży poślubnej czujących się pod palmami kokosowymi mógłby wyprowadzić ją z równowagi. Poza tym to i tak wykluczone. Abigail w każde Boże Narodzenie miała nawał pracy, a do spotkania z innymi dziewczynami Sara na razie się nie kwapiła. Dokąd więc o tej porze roku mogłaby udać się sama, żeby nikt się na nią nie gapił i nie traktował jak wariatki?

Odpowiedź nadeszła niczym życzenie bożonarodzeniowe.

Do Irlandii.



Rozdział 8

Czasami

Czasami dziewczyna musi zaufać intuicji.

Irlandczycy to bardzo tolerancyjny ludek, myślała Sara. Przyzwyczajony do smutków i rozpaczy, no nie? W pubie śpiewają smętne piosenki, upajając się nieszczęściem. W każdym razie tak było w przeszłości. Może teraz zmienili repertuar? Tak czy owak nie wezmą jej za wariatkę, jeśli pojawi się tam sama na krótkie wakacje w czasie, kiedy wszyscy świętują Boże Narodzenie. W tej kwestii nie miała najmniejszych wątpliwości. Ponieważ od kilkorga irlandzkich krewnych słyszała, że jej rodzice są pod każdym względem „zdrowi jak rydz”. Jej rodzice - para tak pełna zahamowań i dziwacznych poglądów, że kogoś, kto w łazience miał butelkę mydła w płynie, uważali za absolutnego snoba. A jeśli kolor mydła przypadkiem pasował do kafelków, ręczników czy czegoś tam, osobę taką automatycznie awansowali na Królową Matkę (mimo że kochana staruszka obecnie przebywała w towarzystwie aniołów). Jeśli natomiast ktoś miał coś naprawdę wyrafinowanego, na przykład prysznic z hydromasażem i drzwiami z rżniętego szkła albo patio z twardego drewna, zawsze nazywany był królową Sabą. Z drugiej strony ojciec i matka mieli bardzo, bardzo długą listę rzeczy charakteryzujących „człowieka, z którym nie należy bliżej się przyjaźnić”; listę tę otwierał niechlujny frontowy ogródek. Więc tak, jeśli rodziców Sary Irlandczycy określają jako „zdrowych jak rydze”, to Irlandia zdecydowanie jest miejscem, do którego powinna pojechać. Można mieć nadzieję, że doskonale będzie tam pasować. Czy Abigail nie powtarzała jej wiele razy, że ma bardzo dziwny sposób patrzenia na różne sprawy?

W taki oto sposób Sara zdecydowała, że na jakiś czas wyjedzie do Irlandii. Do małej wioski (właściwie osady) o nazwie Redstone na zachodnim wybrzeżu Irlandii, gdzie człowiek ciągle natyka się na pustkowia, a życie toczy się wolno. Jej rodzice pochodzili z Redstone i rodzina spędzała tam uroczne wakacje, kiedy Sara była mała.

Spokojne wakacje, w czasie których siedzieli na plaży albo w wynajętej przyczepie, czytali książki z biblioteki, jedli zasypane solą rybne kolacje ze smażalni. Boże, Sara nagle zobaczyła siebie: jako nastolatka szczodrze soli ryby i frytki! Za każdym razem pewnie było tego z sześć łyżek. A mimo to smakowało bosko. Dlatego że do smażenia używali „najlepszego z dobrych olejów”, jak mówił z dumą ojciec.

Sara nie była tam od dzieciństwa, nawet jej rodzice ostatnimi czasy coraz rzadziej jeździli do Redstone, bo coraz częściej zamiast na znajomych natykali się na „napływowych i takich, co mają tam drugi dom”. (Nieważne, że sami swego czasu byli w Londynie napływowymi. To był kolejny z serii ich pokrętnych poglądów.)

Teraz jednak Redstone wydawało się odpowiedzią na modlitwy Sary. Nagle uświadomiła sobie, że jest bardzo zmęczona w sensie ogólnym. Potrzebowała wytchnienia od karuzeli życia. Nikt nie będzie za nią tęsknił, właściwie nie. Rodzice zawsze spędzali pierwszy dzień świąt u krewnych w Teddington, a skoro ślub został odwołany, w tym roku też mogą do nich pojechać. Poradzą sobie bez niej. Prawdę mówiąc, bez niej będzie im lepiej. Nie chciała, by patrzyli, jak córka bezsilnie szlocha nad gniecionymi pasternakami i butelkami sosu HP. (W rodzinnym kręgu Quinnów wszyscy byli uzależnieni od sosu HP.) Nie, naprawdę nie czuła się na siłach znosić świątecznego szaleństwa w Teddington. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak w porze podwieczorku wygrzebują stare winylowe płyty, przesuwiają meble pod ścianę i szaleją do wtóru piosenki „Hacklebuck”.

Sara nie chciała im tego zepsuć. I tak będą mieli dość roboty, próbując odtworzyć świąteczne zwyczaje klasy robotniczej z lat siedemdziesiątych, kiedy sami byli młodzi: papierowy obrus i serwetki, ozdoby z papieru poskładanego w harmonijkę na suficie, papierowy kapelusz dla każdego. Podpalanie bożonarodzeniowego puddingu było czystym koszmarem. Ojciec zawsze stał w pobliżu z gaśnicą w ręku, kiedy błękitne płomienie strzelały w górę.

Czas się zbierać.

Była bardzo wzruszona, gdy po raz ostatni szła korytarzem, ciągnąc za sobą dwie pękate walizy. Wcześniej chciała schować swoje eleganckie czarne pióro wieczne do torebki, ale dłoń tak jej się trzęsła, że nie była w stanie otworzyć zamka błyskawicznego i musiała włożyć je do kieszeni. Po raz ostatni powiodła wzrokiem po

mieszkaniu, by się upewnić, że niczego nie zapomniała, ale nie, wyglądało na to, że może iść. Miała iPoda, paszport, komórkę i portfel. Klucze do mieszkania, kluczyki do saaba i pierścionek zaręczynowy włożyła do małego sejfu w sypialni. Poza tym nic w nim nie było. Przez chwilę bawiła się złotą bransoletką, w końcu jednak postanowiła ją zachować jako pamiątkę po dobrych czasach z Mackenzie. Wzięła walizki, zarzuciła na ramię torebkę i torbę z aparatem i o mało nie zakwiliła, uświadamiając sobie ostateczność swej decyzji. Pokuśtykała do drzwi, zamknęła je za sobą i ruszyła do windy.

- Cześć, kochana, dbaj o siebie - powiedział Tim serdecznie ze swego gniazdka pełnego staroświeckich ozdób i cukierków w pasiastych papierkach.

Ledwo była w stanie kiwnąć głową.

Kiedy szła ulicą, serce waliło jej jak dzwon, który w wesołym miasteczku obwieszcza, że śmiałkowi udało się dostatecznie mocno nacisnąć pedał automatu do mierzenia siły. Dotarła do postoju taksówek na końcu ulicy i zachowała na tyle przytomności umysłu, żeby na stacji Paddington wsiąść do autobusu Heathrow Express i kupić bilet lotniczy do Dublina.

Dlaczego po prostu nie pojechała do Islington? Takie pytanie zadawała sobie w kawiarni na lotnisku, siedząc przy cappuccino z pianką, które do picia było stanowczo za gorące. Dlaczego nie wróciła do domu, gdzie wciąż ma swój pokój? Mały pokój na poddaszu z wytłaczaną kwiecistą tapetą i plakatami gwiazd popu (wyciętymi z czasopism muzycznych) w kolorowych plastikowych ramkach. Rodzice byliby uszczęśliwieni, mając ją z powrotem.

No cóż, nie mogła jechać do Islington właśnie dlatego, że rodzice są tacy kochani, a jej dawna sypialnia wciąż na nią czeka ze swą atmosferą nastoletniej niewinności. Nigdy więcej nie chciała spać sama w pojedynczym łóżku pod świetlikiem. I nie chciała niczego wyjaśniać rodzicom, dopóki sama tego nie zrozumie. Pragnęła pojechać w nowe miejsce, iść do przodu. Pragnęła prowadzić życie doskonale, pozbawione kompromisów, bez tych „nic nie szkodzi” i „co by było, gdyby”. Tak, zdawała sobie sprawę, że jest beznadziejną idealistką. Mogli być razem wystarczająco szczęśliwi pomimo podsłuchanego wyznania Mackenziego. Ale „wystarczająco szczęśliwa” to było za mało dla Sary Quinn. Ona chciała być

ekstremalnie szczęśliwa. Abigail doradziłaby jej terapię z powodu skłonności do perfekcji, pomyślała Sara wstając, gdy zapowiedziano jej lot. Na plastikowym blacie zostawiła nietknięte cappuccino. Cóż, słusznie czy nie, podjęła decyzję.

- Nie oglądaj się za siebie - powtarzała sobie, kiedy samolot nabierał prędkości na pasie, unosząc okrągły nos ku ciemniejącemu niebu. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem.



Rozdział 9

W różowym jej do twarzy

Jak było do przewidzenia, Sara przespalała pięćdziesięciominutowy wieczorny lot do Dublina i samolot zdążył wylądować, nim otworzyła oczy. Ale gdy wysiadła z autobusu w centrum miasta, zaczęły ją dręczyć dojmujące wyrzuty sumienia. Rozgorączkowana i spanikowana wyobrażała sobie reakcję Mackenziego na jej list. Czy odszuka ją i przyjedzie do Irlandii, dążąc do konfrontacji? Niemal zaczęła się go bać. Zawsze był uosobieniem siły, może nie przyjmie spokojnie odmowy. Ani razu jednak do niej nie zadzwonił, nie zostawił wiadomości, więc przypuszczalnie nie zamierza jej ścigać. Może nigdy więcej go nie zobaczy. Ta myśl wywołała w niej poczucie osamotnienia. Zaczęła do niej docierać rzeczywistość. Może ci, co godzą się na kompromisy, mają trochę racji, pomyślała przerażona. Ale kilka razy ze skupieniem odetchnęła i poszła dalej.

Przez jakiś czas chodziła po otwartych do późna sklepach; w jednym, małym sklepiku z upominkami o nazwie Srebrna Klatka dla Ptaków, w niezrozumiałym dla siebie porywie kupiła kamienną głowę Buddy. Posąg był duży, na oko dwie trzecie naturalnej wielkości, i ważył tonę, a przecież dość miała własnego bagażu. Z jakiegoś powodu jednak nie potrafiła przejść obok niego obojętnie.

Odreżyła się, czując zapach róż unoszący się w powietrzu i patrząc na twarz Buddy oświetloną zielonymi i niebieskimi reflektorami, która znajdowała się w ozdobnym szklanym pojemniku razem z innymi drobiazgami. Budda przypominał Sarze, że jest tylko drobinką w kosmosie, a to znaczyło, że jej problemy także są tylko drobinkami. To była kojąca myśl. Natomiast kobieta za kontuarem zdawała się wiedzieć, że Sarze potrzebny jest przyjaciel. Była gadatliwa, wypytywała o powody przyjazdu do Dublina i o plany na Boże Narodzenie. Sara dokładała starań, by jak najmniej o sobie powiedzieć, i marzyła, by ta przenikliwa czarownica po prostu spakowała posązek i wrzuciła go do torby. Spoglądała w okno, na zegarek, dając do zrozumienia sprzedawczyni, że się śpieszy. Nie mogła jednak nie zauważyć jej

wyglądu: kobieta miała kruczoczarne włosy, czarną staroświecką suknię z lat czterdziestych oraz grafitowy cień na powiekach. Była niewiarygodnie piękna, o długich i szczupłych rękach z pomalowanymi na czarno paznokciami. Otaczał ją obłok silnych perfum. Sara nie potrafiła dojść, z jakiego powodu sprzedawczyni wydaje się tak fascynująca. Może jest wróżką albo kimś w tym rodzaju. Sprawiała takie wrażenie.

- To przyniesie pani szczęście - oznajmiła tajemnicza kobieta, z życzliwym uśmiechem wręczając Sarze torbę z grubego czarnego papieru. - Wesołych świąt.

- I wzajemnie - odparła wesoło Sara. - Nie wiem, czy posążek przyniesie mi szczęście, ale solidne bicepsy na pewno. Do widzenia.

Przycisnęła do siebie rzeczy, żeby czerpać z nich otuchę, ale też uniknąć ciągłego potrącania przez innych, i uznała, że czas najwyższy znaleźć nocleg.

Kupiła butelkę taniego wina (na wypadek, gdyby miała ochotę na szklaneczkę przed snem) i wynajęła pokój w małym przytulnym hotelu blisko Saint Stephen's Green. Wzięła długi, gorący prysznic, po czym chciała zamówić do pokoju kawę i świąteczny przysmak, na przykład kanapki z indykiem. Recepcjonistka odparła, że bardzo jej przykro, ale dzisiaj kuchnia już jest zamknięta. Sara opadła na łóżko w swym zaskakująco wygodnym i staroświeckim pokoju, otworzyła wino i zadzwoniła do rodziców, żeby życzyć im dobrej nocy.

Na mniej więcej godzinę zapomniała o bożym świecie, popijając wino z filiżanki i zaśmiewając się z chaotycznych wygłupów w „Nawiedzonych”, na który to program trafiła przez przypadek. (Grupa ludzi deptała po sobie, wrzeszcząc z przerażenia i miotając się jak Flip i Flap w jakiejś nieszkodliwej, wilgotnej piwnicy.) Wkrótce butelka była opróżniona do połowy. Wyczerpana śmiertelnie Sara zwinęła się w kłębek na kołdrze i tak długo cicho płakała, aż zasnęła. Należy tu stwierdzić, że towarzyszyły jej zarówno ulga, jak smutek. Czuła ulgę, że o uczuciach, które jej narzeczony żywi do Jane, dowiedziała się, zanim było za późno, i że nie będzie musiała do końca życia wysilać się, by zdobyć serca mieszkańców wioski. A równocześnie miała koszmarne wyrzuty sumienia, że tak bez słowa porzuciła Mackenziego. Trochę też go nienawidziła, bo nie pobiegł za nią i nie próbował przekonać do powrotu. (Co nie miało najmniejszego sensu, ale z drugiej strony w tej akurat chwili nie myślała rozsądnie.) Tęskniła też za jego pocałunkami; Mackenzie był

bardzo czuły i namiętny w łóżku, a teraz nigdy więcej nie będzie mogła przytulić się do jego muskularnego ciała i całować tak długo, aż poczuje, że usta jej się rozpływają. Najważniejsze jednak, że postąpiła słusznie. Dla nich obojga tak było najlepiej.

Sara obudziła się o dziewiątej rano ze strasznym kacem i zeszywniałym ramieniem, bo spała na podwiniętej ręce. Próbowwała poprawić sobie nastrój, przebierając się w najcieplejszą piżamę, otulając się pościelą i z zamkniętymi oczami słuchając radia. Nie potrafiła jednak odpędzić od siebie pytania, co do diabła pocznie dalej. Znowu była niezależna i to ją przerażało. Rozpoczęła nowe życie, ale na razie wyglądało ono dość ponuro.

Wiedziała, że musi znaleźć w Londynie nowe mieszkanie oraz dobrze płatną pracę, żeby stać ją było na czynsz. Oszczędności miała małe, ledwo trzy tysiące funtów. Poprosi swoich kreatywnych przyjaciół, żeby rozglądali się za wakatami. No i wciąż w każdej chwili może porozmawiać z Abigail, nie powinna o tym zapominać. Abigail nie przestała być jej najlepszą przyjaciółką, chociaż wczoraj jej telefon prawie przez cały dzień był wyłączony. Na pewno ma roboty po łokcie z niewiernymi żonatymi facetami, którzy zastanawiają się, gdzie spędzić Boże Narodzenie: u udręczonych żon i dzieci czy ślicznych młodych kochanek. Abigail twierdziła, że mnóstwo playboyów cierpi na wyrzuty sumienia, kiedy w telewizji widzą reklamy zabawek, chociaż przez resztę roku bez trudu dzielą swoje życie na odrębne części. W styczniu wrócą do trwających do późnej nocy „spotkań w interesach”. Ciekawe, z kim się będą konsultować?

Minęła dziesiąta; Sara postanowiła, że wstanie i stawi czoło przyszłości. Dzień lub dwa spędzi w Dublinie, czekając na koniec świątecznej gorączki. Może uda jej się dostać bilet na jakieś przedstawienie, przynajmniej na parę godzin oderwie myśli od dręczących ją problemów. Na razie sprawdzi, jakie lokum można wynająć w Redstone zimą. Może znajdzie się jakiś hotelik z nastrojowym (słabo oświetlonym) holem i pianistą grającym smutne melodie dla samotnych serc jak ona? Wzięła długi, kojący prysznic, włożyła ciepły sweter i dżinsy, po czym przepakowała walizki, układając rzeczy z naukową precyzją. Znowu zadzwoniła do rodziców. Powiedzieli, że właśnie wychodzą na herbatę i kanapki do cioci Jean, a potem wybierają się na mszę, po której zmówią modlitwę przy żłóbku na dziedzińcu. Sara roześmiała się; zawsze uważała, że

brzmi to tak, jakby szli modlić się na próg przychodni ginekologicznej. (Sama nie była religijna.)

- Pomódlcie się za mnie - powiedziała Sara i tym razem mówiła szczerze; wyobraziła sobie, jak rodzice kradną garść „świętego sianka” spod glinianego Dzieciątka Jezus (robili to co roku). Kradzież świętego sianka była jedną z najcenniejszych rodzinnych tradycji Quinnów.

- U ciebie wszystko w porządku, skarbie?

- Tak, naprawdę czuję się całkiem dobrze.

Zapewnili o swoim współczuciu i miłości, dołożyli też starań, by nie okazać zbyt wielkiego zdziwienia na wieść, że córka dzwoni z hotelu w Dublinie, zamiast odpoczywać w małej sypialni na pięterku. Po skończonej rozmowie Sara przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Uznała, że wygląda na starszą. Starszą i mądrzejszą. Co tam, w gruncie rzeczy przyjemnie było znowu brać sprawy w swoje ręce, zamiast dryfować na nurcie przyzwyczajęń i rutyny. Teraz musi pokonywać każdą godzinę małymi dziecinnymi kroczkami, aż z godzin zrobią się tygodnie, miesiące, wreszcie lata. Wtedy też smutek i szok zblakną, a ona stanie się o wiele silniejsza. Przynajmniej w teorii.

Obecnie była bardzo głodna. Energicznie zeszła do mrocznej jadalni w piwnicy, ozdobionej dzwonekami ze srebrnej folii i ogromnymi błyszczącymi płatkami śniegu. Znalazła wolny stolik w kącie i zabrała się do śniadania składającego się z grzanek, wieprzowych kiełbasek, jajek sadzonych i grillowanych pomidorów. Bez powodzenia. Bo choć głód skręcał jej kiszki, gardło buntowało się na sam zapach rozgrzanego tłuszczu. Kilka razy odsuwała talerz, przyciągała z powrotem i ponawiała próbę. W tę albo we w tę, zganiła się w duchu; widziała, że kelnerka przygląda się jej z troską. Ale nie, wciąż odczuwała mdłości po czterech kieliszkach wina wypitych wieczorem, a intensywny aromat tłustych kiełbasek wcale nie pomagał. Zdołała przełknąć kilka łyżek płatków kukurydzianych z zimnym mlekiem, zanim uznała, że to jednak zbyt ryzykowne. Ale filiżanka herbaty trochę uspokoiła jej żołądek i Sara zanotowała w myślach, żeby do końca życia nie przesadzać z winem. Od dzisiaj poprzestanie na góra dwóch kieliszkach. Kelnerka zdawała się rozumieć jej trudne położenie; napiwek przyjęła z wesołym i współczującym uśmiechem.

- Proszę o siebie dbać. Wesołych świąt - powiedziała bardzo uspokajającym głosem. Sara kiwnęła głową, niezdolna na razie pojąć, co właściwie robi w centrum Dublinu skacowana i bezdomna. Zastanawiała się, dlaczego czuje taką wdzięczność za uśmiechy i miłe słowa ochroniarzy, sprzedawców i kelnerek, skoro praktycznie przy ołtarzu rzuciła cudownego mężczyznę. Czy powinna do niego zadzwonić?

Powinna?

Nie, już dość go zraniła.

Będzie szła naprzód. Zapyta w recepcji, czy mogą jej polecić przyzwoite miejsce koło Redstone. Kiedy jednak kilka minut później mijała recepcję, nikogo tam nie było. Słyszała, jak personel śmieje się w pokoju telewizyjnym. Leciał jakiś talk-show i wszystko wskazywało na to, że do hysterii doprowadziły ich workowate spodnie prezentera.

- Ojej! Fajne spodnie, szkoda, że nie masz dupy, żeby w nie wsadzić, stary! Hej, patrzcie, jak się rusza. Nie wiem, co szybciej traci, włosy czy tylek!

Sara wróciła do pokoju i usiadła na łóżku, żeby się zastanowić. Doszła do wniosku, że czas na makijaż. Odrobina różu i muśnięcie ust jaskrawoczerwoną szminką sprawia, że znowu poczuje się żywa. Wyszczotkowała swoje błyszczące czarne włosy i upięła je w wysoki kok za pomocą spinek z brokatem, bo w końcu jest Boże Narodzenie. Pomalowała też rzęsy tuszem. Bo chociaż dziewczyna przeżywa burzę uczuciową, zawsze zostają jej gęste rzęsy. Zawięzała swój ulubiony szal w groszki w wielką kokardę na szyi, ponieważ taką miała ochotę. Wyszła na spacer po ulicach w pobliżu hotelu, cały czas powtarzając sobie, że jest odważną, niezależną kobietą na progu wielkiej przygody. Miała nadzieję, że gdy przygoda dobiegnie końca, nie będzie musiała wracać do mamusi i tatusia. Choć to niewykluczone, zważywszy, że ceny nieruchomości w Londynie są obecnie niebotyczne. A Sara nie miała ochoty na współlokatorów: och, cześć, przepelniony kosz na śmieci w kuchni i ciągły brak papieru toaletowego! Do diabła, istnieje możliwość, że będzie wdzięczna za stryżek w Islington, jeśli w najbliższej przyszłości nie trafi się jej nic innego. Mamusia, tatuś i Sara znowu razem. Siedzą we troje na potężnej sofie w dużym pokoju z filiżankami herbaty z mlekiem i kawałkami ciasta migdałowego w dłoniach, oglądając „Śledztwa

Hetty Wainthropp". Sara niemal słyszała żałobną trąbkę z czołówki i bała się, bardzo się bała.

Wyszła z hotelu. Spoglądając w okno małej agencji wynajmu nieruchomości przy O'Connell Street, zauważyła nagle prawdziwy raj. Mała różowa chata ze skośnym dachem pokrytym dachówkami, wtłoczona między dwa większe, nowocześniejsze domy. Jedno okno i drewniane drzwi jak w chatce Jasia i Małgosi. Koszyk z wikliny pełen różowych i czerwonych kwiatów wiszący pod szczytem dachu. Śliczna żeliwna ławka pod oknem, zapraszająca przechodniów, by usiedli i odpoczęli. Sara usiłowała przytłumić entuzjazm, mówiąc sobie, że przecież zdjęcie zrobiono w środku lata. Prawdopodobnie dom nie wygląda tak apetycznie teraz, gdy jest ciemno i pochmurnie. Wydawał się jednak dziwnie znajomy i to ją zaintrygowało. Przeczytała opis pod fotografią:

Różana Chata, Redstone. Czynsz: 250 euro tygodniowo.

Redstone?

Oczywiście! Teraz sobie przypominała: różowy domek w Redstone!

O mało nie padła z wrażenia. To po prostu niesamowite! Chciała spędzić parę tygodni w Redstone, a tu okazało się, że najśliczniejszy dom na całym świecie jest do wynajęcia. Nie mogła w to uwierzyć, kolana się pod nią uginały i z trudem trzymała się na nogach. Czynsz był dość wysoki, to trzeba przyznać. Ale jak mówili jej rodzice, w ostatnich latach Redstone stało się przystanią artystów. Może dlatego opłaty są wyższe niż w większości dzielnic Londynu. Tysiąc euro miesięcznie za taki mały domek? Chata jednak zdawała się do niej wołać i wciąż była tańsza niż hotel. Stanowiła uosobienie delikatnej kobiecości i bezpiecznego schronienia. Stanowiła też całkowite przeciwieństwo Ostowego Puchu, który był dworzyszczem ogromnym, imponującym i zbudowanym z ciemnego kamienia. Sara rozpaczliwie zapragnęła zobaczyć Różaną Chatę od środka, pomieszkać w niej przez jakiś czas. Napisać do kogoś list (do kogokolwiek, nawet do dyrektora banku) i podać swój adres: Różana Chata, Redstone, Irlandia. Kod pocztowy niepotrzebny. Jakie to cudowne! Czy ośmieli się przedłużyć wakacje? Do trzech tygodni? Miesiąca?

Nagle z przyływem frustracji przypomniała sobie, że nie ma za dużo pieniędzy. Jeśli wynajmie chatę na miesiąc, gotówka, która jej zostanie, ledwo

wystarczy na podstawowe utrzymanie. A co tam. Przecież nie musi mówić pośrednikowi, że jest na skraju bankructwa, zdecydowała odważnie. Zanim zdążyła się powstrzymać, weszła do środka i zapytała siedzącego za biurkiem młodego człowieka, czy Różana Chata jest do wynajęcia. Była. Alleluja! W wyobraźni zobaczyła chór aniołów sfruwający z niebios z pieśnią na ustach.

- Dom wczoraj został zwolniony - oznajmił chłopak z dumą. - Szczęściara z pani.

- Wynajmę go na dwa miesiące - powiedziała Sara bez tchu, zdumiona własną ekstrawagancją. Na plus agenta należy zapisać, że nie zaskoczyła go decyzja klientki, która letni domek wynajmuje na dwa miesiące w samym środku zimy. Potrzebowałaby stroju pływaka, żeby o tej porze roku pływać w morzu. Ale to nie była jego sprawa.

- Kiedy zamierza pani wyjechać? Po Nowym Roku?

- Dzisiaj. Pomyślałam, że lepiej pojechać dzisiaj, zanim na czas Bożego Narodzenia przestaną kursować autobusy. Czy to panu odpowiada?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że pojedzie pani tak szybko.

- To jakiś problem?

- Ależ nie, przecież pani płaci! - Uprzejmie wypisał rachunek, wziął od niej kartę kredytową, a po dokonaniu transakcji wręczył jej obie te rzeczy zamaszystym gestem zawodowca. - Zatem wybrała pani wioskę Redstone, tak? Urocze ciche miejsce na samym brzegu Atlantyku, dziesięć mil na zachód od Galway. Ma pani samochód? Nie? W takim razie musi pani z głównego dworca w Dublinie złapać autobus do Galway, a tam przesiąść się do autobusu do Redstone. Nie wiem tylko, czy właścicielka pomoże się pani zadomowić.

- Dam sobie radę. Prace domowe nie są mi obce, a w Redstone byłam już wcześniej.

- Doskonale. Mam nadzieję, że miło spędzi pani czas. Ma pani krewnych w wiosce?

- O tak, wielu - zapewniła prędko Sara. Nie chciała, by chłopak pomyślał, że jest stuknięta czy coś w tym rodzaju. Albo smutna i przygnębiona.

Pośrednik powiedział, gdzie może odebrać klucz do Różanej Chaty.

Sara pograżyła się w śnie na jawie o swoim nowym domu.

Ha, róże teraz nie kwitną, ale nazwa zapewne oznacza kolor, a to całkiem wystarczy. Nie potrafiła zmusić się do wypowiedzenia słów „Różana Chata” na głos, ponieważ brzmiało to za pięknie, żeby było prawdziwe. Jak Ostowy Puch, który okazał się marzeniem niemożliwym do zrealizowania. Pomyślała, że jeśli za dużo będzie rozmyślała o tym małym różowym domku, to on się rozplynie. Tak samo jak ślubne plany.

- Słyszysz mnie pani? - zapytał agent uprzejmie.

- Tak, wszystko ustalone - odparła Sara, pragnąc już ruszyć w drogę. - Mam zapukać do domu numer siedem i poprosić o klucz? Ale zaraz, przecież mówił pan, że właścicielki może nie być? Nie ma pan drugiego klucza w biurze?

- Nie. Właśnie to próbowałem pani wyjaśnić. Pani Casey mieszka dwa domy od Różanej Chaty, pod numerem siódmym, i ma jedyny klucz, ponieważ zamek w drzwiach wejściowych jest bardzo stary, a rodzina traktuje klucz jako coś w rodzaju dziedzictwa. Oczywiście zadzwonię, żeby ją uprzedzić o pani przyjeździe. Jeśli pani Casey nie będzie w domu, bo zwykle Boże Narodzenie spędza u siostry w Spiddal, proszę zapytać o klucz w sklepie spożywczym. Jeśli sklep będzie zamknięty, pójdzie pani do pubu. A jeśli pub także będzie zamknięty, klucz znajdzie pani w koszyku wiszącym na domu. Stanie pani na ławce i go wyjmie. Czy to jasne?

Sara bez słowa potaknęła; obawiała się, że wszystko to, bardzo niejasne i niepewne, może oznaczać, iż noc spędzi na małej żeliwnej ławce.

- Czy to jasne? - powtórzył agent. - Ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Och, przepraszam, nie. Wszystko rozumiem. Dziękuję i wesołych świąt.

- I nawzajem. Do widzenia w takim razie. Gdyby miała pani jakieś problemy, proszę dzwonić na ten numer. - Podał jej wizytówkę firmy.

- Wielkie dzięki. Do widzenia.

Teraz Sara zaczynała się martwić, że Redstone to zapadła dziura. Beztroskie podejście pani Casey do zabezpieczeń także nie napawało otuchą. Wyglądało jednak na to, że Sara po prostu musi polegać na uprzejmości nieznajomych. Rozpoczynała przygodę, a przygody pełne są niespodzianek i niepewności. Czyż nie tak?

- Dobra, ruszamy - powiedziała zdenerwowanym piskliwym głosem, który nagle przypomniał jej matkę.

Pośpiesznie wróciła do hotelu, żeby się spakować i stamtąd pójść na dworzec autobusowy. Chętnie zostałaaby jeszcze dzień w Dublinie, pochodziła po sklepach i może też wypić po południu herbatę w Four Seasons, ale wiedziała, że podróż do Różanej Chaty środkami transportu publicznego zajmie jej cały dzień, więc nie miała czasu do stracenia.

Bez trudu trafiła na dworzec i kupiła bilet. Na nieszczęście mnóstwo ludzi wybierało się tego dnia do Galway, ludzi w radosnym nastroju jadących na święta do domu. Widziała rząd luksusowych autokarów już wypełnionych pasażerami. Kasjer wyjaśnił, że przedsiębiorstwo wypuściło na drogi wszystkie pojazdy z taboru, a nawet kilka wynajęło od właścicieli prywatnych. Autobus, do którego skierowano Sarę, musiał pochodzić z muzeum techniki. I po drodze miał mnóstwo przystanków. No ale kasjer z przepaszającym grymasem uprzedził ją, że przejazd przez kraj potrwa siedem godzin.

Cóż, nie pozostało jej nic innego, jak odwiedzić toaletę, kupić kilka batoników tiffin oraz tygodnik „Heat” w kiosku, żeby jakoś przetrwać podróż, i zająć miejsce w autobusie.

Kiedy dziesięć minut później autobus wytoczył się z dworca i hałaśliwie ruszył na zachód, Sara pocieszała się obrazem Różanej Chaty i starała się nie myśleć, co będzie dalej. Przynajmniej w Irlandii nie padał śnieg, więc za jedno mogła być wdzięczna losowi. Usadowiła się wygodnie, by chociaż część uciążliwej podróży przespać, i zobaczyła, że nagle niebo pociemniało i pojawiły się pierwsze maleńkie płatki, które zaczęły oblepiać okna.

Rozdział 10

Omdlewając na widok piękna

Kiedy Sara przybyła do Redstone, wieczór już dawno zapadł. Różana Chata przestała być ślicznym zdjęciem w folderze, a stała się prawdziwym domem zbudowanym z cegieł i zaprawy. A może z kamieni i drewna. W ciemności trudno było to stwierdzić. Z całą pewnością domek był mniejszy, niż sobie wyobrażała, ale w każdym calu równie wspinały, zapraszający i przytulny, mimo że w koszyku klucza nie znalazła. Niedaleko znajdował się posterunek policji, niewiarygodnie mały, mniejszy nawet od chaty, jeśli to w ogóle możliwe, ze śliczną skrzynką pełną bożonarodzeniowych roślin na oknie i staroświecką niebieską lampą policyjną świecąca w ciemności. Starsza kobieta z psem kiwnęła głową do Sary, potem minęła ją młoda para w niechlujnych dzinsach: objęci w pasie dyskutowali o rewelacyjnej akwareli, którą niedawno oglądali.

W domu numer siedem należącym do pani Casey nikt nie odpowiedział na pukanie. Sklep spożywczy, o którym mówił agent, był niestety zamknięty na cztery spusty, tylko poźółkła chorągiewka z „HB Maxi Twist” powiewała wolno na wietrze.

- HB maxi twist - powiedziała głośno Sara, spoglądając na wysmukły rozek lodów waniliowych z dodatkiem syropów z limet i malin. Od dwudziestu lat takich nie jadła. - Muszę pamiętać, żeby jutro je kupić, o ile sklep będzie otwarty. O mój Boże, a jeśli go nie otworzą? Nie przywiozłam żadnego jedzenia, tylko tego kamiennego Budę, świetny wybór, dziewczyno. Umrzesz z głodu! - Zaraz jednak napomniała się, że ludzie głośno mówiący do siebie na ulicy nie cieszą się powszechną sympatią. Teraz jest niezależną kobietą i musi przynajmniej sprawiać pozory, że sobie radzi.

Klucz do Różanej Chaty? Trzeba go poszukać. Musiała poczuć ciężar klucza na dłoni, żeby uwierzyć, iż jej marzenie o samodzielności naprawdę się urzeczywistnia. A nade wszystko marzyła o dobrze przespanej nocy. Pragnęła obudzić się w miejscu, które nie było hotelem, domem rodziców czy dworem Mackenziego, tylko jej własnym mieszkankiem, nawet jeśli tymczasowym. No tak, klucz musi być w pubie.

W oddalonym o kilka domów, ślicznym jak z pocztówki budynek okna płonęły jasno, a przez otwarte drzwi słychać było urywki ożywionych rozmów.

- Dobra - powiedziała sobie Sara stanowczo, wyczerpana podróżą, której ostatnia część odbywała się po wąskich, wyboistych, krętych drogach. Długie gałęzie głogów uderzały w okna i Sara bała się, że stłuką szkło i podrapią jej twarz. Mimo tego niemal tęskniła za bezpieczeństwem autokaru. Tylko że ostatni wieczorny autobus dawno już odjechał, a poza tym dokąd miałby ją zawieźć? Chyba z powrotem na lotnisko. Do rodzicielskiego domu w Islington. Do „Śledztw Hetty Wainthropp”. Do migdałowego ciasta i świetlika w jej sypialni.

- Ruszaj się, idiotko, skoro dotarłaś aż tutaj. Ale znowu się zawahała.

Powiedziała sobie, że musi tylko wejść do środka i poprosić miłego barmana o klucz. Nic prostszego. Ale wtedy wszyscy przekonają się, że zupełnie sama wylądowałam tutaj w środku nocy. Założę się, że zaczną się na mnie gapić... Problem w tym, że Sara nie mogła sobie pozwolić na nieśmiałość i zdenerwowanie, ponieważ natychmiast musiała skorzystać z łazienki. Tak więc, ledwo prostując plecy zdrętwiała po podróży dwoma rozklekotanymi autobusami, weszła do środka. Dziwne, ale miejscowi wcale się na nią nie gapiłi i wcale też nie wyglądali jak statyści z filmu „Pole”. Wszyscy wyglądali całkowicie normalnie. Mieli modne, swobodne stroje, współczesne fryzury, a niektórym pod daszkami czapek błyszcząły laserowo wybielone zęby.

Wtedy też dostrzegła interesującego mężczyznę stojącego przy końcu baru. Wysoki i szczupły, wyglądał na trzydzieści parę lat. Oczy miał tak ciemne i połyskliwe, że mógłby być Włochem albo Hiszpanem. Jego pochodzenie zdradzała jednak jasna skóra: był bez wątpienia Irlandczykiem. Miał przydługie, celowo zmierzwione włosy, co aktualnie w Londynie stanowiło absolutny krzyk mody. Ubrany był w starą marynarską kurtkę z podniesionym kołnierzem i Sara nawet z połowy baru widziała cień, jaki jego kości policzkowe rzucały na twarz. Nie odrywał od niej uważnego spojrzenia. Co nawet by jej pochlebiało, gdyby nie była tak zmęczona, głodna i załamana.

Poczuła, jak serce zalewa jej fala paniki. Do diabła, co ona właściwie robi w tej wiosce, w której nie była od dwudziestu lat? Z całym dobytkiem upchanym w dwu walizkach, z głową Buddy w torbie i aparatem w plecaku?

Całkiem ześwirowała!

Przestań, powiedziała sobie ze złością, po czym rzuciła ogólne „Cześć”. Musi wyglądać na stosunkowo zdrową na umyśle. Rozejrzała się po sali, zauważyła ładne ozdoby świąteczne, serca w miłą dla oka czerwono-zieloną kratkę. Wrażenie na niej zrobiło to, że sporo mężczyzn piło wino. I wcale nie z małych, pospolitych kieliszków, ale z takich, które mają w eleganckich restauracjach. Nastoletnie dziewczyny grały w rzutki przy akompaniamencie piosenki Snow Patrol, a ze dwóch starszych mężczyzn podziwiała wiszącą na ścianie fotografię w ramkach, która przedstawiała ostatniego zwycięzcę gonitwy Grand National. Wszyscy uprzejmie uśmiechnęli się do Sary i wrócili do swoich spraw. Więc nikt nie będzie jej przesłuchiwał.

Nastrój jej się poprawił i z bagażami ruszyła do damskiej toalety. Nigdy żadnej kobiety tak nie ucieszył widok publicznej toalety, choć w tej była betonowa podłoga, nad zaśniedziałą metalową umywalką wisiało lustro pokryte plamami ze starości, a w nosie wierciło od nieprzyjemnego zapachu; Sara po chwili uświadomiła sobie, że pochodzi on ze stwardniałych na kamień odświeżaczy powietrza, choć sądziła, że taki rodzaj zaprzestano produkować już wiele lat temu.

- Ha, chyba rzecz w tym, że skoro się nie zepsuły, nie trzeba ich naprawiać - powiedziała na głos, ziewając szeroko, i natychmiast przysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie mówiła do siebie w miejscach publicznych. I tym razem naprawdę się postara. To strasznie żenujący nawyk. Sara była samodzielna. Nie zwariowała.

- Powtórz: nie jestem szalona - powiedziała wesoło do lustra. - Ani troszeczkę. Mam wszystkie klepki na miejscu. Nie jestem kanapką, co nie załapała się na przysłowiowy piknik. Jak mawiają policjanci, tu nie ma nic do oglądania. Przedstawienie się skończyło. Proszę się rozejść, panie i panowie. Proszę się natychmiast rozejść!

Z kabiny wyszła kobieta; miała pięćdziesiąt parę lat i długie jasne włosy splecione we francuski warkocz. Zerknęła na Sarę, pośpiesznie umyła ręce i dosłownie biegiem wypadła za drzwi. A niech to, Sara nie zauważyła, że ma towarzystwo.

Wzdychając, ochlapała zimną wodą twarz i szyję, po czym poprawiła makijaż. Wyglądała strasznie. Co nie było dziwne, zważywszy na wydarzenia ostatnich dni. W końcu podeszła do baru i szybko wyjaśniła swoją sytuację, jako dowód tożsamości przedstawiając prawo jazdy. Barman wręczył jej klucz. Wielki, brązowy, metalowy klucz, w rodzaju tych, które zwykle widzi się w średniowiecznych zamkach wiszące na kole wielkości talerza. Dał jej także torbę z bochenkiem niepokrojonego białego chleba, wielką kostką masła w pergaminie, czterema puszkami zupy pomidorowej, opakowaniem herbaty ekspresowej i eleganckim pudełkiem owsianych herbatników. Z lodówki wyjął karton mleka i delikatnie dołożył do torby.

- Pani Casey zostawiła to dla pani. Witamy w Redstone - powiedział wesoło. - Podać pani coś do picia?

- Do picia? - Wątroba Sary zwinęła się w proteście. O nie, w tej chwili marzyła o misce wołowego gulaszu i gorącej kąpieli z mnóstwem piany. - Nie! To znaczy dziękuję, ale nie. Może jutro. Cudownie, że mam te wszystkie rzeczy. - Znowu ziewnęła. - Bardzo dziękuję.

Kiedy sennie kuśtykała do wyjścia, potknęła się o luźną klepkę i wypuściła z rąk większą walizkę, która otworzyła się, a rzeczy wyleciały ze środka na wszystkie strony. Zakłopotana tym Sara upuściła też pękatą torbę ze Srebrnej Klatki dla Ptaków. Budda potoczył się pod pobliski stolik i przestraszył kilku gości, którzy przez sekundę myśleli, że to prawdziwa ludzka głowa. Sara natychmiast wyłowiła ją stopą, przepaszając gorąco i rumieniąc się aż do pasa z irytacji i wstydu. Dłonie miała sztywne od trzymania tyłu uchwyty i pasków, minęła chwila, nim postawiła wszystkie bagaże, żeby zacząć zbierać wysypane rzeczy.

- Ładne buty.

Przystojniak z czarnymi oczami znalazł się przy niej i proponował pomoc. Z bliska wyglądał jeszcze lepiej. Sara poczuła słabość, przebywając tak blisko tych oszałamiających kości policzkowych. Nieznajomy podał jej granatowe szpilki z wężowej skórki.

Sara z wdzięcznością mu podziękowała, ale dodała, że prawie wszystko już ma. Zapałała do niego sympatią.

- Pozwoli pani, że pomogę jej nieść? - powiedział. - Zamówiła pani taksówkę, ktoś panią podwiezie?

Uznała, że nieznajomy ma naprawdę śliczne oczy. Jak Cygan z książki dla dzieci, ale bez tej surowości. Jak młodszy brat Johnny'ego Deppa. Wydawał się uprzejmy, mądry i... no tak, przystojny. Niezwykle seksowny, prawdę mówiąc. Wstrząśnięta Sara poczuła, jak rodzi się w niej mała iskra pożądania.

Ha, możesz o tym zapomnieć, powiedziała sobie.

Zapomnij o tym natychmiast, szanowna pani!

Jej serce przebywało na zwolnieniu lekarskim.

Ale on był taki cudowny z tymi swoimi obrzmiałymi ustami, jakby użądliła go osa. Akurat w sam raz śliczny jak na faceta.

Nie, nie zadurzyła się tak bardzo, żeby odrzucić wszelką przezorność na cztery wiatry. Wciąż nie miała ochoty zdać się na nieznajomego, choćby nie wiem jak był przystojny. Z drugiej strony tyle tych rzeczy musiała nieść. Pomyślała, że ten wygląda na przyzwoitego, choć normalnie nigdy nie wyszłaby z baru z mężczyzną, którego nie znała. A poza tym w pubie było mnóstwo miejscowych. Więc na pewno to nie jest żaden kryminalista, w przeciwnym razie nie zaczepiłby jej w ich obecności. Tak czy owak, barman najwyraźniej go znał.

- Ethan to dobry chłopak, pomoże pani wynieść bagaż na ulicę - powiedział, mrugając do niej znacząco.

- Dziękuję panu. - Sara wreszcie podjęła decyzję. - To miło z pana strony.

Razem wyszli na ulicę. Sara niosła klucz, torebkę, torbę z aparatem i drugą, z jedzeniem od barmana, Ethan - dwie walizki i posążek.

Powiedziała mu, że przyjechała do Irlandii na wakacje, ale nie podała powodów.

- A przy okazji, nazywam się Ethan Reilly - przedstawił się, kiedy doszli do Różanej Chaty. - Jestem mechanikiem. Gdybyś potrzebowała rady przy zakupie używanego wozu, zadzwoń do mnie, dokładnie go sprawdzę. Czasami taki zakup wychodzi taniej niż wynajęcie.

- Dzięki, pomyślę o tym. Aha, nazywam się Sara Quinn. Bardzo dziękuję, Ethan, zaczynało mi brakować sił.

Ręce jej odpadały, kiedy upuściła rzeczy na próg. Spojrzała na wielki klucz, nim wsunęła go w zamek. Pasował jak ulał i Sara weszła przez drzwi jak u Jasia i Małgosi. Ethan wniósł do środka walizki i życzył jej dobrej nocy.

- Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy - uśmiechnął się, idąc tyłem ulicą. -
Wesołych świąt!

- O tak, ciągle o tym zapominam. Poszukam cię w pubie, Ethan, jestem ci winna piwo - odparła Sara. Pomachała mu na pożegnanie i zamknęła drzwi. Zadawała sobie pytanie, czy to Romeo czy raczej Dobry Samarytanin, czy odezwał się do niej, bo poczuł z nią jakąś szczególną więź? Akurat! Może próbował z każdą dziewczyną, która stanęła na jego drodze?

Teraz było już ciemno jak w studni, ale Sara czuła euforię, że zdołała dojechać do Redstone w jednym kawałku. Oparła się o drzwi, tak jak to robią ludzie w telewizyjnych melodramatach z lat pięćdziesiątych, i dotarło do niej, jak głęboka cisza panuje w domu, cisza, która po prostu nie istnieje w Londynie. Niemal czuła, jak samotność osiada jej na ramionach. Nie było nawet pająka snującego się w kącie. Żadnego ruchu ulicznego, żadnego szumu z odległej autostrady. Rozkosz.

Musiała jednak przyznać, że odczuła fizyczną tęsknotę za Mackenzie (oraz jego przestronnym luksusowym mieszkaniem), kiedy zapaliła światło i przekonała się, że wynajęła najmniejszy dom na świecie. Był rzeczywiście szokujący ciasny. Jak makietka w muzeum. Tak malutki, że niewart płaconego zań czynszu. W gruncie rzeczy klaustrofobiczny. Ojej, co ona narobiła?

Wejściowe drzwi prowadziły wprost do salonu, który z całą pewnością nie mógł mieć więcej niż dwa i pół metra w najszerszym miejscu. Pod jedną ścianą była sofa jak z domku dla lalek i maleńki żeliwny kominek, pod drugą sosnowy stół na najwyżej dwa talerze i czajnik. Przy stole stały upchnięte dwa dębowe krzesła, obok znajdował się pomalowany na biało wieszak na płaszcze. Sara przypuszczała, że drzwi obok sofy prowadzą do sypialń, kuchni i łazienki, ale była zbyt zmęczona, żeby ścielić łóżko albo szukać na ścianie kontaktów.

- Po prostu oszalałam - powiedziała. Na szczęście nie miała sił na atak paniki. Gdyby wystarczyło jej energii, zaczęłaby wrzeszczeć, domagać się zwrotu pieniędzy, przeklinać Irlandczyków za poetyckość i sztukę zwodzenia, dzięki której wciskają

człowiekowi kredens z kominem. Porzuciłaby bagaż i popłynęła do domu przez Morze Irlandzkie, po drodze wypływając meduzy.

Rozbój w biały dzień!

Zgasiła światło, usiadła na sofie i zasnęła, nie oglądając pozostałych pomieszczeń ani nawet nie sprawdzając, czy tylne drzwi są zamknięte.

Przytomności umysłu wystarczyło jej tylko na przykrycie się pledem, który leżał poskładany na oparciu.

Raz obudziła się w nocy i zobaczyła księżyc w oknie. Poświata otaczała meble upiorną siną aureolą. Pomyślała jednak, że to jej się śni, i zasnęła z powrotem. Przytulona do Mackenziego cieszyła się ciepłem jego potężnego, muskularnego ciała. W rzeczywistości obejmowała czule walizkę. W śnie wystąpiła też w epizodzie Abigail, wolno kręcąc głową z zawodową dezaprobatą.

- Uniki, moja droga. - Sara niemal słyszała głos najlepszej przyjaciółki. - Nie możesz wiecznie uciekać.

- Ależ mogę - odparowała Sara we śnie. - Sama zobaczysz.

Rozdział 11

Wyplakane oczy

Następnego dnia budziła się powoli, przeciągając się i trąc oczy. Była tak zmarznięta, że ledwo się ruszała. Oddech zmieniał się w obłoczki pary, a zamiast stóp miała chyba dwa bloki lodu. Była Wigilia, dzień jej ślubu. Tego dnia bardzo się obawiała. Gdyby tylko mogła szybko go przewinać, później dałaby sobie radę. Och, chwila, coś ją dręczyło... ale co? Zapomniała coś zrobić, coś ważnego? Ojej! Zostawiła ślubną suknię na drzwiach pokoju w Ostowym Puchu! O Boże, piękną suknię ślubną babci Ruby. Ręcznie uszytą przed wojną. Jak mogła być aż tak cholernie beznadziejna, żeby ją zostawić?

Kiedy w pełni to do niej dotarło, porządnie się wyplakała. Urządziła sobie długą, solidną sesję szlochania z otwartymi ustami i głośnymi jękami. Gorączkowo usiłowała dodzwonić się do Abigail, by ją zapytać, czy zabrała suknię do Londynu, ale wszystkie telefony przyjaciółki były przełączone na pocztę głosową, natomiast recepcjonistka w klinice powiedziała, że Abigail wzięła kilka dni wolnego.

To była najgorsza chwila Sary.

Sara sięgnęła dna.

Ścisnęła ją w żołądku i miała mdłości.

Przebywała zupełnie sama w domku wielkości pudełka zapalek i bała się.

Ponieważ czuła się zbyt wyczerpana, żeby dłużej płakać, postanowiła dać tym wakacjom szansę. W przeciwnym wypadku musiałaby natychmiast, zanim lotnisko całkiem się zakorkuje, wrócić prosto do domu w Islington, połknąć garść antydepresantów i dołączyć do rodziców goszczących u cioci Jean. Tańczyć po salonie w rytm „Hucklebuck” i topić potrawy w sosie HP. Ta wizja skutecznie wzięła w cugle jej panikę. A co do sukni, poczeka i przekona się. Sara zeskoczyła z sofy i ruszyła na zwiedzanie domu.

Małe sosnowe drzwi, które jak sądziła, prowadzą do kuchni i innych pomieszczeń, wabiły ją ku sobie. Kiedy je otworzyła, przeżyła ogromne zaskoczenie, ponieważ za nimi znajdowało się pięć kamiennych stopni i potężny salon długi na niemal dwanaście metrów. Na jego końcu wielkie, stare kwadratowe okno widokowe wychodziło na rząd jasnożółtych kolcolistów, a za nim na morze. Widok zapierał dech w piersiach.

Pomiędzy oknem a Atlantykiem (oraz naturalnie wąską plażą) był niewielki dziedziniec otoczony małym białym murkiem i miniaturowymi krzakami róż w staroświeckich kamiennych donicach. Teraz oczywiście nie kwitły, ale Sara wyobrażała sobie, że latem muszą wyglądać bajecznie. Na podwórku stała kolejna gięta ławka i mała szopa. Otoczenie sprawiało wrażenie idyllicznego, a czynsz natychmiast stał się śmiesznie niski i rozsądny.

- Hura! - wykrzyknęła, biegnąc na zeszywniałych nogach do okna. Czuła, jak w piersi rodzi się dziwne, musujące podniecenie. Nie była tak podekscytowana od czasu, gdy w dzieciństwie pod choinkę dostała różowy rower. Widok ponad murem oszołamiał, uosabiał wszystko, czego człowiek oczekiwał od irlandzkiego wybrzeża. Cudownie było przebywać tak blisko natury i Sarze zakręciło się w głowie. Po lewej miała ciemne, poszarpane skały, przed sobą rozbijające się o brzeg jadeitowozielone fale i biały piasek plaży, po prawej fioletowe posępne wzgórza ciemniejące w oddali i stada hałaśliwych mew na niebie. Prawdę mówiąc, wszystko to człowiek znalazłby też w Glenallon. Może tylko tutaj mniej było chmur. Och, biedny Mackenzie! Sara miała gorącą nadzieję, że krajobraz i burzliwe morze otaczające Glenallon trochę go pocieszą w taki sam sposób, w jaki tutejsza sceneria zaczynała poprawiać jej nastrój. Widok był absolutnie pierwsza klasa. Wbrew sobie Sara była zachwycona.

- Dobra pani Casey, kochana staruszka! Wiedziałam, że mnie nie ograbi! - Sara miała ochotę krzyczeć z radości.

Pobiegła do drugiego pokoju po aparat, śmiejąc się na widok pomieszczenia, o którym teraz wiedziała, że jest tylko holem jej wakacyjnego domu. Może w swoim czasie rzeczywiście dom ograniczał się do tego pokoju, ale później dobudowano skrzydło i teraz stanowił tylko miejsce do przechowywania płaszczy i kapeluszy, a może też przeglądania poczty przy tym słodkim stoliku. Sara nie oczekiwała

korespondencji, ale miło było pomarzyć. Wróciła do okna widokowego i długo przy nim stała, upajając się otwartą przestrzenią. Zastanawiała się, jakie zrobi fotografie, i ani przez minutę nie martwiła się o przyszłość. Przysunęła do okna mahoniowy fotel na biegunach; kołysząc się łagodnie, pozwalała myślom swobodnie wędrować i zachwycała się ciszą panującą w domu. Słyszała wyłącznie szept odwiecznych fal. Wyobrażała sobie, że czuje ożywczy, piaskowy zapach ozonu. Wpadła w coś w rodzaju transu, ale to było przyjemne doznanie. Czasami tego właśnie człowiek potrzebuje: dobrze jest się wyłączyć i po prostu być.

Salon umeblowany był oszczędnie, ale miał wielki kamienny kominek i dwie wygodne (acz nieco podniszczone) długie białe sofy. Na obu leżało mnóstwo poduszek. Po obu stronach kominka stały regały z ciemnego drewna, obecnie puste. Brązowo-czerwono-pomarańczowe wyszywane indiańskie chodniki pokrywały drewnianą podłogę, trzy wielkie wiklinowe kosze pełne były nierównych brył torfu. Najmniejszy z koszyków zawierał też podpałkę, cienkie patyczki i zapalki. Sara w życiu nie rozpałała ognia, ale w kominku wszystko było przygotowane, więc dokładnie się przyjrzała, jak to jest zrobione, żeby w przyszłości samej sobie poradzić. Malutkie tipi z patyczków, dwa bardzo białe bloki podpałki utknięte pod nim i około dwudziestu brył torfu na wierzchu.

Biegała po domu jak ptaszek. Na jednym z regałów ustawiła Budę, poduszkom nadała bardziej nowoczesny układ, poprawiła nawet koszyki z torfem. Potem z fotela na biegunach podziwiała dzieło swoich rąk.

Parę godzin później żołądek Sary zdecydował, że czas dość do siebie po alkoholu, który ostatnimi czasy skonsumowała, poszła więc przygotować coś do jedzenia. Kuchnia znajdowała się tuż obok wielkiego salonu w małym, acz nieskazitelnie czystym aneksie.

Resztę dnia Sara spędziła na układaniu swojego dobytku w szafach i przyzwyczajaniu się do nowego domu. Długo leżała w wannie, w końcu zwinęła się na sofie i przy żywym ogniu oglądała telewizję. Tak świetnie się czuła, że wbrew sobie poszła do sypialni, jako że w końcu jej organizm zaczął domagać się snu.

W drugi poranek w Różanej Chacie Sara wstała wcześniej i żwawo. Wcześniej zamierzała cały pierwszy dzień świąt spędzić w łóżku, a jeśli dobrze pójdzie, to

większość czasu przespać, ale teraz nie miała na to ochoty. Obie sypialnie, dość małe, proste, czyste, suche i pomalowane na olśniewającą biel, były jednak zbyt puste, żeby się w nich wylegiwać. W obu stało podwójne łóżko, szafa, krzesło pod oknem i maleńkie nocne stoliki. Nie było telewizora ani nawet radia, a cienkie zasłonki przepuszczały światło. Sara postanowiła, że kiedy wróci jej siły, przepchnie łóżko do salonu i ustawi twarzą do morza, tak by codziennie rano przez cały pobyt tutaj zaraz po otwarciu oczu mogła patrzeć na fale. Nie spodziewała się wielu gości, więc komu by to przeszkadzało? Poza tym to tylko był taki pomysł.

Zorientowawszy się w działaniu kuchenki na gaz, zrobiła sobie grzanekę i herbatę, potem ubrała się ciepło i wyszła na dwór. Z aparatem przewieszonym przez ramię ruszyła na długi spacer po plaży, postanowiła bowiem przez te wakacje zdobyć rewelacyjną, a przynajmniej przyzwoitą kondycję.

Plaża o tak wczesnej porze była pusta, tylko po niebie krążyły z wrzaskiem mewy. Lodowaty wiatr przenikał do kości, tu i tam białe łąchy śniegu, ale Sarze to nie przeszkadzało, stwierdziła nawet, że to doświadczenie podnosi ją na duchu. Pójdzie szybko, żeby się rozgrzać, a w drodze powrotnej zrobi zdjęcia.

Ale po dziesięciu minutach marszu po zamrożonym piasku zobaczyła innego samotnego spacerowicza. Rozpaczliwie szlochająca kobieta, która (co Sara od razu dostrzegła) miała na sobie niezwykle barwny strój. Fioletowo-zielony, dziergany na drutach płaszcz z riuszkami i kryzami, kapelusz z zielonego filcu z fioletowym szydełkowym kwiatem. Fioletowe spodnie, brązowe skórzane trzewiki, fioletowe rękawiczki. Wielobarwna torba robiona na drutach z guzikiem wielkości spodka. Włosy barwy śliwki w ślicznych lokach otaczały twarz i podkreślały wielkie szare oczy. Sara uznała, że kobieta ma trzydzieści parę lat. Krążyła bez celu wzdłuż wody, a jej ramionami wstrząsał szloch. Sara na początku nie chciała niepokoić zestresowanej kobiety, która jeszcze jej nie zauważyła. Zastanawiała się, czy powinna odejść czy raczej udawać, że nie widzi łez. Ale potem nieznajoma dostrzegła Sarę i okręciła się na pięcie z poczuciem winy, jakby przyłapano ją na jakimś występku.

- Cześć, pomyślałam, że wybiorę się na wczesny spacer - powiedziała Sara beznadziejnie.

(Mów o sprawach oczywistych.)

- O tak, na plaży jest bardzo przyjemnie, kiedy nikogo nie ma, prawda? Tak spokojnie...

- Bardzo spokojnie. Dobrze się pani czuje? Przepraszam, że się wtrącam, ale wygląda pani na zdenerwowaną - zaryzykowała Sara; pomyślała, że przy swoim szczęściu wplącze się w domową awanturę albo coś w tym rodzaju, ale nie chciała zostawiać biedaczki samej, jeśli istotnie miała jakieś kłopoty.

- Nic mi nie jest, dziękuję. Tylko jestem wzruszona, rozumie pani? Ta pora roku i Boże Narodzenie zawsze przypominają mi o sprawach, które przez resztę miesięcy usiłuję ignorować.

- Tak, doskonale wiem, o czym pani mówi - powiedziała Sara mądrze. - Jestem Sara Quinn, dopiero przyjechałam z Londynu. To znaczy w Różanej Chacie spędzam zimowy urlop. Czy jakoś mogę pani pomóc? Zadzwoń po kogoś? Mam ze sobą telefon.

- Ojej, musi pani myśleć, że kompletnie ześwirowałam. - Tajemnicza kobieta uśmiechnęła się przez łzy. - Ja jestem Miriam. Miriam Gormley. Nic mi nie jest, naprawdę, nie ma powodu do zmartwienia.

- Cieszy mnie to - powiedziała Sara z wielką ulgą. - W takim razie do zobaczenia. Zostanę w wiosce przez kilka miesięcy. Może się spotkamy? - I po co to zaproponowałam? pożałowała zaraz. Przecież nie prowadzę konsultacji psychologicznych, prawda?

- Czy przypadkiem nie jest pani przyjaciółką pani Casey? - zapytała Miriam nieśmiało.

Sara spojrzała na starannie dobrany strój Miriam i z jakiegoś powodu poczuła dla niej niewiarygodne współczucie. Miriam sprawiała wrażenie osoby, która zwykle jest szczęśliwa, zajęta i energiczna. W każdym razie jeśli sędzić po ubiorze. A teraz była zapłakana i bardzo blada. Chociaż ostatnie to przypuszczalnie typowa irlandzka cecha o tej porze roku. Bez wątplenia wiejskie kobiety nie stosują samoopalaczy i nie przesadzają z makijażem. Jednakże Miriam była tak blada, że aż sina.

- Właścicielki chaty? Jeszcze jej nie poznałam, bo widzi pani, przyjechałam tutaj pod wpływem chwili. To takie spontaniczne wakacje. Myślę, że pani Casey wyjechała do siostry na Boże Narodzenie. Pośrednik nieruchomości, z którym

rozmawiałam w Dublinie, powiedział, że pewnie nie będzie jej parę dni. Pomyślałam, że to dziwne, że pozwalają mi zająć domek, nie sprawdzili mnie wcześniej...

Przypuszczam, że pani Casey to bardzo wyrozumiała osoba.

- O tak - odparła Miriam. Z jej oczu znowu popłynęły łzy, odwróciła się więc i ruszyła przed siebie. - Do zobaczenia i proszę o siebie dbać.

Ale Sara za nią pobiegła.

- Przepraszam, hmm, Miriam, ale czy mogę spytać, co się stało? Jest pani bardzo zdenerwowana. Coś się wydarzyło? Chętnie z panią zostanę, dopóki lepiej się pani nie poczuje. Czy po kogoś zadzwonić?

- Nie, nic mi nie jest... po prostu dzisiaj czuję się podle. To nic poważnego, zwykle rozczarowanie. Wydawało mi się, że jestem w ciąży, ale się pomyliłam. I to wszystko. Kolejne Boże Narodzenie bez cienkiej niebieskiej linii.

- Och, Miriam, tak mi przykro. Mam nadzieję, że już niedługo będziesz miała dobre wieści.

Uśmiechnęły się do siebie czując, że połączyła je nagle więź, pojawiająca się czasem między kobietami, które wiedzą, że mają ze sobą coś wspólnego.

- A ty masz dzieci? - zapytała nieoczekiwanie Miriam.

- Nie, nie jestem zamężna. To znaczy, oczywiście nie trzeba wychodzić za mąż, żeby mieć dzieci. Ale nie, nie jestem też matką. Widzisz, wczoraj miał się odbyć mój ślub, ale zmieniłam zdanie. Właściwie stało się coś, co zmieniło to zdanie za mnie. Można powiedzieć, że nawiedził mnie duch. Ojej, pewnie myślisz, że kompletnie mi odbiło.

- Wcale nie. Wygląda na to, że przeżywasz gorszy okres niż ja. Mówiłaś, że nazywasz się Sara?

- Tak, Sara Quinn.

- Biedactwo, to musiało być dla ciebie straszne.

- Faktycznie było okropne, ale mam nadzieję, że dam sobie radę. Dlatego przyjechałam do Redstone. Żeby uciec od problemów.

- Dobry pomysł, wybrałaś właściwe miejsce. Czy przypadkiem nie masz przy sobie chusteczek higienicznych, Saro? W tej cholernie wielkiej torbie nie ma ani jednej. Chyba wszystkie zużyłam.

- Mam, jasne.

Sara zdjęła z ramion plecak i zaczęła szukać opakowania mentolowych chusteczek, które na pewno kupiła w Dublinie. W końcu zlokalizowała je pod obiektywem.

Miriam z wdzięcznością przyjęła chusteczki i dyskretnie wydmuchała nos.

- Dzięki - powiedziała. - Tego mi było trzeba. Mentolowego kopa.

- Zatrzymaj całą paczkę - zaproponowała Sara wielkodusznie. - Ja już dość się napłakałam. Nie wspominam o topieniu smutków. Głowa będzie mnie bolała przez tydzień. Jakie my jesteśmy, co? Kobiety! Narzekamy, kiedy nie mamy męża i dzieci, i jeszcze bardziej narzekamy, kiedy ich mamy.

- Może się przejdziemy i pogadamy o tym? - zapytała Miriam, spoglądając na muszelki otaczające jej stopy.

- Nie chciałabym się narzucać - zaczęła Sara z niepokojem. Przyjeżdżając tu, nie zamierzała nadmiernie angażować się w żadną znajomość podczas pobytu w Redstone. Zaraz jednak zmieniła zdanie. Dzisiaj rano towarzystwo może dobrze jej zrobić. - Choć czemu nie? - powiedziała wesoło. - Ale pod jednym warunkiem. Nie chcę do końca życia jęczeć i nudzić wszystkich moimi nieszczęściami, więc opowiem ci krótko, co się stało. Zerwałam z narzeczonym, ponieważ odkryłam, że wciąż kocha swoją pierwszą żonę. W tej kwestii niewiele mogłam zrobić, ponieważ jego pierwszej żony już między nami nie ma. To znaczy umarła dziesięć lat temu. Nie mogłam sobie z tym poradzić, więc uciekłam. To cała ja. A ty? Robiłaś testy na płodność i tak dalej? Podobno to nie jest takie łatwe, jak się ludziom wydaje.

Ramię w ramię szły w przyjaznym nastroju. Fale rozbijały się tylko kilka centymetrów od ich stóp.

- Robiłam, owszem. Umarłby, gdyby mnie teraz słyszał, ale najwyraźniej to on jest źródłem problemu. To znaczy mój mąż Patrick.

- Aha. I on też zrobił testy? Niska liczba plemników czy żywotność? - zapytała rzeczowo Sara. Była doskonale zorientowana w tych zagadnieniach. W jej kręgu sztuczne zapłodnienie było ulubionym tematem rozmów, wszystkie te samice alfa za długo zwlekały z dziećmi.

- Oho! Od bardzo dawna nie byłaś w Redstone, co, Saro? Tutejsi mężczyźni nie pędzą na testy. A w każdym razie mój mąż się do nich nie pali. Nie zrozum mnie źle, to uroczy człowiek. Tylko że nie lubi niczego, co ma związek ze szpitalami.

- Rozumiem.

- Można by pomyśleć, że prosiłam go o pokonanie Wodospadów Wiktorii w beczce, a nie o zrobienie kilku prostych testów.

- Mężczyźni. Takie z nich dzieci, prawda? - powiedziała Sara łagodnie. - Nigdy im za mało wojennych dokumentów, rakiet V2 i niebezpiecznych sportów. Ale poproś, żeby zdjęli spodenki przed lekarzem, i natychmiast miłą pokonują w mniej niż trzy minuty. Albo jaki tam obecnie jest rekord, nie znam się na sporcie.

Miriam uśmiechnęła się.

- Wiesz, wyobrażam sobie mojego Patricka w dresie, uciekającego przed oddziałem pielęgniarek!

Po raz pierwszy od kilku tygodni Miriam wybuchnęła śmiechem.

Rozdział 12

Coś się zaczyna

Sara zamknęła za sobą drzwi Różanej Chaty i ruszyła na kolejny długi spacer po plaży.

Nazajutrz był sylwester, a ona jeszcze nie skontaktowała się z Abigail. Zamierzała zadzwonić, opowiedzieć jej wszystko i zapytać o suknię. Trudno jednak było wziąć telefon do ręki, skoro nie miała nic interesującego do powiedzenia. Tylko to, że co rano godzinami chodzi po plaży, aż zaczynają boleć ją kostki i uda. Że zjadła ze dwadzieścia lodów ze sklepu i może pięć kolacji rybnych w smażalni, a dzinsy wciąż na nią pasują. Albo że co wieczór siedzi przed telewizorem, zupełnie sama w wielkim salonie. Że nawet nie słucha programów, bo migoczący ekran tylko dotrzymuje jej towarzystwa. Czekala, aż serce zacznie jej zdrowieć, ustąpi ból i wyrzuty sumienia. Abigail nie chce o takich rzeczach słuchać, myślała Sara, przecież w klinice ma aż w nadmiarze takich wyznań z samego dna duszy. Co dziwne, Abigail także się z nią nie kontaktowała.

Ani Mackenzie.

Sara wysłała rodzicom kilka radosnych pocztówek z wioski. Natychmiast odpowiedzieli na pierwszą, przysyłając dziesięć dwudziestofuntowych banknotów zawiniętych w nowy ręcznik do naczyń. Na paczce wielkimi literami napisali: „Zawiera ręcznik do naczyń”. To cali rodzice, pomyślała Sara z czułością. Nieustannie się nad nią trzęsą i Bogu niech będą dzięki!

Uśmiechnęła się ze łzami w oczach. Mogli przysłać czek albo przekaz Western Union. Mogli nawet w swoim banku w Islington poprosić o dokonanie przelewu. Sara bardzo ucieszyła się z gotówki, bo każdy grosz był przydatny w jej nowym, trudnym pod względem finansowym położeniu. Wymieniła funty na euro w miejscowym banku i teraz pieniądze leżały bezpiecznie schowane w mniejszej walizce pod łóżkiem.

Nabrała w płuca czystego, ostrego morskiego powietrza. Dzisiaj fale połyskiwały i słońce jasno świeciło, chociaż wciąż było bardzo zimno. Wkrótce twarz

zarumieniła jej się od marszu i przewidywać, ponieważ dzisiaj Sara po raz pierwszy odwiedzała Miriam Gormley w jej domu, miała też poznać przyjaciółki Miriam, Aurorę Blackstaff i Gemmę Hayes. Miriam powiedziała, że prowadzą coś w rodzaju klubu książki, i od razu zastrzegła, że nie chodzi o nic bardzo wyrafinowanego czy intelektualnego. W gruncie rzeczy Sara przyjęła zaproszenie z uprzejmości, bo Miriam była taką uroczą kobietą. (Sara nie miała zamiaru poważnie angażować się w zajęcie równie czasochłonne jak klub książki.) Potem wróci do Różanej Chaty, położy się z nogami w górze i przez cały wieczór będzie obserwować migoczące w kominku płomienie, a z całą pewnością nic bardziej nie stymuluje niż szum oceanu za żółtymi kolcolistami.

Szum fal był tak kojący, że Sara straciła poczucie czasu i nazbyt szybko musiała zawrócić ku wzgórzom. Szła energicznie i w rezultacie do domu Miriam dotarła dwadzieścia minut za wcześnie. Pomyślała zdenerwowana, że pewnie jest pierwsza, niepotrzebnie jednak martwiła się, że wizyta u Miriam będzie czymś w rodzaju niemiłego obowiązku. Wszelkie obawy rozwiał widok domu w kolorze lawendy.

Miriam powiedziała jej, żeby zapukała do tylnych drzwi, więc Sara okrążyła dom.

Drzwi się otworzyły.

- O mój Boże! - Sara nie potrafiła powstrzymać okrzyku na widok kuchni, choć wciąż stała w progu i w zasięgu jej wzroku znajdował się tylko fragment wnętrza.

Bo też dom Miriam Gormley był po prostu cudowny, z mnóstwem skarbów i drobiazgów doskonale rozmieszczonych. Ściany kuchni pomalowano na delikatny kremowy róż. Wszystkie szuflady miały okrągłe białe uchwyty, na których wisiały (na różowych wstążkach) ostre nożyce, miniaturowe koszyki i rękawice kuchenne w kwieciste wzory. Wielki kremowy piec udrapowany był ściereczkami w jaskrawe paski. Na stole stały niebieskie filiżanki i spodki oraz różowa druciana taca ze stosem maślanych bułeczek, delikatnych bez i czekoladowych eklerów zawiniętych w papierowe koronki. Sądząc z wyglądu, wszystkie ciastka są domowej roboty, zauważyła łakomie Sara. Poczula się trochę przytłoczona ich wspaniałością.

- Udusiłabym własną babcię za taki dom - usłyszała czyjś głos i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to jej własne słowa.

Miriam serdecznie się roześmiała, objęła ją i pocałowała w oba policzki.

- Bardzo ci dziękuję za komplement. Ale mam nadzieję, że nie mówisz poważnie! Wejdz, proszę, i usiądź. Trafiłaś bez problemu?

- Żartujesz sobie? Czy bez problemu trafiłam? Jak mogłabym przegapić taki cudowny dom? To znaczy mówiłaś mi, że jest lawendowy, ma biały parkan i osiem palm z frontu, ale do głowy mi nie przyszło, że będzie aż tak piękny.

- Oj! Tak się cieszę, że mogłaś dzisiaj przyjść, Saro. Aurora i Gemma nie mogą się doczekać, kiedy cię poznają.

- Mam nadzieję, że nie sprawię im rozczarowania!

- Dajże spokój, na pewno nie! Na razie klub tworzyłyśmy w trójkę, bo Aurora chce, żeby był mały i przyjacielski. Oczywiście w miłym sensie, nie zacznij tylko myśleć, że jesteśmy nadętymi starymi snobkami albo coś w tym rodzaju. Ale chcemy czuć się dobrze i swobodnie, nie zależy nam na nudnych debatach o literaturze kobiecej kontra książki nagrodzone Bookerem i innych tego rodzaju bzdurach. Bardziej chodzi o przyjaźń niż o poważny klub książki. No i obawiam się, że należą do niego wyłącznie kobiety.

- Mnie to odpowiada. Niedawno odstawiłam mężczyzn.

- Ładnie powiedziane. Jak wspomniałam wcześniej, lubimy zajadać się ciastkami i lodami. Mam nadzieję, że nie masz bzika na punkcie zdrowej żywności?

- W żadnym razie, Miriam. Jestem królową lodów - odparła Sara. - Nie mogę się ich najeść, odkąd przyjechałam do Redstone.

- Z surowymi marchwiami niewiele można zrobić.

- Święta prawda.

Dzisiaj Miriam miała na sobie obcisłe dzinsy, balerinki i długi biały sweter w różowe płatki śniegu. Była najbardziej kobiecą kobietą, jaką Sara w życiu spotkała. Straszna szkoda, że jej mąż ma takie opory przed testami, pomyślała Sara. Z Miriam byłaby cudowna matka.

- Ten dom jest niezwykle! Myślałam, że ceny nieruchomości w Irlandii będą bardziej umiarkowane, ale okazały się wyższe niż w Londynie - powiedziała Sara smętnie.

- Ceny domów to faktycznie rozbój w biały dzień - zgodziła się z namysłem Miriam, delikatnie kładąc łyżeczki na niebieskich spodkach. - Dotąd nie potrafię zrozumieć, jakim cudem nastąpiło to tak szybko. W jednym roku ludzie jak zwykle emigrowali, w następnym płacili pół miliona euro za chatkę wielkości pudełka butów.

- To się w głowie nie mieści, prawda?

W kuchni było ciepło i przytulnie. Sara tak pogrążyła się w komforcie, że niemal zapomniała, iż jej życie leży w gruzach.

- Chciałabyś obejrzeć piętro? - zapytała nagle Miriam, wskazując sufit. - Dopóki nie przyjdą Aurora i Gemma?

- O tak, z miłą chęcią. - Sara wstała i ruszyła za gospodynią.

Reszta domu Miriam nie zepsuła pierwszego wrażenia Sary. Biały salon ze szklanymi świecznikami i ogromnymi białymi sofami ozdobiony był wypukłymi obrazami marynistycznymi w odcieniach jasnoblękitnym i turkusowym.

- Wszystko mi się szalenie podoba - powiedziała Sara, kręcąc głową z podziwem. - Zwłaszcza te cudowne obrazy. Pokój jest neutralny, a one nadają mu kojącą atmosferę.

- Namalowała je miejscowa artystka, Brenda Brown - oznajmiła Miriam z dumą. - Jest prawdziwą gwiazdą w naszej małej artystycznej społeczności. Mieszka w Redstone okrągły rok, ma własną galerię koło cypla. A mąż Brendy, Sean, jest bardzo przystojny. Uroczy z niego facet i zawsze do każdego zagada. Niektóre dziewczyny mają szczęście! Jest w niej po uszy zakochany. Serce rośnie, jak się ich widzi spacerujących razem. Są jak marzenie nastolatków o miłości.

Sara uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Marzeń o miłości wystarczy jej do końca życia.

- Niedawno Brenda zrobiła wyprzedaż, a ja miałam szczęście, że kupiłam tamten obraz. - Miriam wskazała małe płótno w grubych ramach. - Dawniej kolekcjonowałam prace Brendy, ale ich cena wzrasta i teraz właściwie nie mogę sobie na nie pozwolić. Sprzedała mi obraz po starej cenie, bo wspierałam ją na początku

kariery. Niezwykle sympatyczna z niej dziewczyna. Ubiera się w poszarpane džinsy i niechlujne T-shirty.

- Przyjrzę się jej. Niechlujne, mówisz? Wiesz, wydaje mi się, że widziałam ją z mężem w wieczór, kiedy tu przyjechałam.

Rozmawiając, oglądały dalej dom. Przytulny cytrynowy hol z wielkim ciemnobrązowym regałem przy drzwiach, w którym stały koszyczki z wodorostów na buty, pojemniki z pastą do butów i szczotki, listy i klucze. Na piętrze także wystrój był doskonały. Kremowa sypialnia z ciężkimi francuskimi meblami. Jasnozielona łazienka z kolejnymi koszykami zawierającymi drogi krem do rąk, mydła w kształcie muszli i kulki do kąpieli. Och, jakie to luksusowe, pomyślała Sara. Mieszkańcy Redstone faktycznie wiedzieli, jak żyć. Doszły do małych drzwi na końcu korytarza, przed którymi Miriam na chwilę się zawahała.

- To gabinet mojego męża, ma najładniejsze okno w całym domu. - Otworzyła drzwi i cofnęła się, by gość mógł podziwiać okrągłe okno.

- Och, bajeczne! - westchnęła Sara; teraz już kolana się pod nią uginały ze śmiertelnego pożądania własnego domu. Wielkie okrągłe okno w gabinecie Patricka było piękne. Pokój miał jasnoniebieskie ściany i wypełniały go setki małych drewnianych latarni morskich, starannie ustawionych na białych półkach. Pod oknem stało sosnowe biurko, krzesło oraz fotel w niebieską kratę.

- Zbiera latarnie morskie - roześmiała się Miriam, chociaż jej oczy pozostały poważne.

Wróciły do kuchennego kobiecego raj. Miriam naląła herbaty do filiżanek i powiedziała, żeby Sara poczęstowała się ciastkami. Przed domem zaparkował samochód i wysiadły z niego pozostałe członkinie klubu książki, Aurora Blackstaff i Gemma Hayes. Sara słyszała kroki zbliżające się do drzwi i wstrzymała oddech. A jeśli jej nie polubią? Albo jeśli ona ich nie polubi? Drzwi otworzyły się i nagle kuchnia pełna była kobiet odstawiających torebki, wieszających płaszcze i obejmujących się wzajemnie.

- Znam cię! - oznajmiła Aurora.

Sara dobrze o tym wiedziała! Aurora była tą kobietą, która słyszała, jak w damskiej toalecie w pierwszy wieczór w Redstone Sara deklarowała, że nie jest wariatką.

- Ojej, chyba rzeczywiście już się spotkałyśmy - powiedziała z zakłopotaniem. - Wtedy czułam się dość zagubiona, bo dopiero co wysiadłam z autobusu z Galway. Przyjechałam tutaj spontanicznie. Decyzję podjęłam dosłownie w jednej chwili. Musiałaś mnie wziąć za kompletną świruskę.

- Wcale nie. To całkowicie zrozumiałe: ja też kiedyś tak postąpiłam - odparła śpiewnie Aurora. Była wysoka, chyba przekroczyła już pięćdziesiątkę, choć wydawała się o wiele młodsza dzięki idealnej figurze i wesołemu zachowaniu. Długie jasne włosy zwinięte miała w luźny węzeł. Emanował z niej autorytet typowy dla urodzonej przywódczyni. Ciekawe, czy jest nauczycielką? pomyślała Sara. (Miriam nie powiedziała jej, czym przyjaciółki się zajmują.)

Gemma także była wysoka i bardzo opanowana. Miała krótkie tlenione włosy i nosiła miękkie dzinsy oraz długi sweter robiony na drutach. Wyglądała na spokojną i pewną siebie - kobieta, która doskonale poradzi sobie z kryzysem. Sara od razu obie polubiła.

Wszystkie usiadły przy stole.

Zgodnie z przewidywaniami Sary Aurora przejęła prowadzenie rozmowy.

- Jestem wyschnięta na wiór! Miriam, ta herbata jest dobra czy powinniśmy zaparzyć świeżą? A teraz się przedstawimy! Saro, to jest Gemma Hayes, twarda dziennikarka, więc uważaj przy niej na słowa. Wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie A w najgorszym razie zostanie przetworzone i znajdzie się w jej felietonie.

- Auroro, przestań! - powiedziała Gemma. - Zdenerwujesz dziewczynę, zanim nasze spotkanie na dobre się zacznie. Przede wszystkim jestem pisarką, Saro. Może o mnie słyszałaś? Ale pisuję też felietony opiniotwórcze dla jednego z tabloidów. W przeważającej części to brednie i banały, ale dzięki nim płacę rachunki. Aurora natomiast prowadzi małą księgarnię na końcu promenady (nazwała ją Ostatni Rozdział), a wcześniej była nauczycielką. Miriam jest damą bez zajęcia. Ja tylko żartuję, Miriam, nie obrażaj się. Prawdę mówiąc, Miriam zaangażowana jest w

działalność dobroczynną w hrabstwie i robi tyle, że równie dobrze mogłaby być pełnoetatową pielęgniarką. Stare pieniądze, nic więcej nie dodam! Aurora pochodzi z Belfastu, a ja i Miriam urodziłyśmy się tutaj, w Redstone. To tyle o nas.

- A co ciebie sprowadziło do naszej małej wioski, Saro? - przeciągle zapytała Aurora. - Zafundowałaś sobie hippisowską przerwę w karierze? Szukasz nowego domu?

- Sama widzisz, najpierw mówi, żebyś się pilnowała, a potem zarzuca cię pytaniami - powiedziała Gemma surowo. - Zignoruj ją, Saro, ona nic na to nie może poradzić.

- Nic się nie stało - roześmiała się Sara. - Nie mam nic do ukrycia. Do Redstone przyjechałam wyłącznie na długie wakacje. Moi rodzice urodzili się tutaj.

- Naprawdę? Opowiedz nam coś więcej! - Gemma chciała poznać wszystkie szczegóły.

- Rodzina mojego taty pracowała na poczcie.

- Och, to ci Quinnowie? Słyszałam o nich. Oczywiście byłam małym dzieckiem, kiedy wyjechali z wioski.

- A mama z domu była Maguire, „mieli tekstylny”, jak zawsze mówiła. Tak czy inaczej, jak już powiedziałam Miriam, niedawno zerwałam kilkuletni związek.

- Przykro mi - powiedziała Gemma łagodnie. Jej wielkie niebieskie oczy pełne były współczucia i Sara zrozumiała, że musi bronić Mackenziego przed nowymi przyjaciółkami.

- To wspomniały facet i nie on ponosi winę. Po prostu wciąż czuł coś do innej kobiety. Nagle uznałam, że dla mnie to nie jest właściwa droga, więc odeszłam. Chciałam wyjechać z Londynu i przez jakiś czas nic nie robić, tylko uspokoić się i uporządkować myśli. No i wynajęłam Różaną Chatę na dwa miesiące; a przy okazji, jeszcze nie poznałam pani Casey, wraca dopiero jutro. Zawodowo zajmuję się fotografią. Głównie w branży wydawniczej. Obecnie jestem bez pracy.

- Miriam już nam o tym mówiła - powiedziała Aurora. - Fotograficzka! Mam nadzieję, że udział w naszym mizernym klubie książki sprawi ci przyjemność podczas pobytu w Redstone, Saro. W niektóre miesiące w wiosce poza czytaniem niewiele jest do roboty. Zimą moja księgarnia zawsze przynosi zyski.

- Mów za siebie - zareplikowała Gemma. - Ja co tydzień muszę napisać felieton, nie wspominając już o powieści co półtora roku. Ale przebywanie z tą dwójką to niewyczerpane źródło inspiracji, Saro, tyle ci mogę powiedzieć.

- Ona żartuje - powiedziała Aurora. - Napijesz się jeszcze?

W odpowiedzi Miriam postawiła na stole dzbanek ze świeżą herbatą.

- O tak, bardzo proszę - odparła Sara, mając wrażenie, że jakimś cudem wylądowała w powieści Enid Blyton. Wszystkie te śliczne ciastka w papierkach, różowa kuchnia z cudownymi drobiazgami. Trzy nowe przyjaciółki, które od razu włączyły ją do swego grona, mimo iż zupełnie nic o niej nie wiedziały. A w dodatku mieszkała w domu o nazwie Różana Chata z wielkim sekretnym pokojem i spektakularnym widokiem na morze. Po smutku ostatnich dni to naprawdę było ekscytujące. Sara była zauroczona - inaczej nie można tego określić.

- Patrick jest w domu? - szepnęła Gemma i nastrój nieco się zmienił.

Aurora uniosła brwi i zaczęła zgarniać okruszki ze stołu.

- Nie, znowu pojechał na ryby - odparła Miriam cicho.

Aurora i Gemma wymieniły znaczące spojrzenia. Później wszystkie zaczęły oglądać książki, które Aurora przyniosła w koszyku.

To jak pierwszy dzień w szkole, pomyślała Sara radośnie.

- Co wybieracie, dziewczynki? - zapytała energicznie Aurora. - Bestseller jak zwykle? Czy może autobiografię?

- Och, weźmy na początek pamiętniki Liz Smith! - odparła Miriam. - Już nie mogę się doczekać, kiedy je przeczytam. Uwielbiałam oglądać ją w tym sitcomie w telewizji.

- Dobrze - zgodziła się Aurora. - Jeśli będziesz chciała herbaty, Saro, po prostu powiedz. A jeśli będziesz miała ochotę zabrać głos, poruszyć temat niezwiązany z książkami, też się nie krępuj. Nie mamy surowego regulaminu. A teraz wróćmy do książki z zeszłego tygodnia. Która pierwsza?

Sara uśmiechnęła się do trzech kobiet. Gdyby zaczęły zachowywać się dziwnie, drzwi na podwórko miała tuż za plecami, choć nie słyszała ostatnio w wiadomościach, żeby jakieś straszne rzeczy działy się w irlandzkich klubach książki. Nie, odnosiła wrażenie, że nowe znajome są po prostu samotnymi kobietami w średnim wieku, które

próbują utrzymać pozory życia towarzyskiego, kiedy etap włączania się po klubach mają już za sobą, a jeszcze są o wiele za młode na klub robótek ręcznych. Jak na razie traktowały ją niezwykle ciepło, a Sara już wszystkie bardzo polubiła. Miriam rozpoczęła omawianie książki, pozostałe uprzejmie słuchały.

Sarę ogarnęło coś bliskiego zadowolenia, kiedy wyprostowała się na krześle i naląła sobie herbaty.

Rozdział 13

Czaruś

Aurora wbiegła po schodach do swojego luksusowego mieszkania na drugim piętrze i energicznie weszła do środka. Dzisiejsze spotkanie klubu książki okazało się niezwykle udane. Sara Quinn należała do osób, jakie Aurora lubiła. Dzielna, prostolinijna i pełna szacunku. Nie rozwodziła się na swój temat, ale też nie była nadmiernie skryta: idealna kandydatka do klubu książki. Chociaż Aurora trochę się zaniepokoiła, kiedy Miriam wspomniała, że na cotygodniowe spotkanie zaprosiła nową znajomą, teraz pozbyła się wszelkich obaw. Aurora miała lekkiego bzika na punkcie klubów książki, wiedziała o tym, ale dokładała starań, by nie zawładnęły jej życiem. Po raz drugi.

Telefon zadzwonił, kiedy umieściła swoje najlepsze szpilki na stojaku w szafie i odłożyła płaszcz na właściwy wieszak.

Lepiej niech to nie będzie David Cropper, pomyślała z irytacją. W tym miesiącu zwiększył liczbę rozpaczliwych telefonów.

- Halo.

- Auroro, kochanie? Nie rozłączaj się, proszę - powiedział błagalnie męski głos.

- Musimy porozmawiać.

- Och, na litość boską, Davidzie! Wczoraj, przedwczoraj i sama nie wiem, ile razy wcześniej mówiłam, że nie mam ci nic do powiedzenia. Nasz związek to historia.

- Ale ja czuję potrzebę wytłumaczenia się, wyjaśnienia, co się zdarzyło. Nigdy nie dałaś mi szansy, żebym to zrobił jak trzeba. Po prostu wstałaś i wyszłaś.

- Davidzie, to zaczyna być męczące. Przez ciebie wyjechałam z Belfastu. Przez ciebie sprzedawałam moją piękną wiktoriańską willę przy Malone Road. Nawet nie masz pojęcia, jak trudno mi było rozstać się ze wszystkimi przyjaciółmi, których tam miałam. Zrezygnowałam z dobrej pracy w szkole i przyjechałam tutaj, do tej zapadłej wioski, żeby zacząć od nowa.

- Wiem, moje kochanie.

- I z jakiego powodu według ciebie zadałam sobie tyle trudu? Myślisz, że przez pierwsze pół roku harowałam od świtu do nocy na sukces księgarni po to, żebyś znowu wtoczył się w moje życie jak słoń do składu porcelany i wywrócił wszystko do góry nogami? Może byłam głupia, niemądra i niesamowicie naiwna wierząc, że kiedykolwiek mnie kochałeś, szanowny panie Cropper. Ale nie jestem masochistką domagającą się kary. Zachowuj się stosownie do wieku i zostaw mnie wreszcie w spokoju.

- Nie możesz tak mnie traktować, Auroro, nie możesz z taką łatwością mnie odrzucać. Nie wierzę, że mówiłaś poważnie, że już mnie nie kochasz!

- Mówiłam śmiertelnie poważnie.

- Nie mogłaś przecież zapomnieć, co razem przeżyliśmy! Jak przebieraliśmy się w kostiumy z klubu książki i policzek przy policzku tańczyliśmy walca w twojej cieplarni? Pamiętasz, jacy byliśmy podnieceni, czując te koronkowe żaboty i falbanki na skórze?

- Przestań, robi mi się niedobrze.

- Nie brakuje ci naszych prywatnych wieczorków poetyckich, moja ukochana? Nie tęsknisz za spotkaniami klubu książki, pełnych mocy i ekscytacji?

- Niczego mi nie brakuje, Davidzie. Wstyd z powodu naszego romansu wezmę ze sobą do grobu. Moja godność była tylko pierwszą ofiarą naszego związku. A jeśli chodzi o klub książki i tę cholernie wielką cieplarnię, którą zbudowałam, żeby mieć miejsce na spotkania... Jak pomyślę, że ogród biednego Henry'ego przekopały buldożery! Masz tupet, żeby w ogóle do mnie dzwonić, naprawdę.

- A przy okazji, jak się miewa twój były mąż? Wciąż jest z tą ślicznotką z kwiaciarni? - zapytał David, podstępnie usiłując zaatakować jedynego mężczyznę w życiu Aurory, któremu jej zdaniem naprawdę na niej zależało.

- Tak, wciąż z nią jest. Ożenił się z tą ślicznotką, jak ją nazwałeś, mają cudowną córeczkę i żyją sobie w ekstatycznym szczęściu w uroczym wiejskim domu. Widzisz, w przeciwieństwie do ciebie, mój były to prawdziwy mężczyzna. Nie boi się zaangażowania i nie wstydzi się pchać dziecięcego wózka po ulicach, podczas gdy ty mimo swego wieku skaczesz z kwiatka na kwiatek. Wiesz, naprawdę jesteś okropny. Jak długo jeszcze zamierzasz latać za tymi kościstymi aktorkami i wytaczać się z winiarni o czwartej rano?

- Te brednie należą do pakietu, jeśli pracujesz w telewizji, Auroro. Od producentów oczekuje się, że będą trochę flirtować, że od czasu do czasu poszaleją z ekipą. To dobrze wpływa na integrację zespołu.

- Ha! Mówię szczerze, gdyby to nie było takie żalosne, ta rozmowa sprawiałaby mi przyjemność. Potrzebujesz profesjonalnej pomocy, chociaż niestety wątpię, żeby kiedykolwiek starczyło ci rozsądku, by o nią poprosić.

- Ale czy tak troszeczkę za mną nie tęsknisz, Auroro? Nie brakuje ci wieczorów w cieplarni, kiedy tylko we dwoje czytaliście sobie nawzajem Charlotte Bronte? Ja miałem na sobie surdut, a ty halkę i ten kryminalnie ciasny gorset.

A niech to! Znowu zaczyna od nowa, pomyślała.

- Tak, przyznaję, że czasami troszeczkę mi ciebie brakuje - powiedziała kpiąco.
- Byłeś naprawdę przystojny w tym surducie.

- Tak? - W jego głosie brzmiała dezorientacja.

- Tak, bo wiesz, nie jestem z kamienia. Jestem normalną kobietą z normalnymi uczuciami.

- Wiedziałem! I ja też za tobą tęsknię, kochanie. Bardzo tęsknię. Więc jaki sens ma to, żebyśmy oboje byli samotni i znudzeni, skoro wystarczy, żebyś wróciła do Belfastu i znowu mnie kochała?

Aurora ledwo wierzyła własnym uszom. Davida Croppera nie można było wysłać do sklepu na rogu po karton mleka, żeby nie rzucił się na każdą atrakcyjną

kobietę, która weszła mu w drogę. Pewnie zaczyna cierpieć na brak możliwości i kobiet, skoro ostatnimi czasy bezustannie wydzwania.

- Och, Davidzie - zamruczała uwodzicielsko do słuchawki - pamiętasz, jak pierwszy raz kochaliśmy się w tych kostiumach? W dniu, gdy ekipa z BBC2 skończyła kręcić film o Paczce Bronte? Nasz mały klub książki wreszcie stał się sławny! Mówiono o nas w całym mieście. Każdy, kto cokolwiek znaczył, chciał zostać członkiem. Mnie awansowano na wicedyrektora, ponieważ we dwoje dokonaliśmy wiele, by uatrakcyjnić literaturę klasyczną dla mas. Wspaniałe czasy, naprawdę.

- Tak, to były wspaniałe czasy.

- A pamiętasz dzień, kiedy biedny Henry w końcu pogodził się z porażką i po cichu się wyprowadził? Nawet nie próbował sądownie wydrzeć mi połowy domu, po prostu poszedł sobie i zaczął nowe życie z Rose?

- Tak, jasne, że pamiętam.

- Tak? A pamiętasz, jak przysiągłeś, że zawsze będziemy razem? - zamruczała.

- Tak!

Aurora wzięła głęboki oddech.

- A potem zdradziłeś mnie z dwudziestoletnią studentką z twojego kursu dramatycznego! - wrzasnęła do słuchawki.

- Napisała do mnie i ze szczegółami zrelacjonowała, coście we dwoje robili za kurtyną w Grand Opera House!

- Posłuchaj, Auroro, mówiłem, że mogę to wytłumaczyć.

- No to tłumacz. - Aurora poprawiła włosy, przeglądając się w lustrze w holu. Uznała, że nieźle wygląda. Morskie powietrze oraz domowe wypieki Miriam świetnie jej robiły. Odkąd przeprowadziła się do Redstone, przytyła o trzy kilo, policzki i broda lekko się zaokrągliły, ale było jej z tym dobrze. - Słucham.

- Przeżywałem kryzys wieku średniego. Czułem ciężar wieku i skorzystałem z ostatniej szansy, żeby sobie udowodnić, że jestem atrakcyjny dla młodej kobiety.

- Błagam, Davidzie, co to ma być? Wykształcony z ciebie facet, mógłbyś chyba lepiej się postarać, co? Jestem warta lepszego pretekstu niż pospolity kryzys wieku średniego. Obrażasz mnie takim marnym wyjaśnieniem. Och, Davidzie, naprawdę sięgnąłeś dna.

- Posłuchaj, nie wiesz, jak to jest być mężczyzną, moja droga. Nie rozumiesz, jaką wagę ma męskość dla naszego poczucia tożsamości. Musiałem umocnić swoją pewność siebie dzięki okazywanej przez nią uwadze. Potrzebowałem tego twórczego przyływu, który czułem, przebywając z... ehm... z tą dziewczyną.

- Już zapomniałeś, jak miała na imię?

- Nie zapomniałem.

- Więc jak?

- Auroro, nie torturuj się szczegółami. Zrezygnuj z tej głupiej małej księgarni i wróć do Belfastu, gdzie jest twoje miejsce. Kocham cię. Potrzebuję cię.

- Ty natomiast jesteś mi tak potrzebny jak dziura w głowie, ty śliski, dwulicowy, fałszywy gadzie! Nie wspominając już o tym, że jesteś zбочony! Ona mogła być twoją córką. Nigdy nawet nie przeprosiłeś. Musiałeś stracić ten swój malutki rozumek, skoro pomyślałeś, że kiedykolwiek dopuszczę cię na odległość splunięcia. Członkowie klubu książki wyśmiewali się ze mnie, nawet uczniowie prychnali pogardliwie na mój widok. Ten skandal o mało mnie nie zniszczył. Ty ohydny szczurze!

- Auroro! Uspokój się, skarbie.

- Ja mam się uspokoić? Ale to ty nie chcesz się uspokoić i codziennie wydzwaniasz. Nie każ mi po raz kolejny zmieniać numeru telefonu, ostrzegam cię. Jak jeszcze raz zadzwonisz do Ostatniego Rozdziału, oskarżę cię o dręczenie. A jeśli nie będę mogła oskarżyć cię o dręczenie, zacznę nagrywać każdy telefon i taśmy wyślę twoim szefom w BBC w Belfaście. Skoro o tym mowa, pójdę też do „Belfast Telegraph”. Pewnie rzucą się na kilka plotek.

- Och!

- Może o moją reputację nie dbasz za grosz, ale własna zapewne piekielnie cię interesuje. A teraz się odpieprz!

Aurora słyszała, jak Davidowi ze zdumienia zaparło dech. Nigdy, przenigdy nie przeklinała. Triumfalnym gestem odłożyła słuchawkę na widełki.

- Naprawdę, mężczyźni to idioci - powiedziała do lustra, kręcąc ze zdumienia głową. - Po całym tym czasie, po tysiącach lat wspólnego życia z nami, kobietami, wciąż wierzą, że są silniejszą płcią. Ten facet to emocjonalny ślepy zaułek, jak zresztą

większość z nich. Prędzej kaktus mi na ręce wyrośnie, niż dopuszczę go do mojej halki. Na samą myśl o nim włosy stają mi dęba. - Aurora zanotowała w myślach, żeby wygrzebać kostium do filmu o Paczce Bronte i wyrzucić do kosza. Razem z gorsetem, zapinanymi na guziczki trzewikami oraz kapeluszem ze strusimi piórami. Naprawdę, sama musiała przechodzić kryzys wieku średniego, skoro w ogóle pozwoliła takiej gnidzie jak David Cropper robić wszystkie te żenujące rzeczy. Fuj!

- No dobrze - westchnęła. - Do przodu i w górę.

Włączyła centralne ogrzewanie i poszła do kuchni zaparzyć świeżo mieloną kawę.

Rozdział 14

Zmartwychwstanie miłości

Ostatnie płaty śniegu stopniały, uroczystości bożonarodzeniowe kończyły się, ustępując miejsca przygotowaniom do sylwestrowych imprez. W pubie organizowano specjalny wieczór z zespołem, komikiem, zwyczajowym quizem z wiedzy ogólnej oraz loterią. Sara widziała plakat, kiedy w sklepie robiła zakupy, i postanowiła, że może wpadnie do pubu na godzinę lub dwie przed północą, żeby spotkać się z miejscowymi. (To znaczy, o ile będzie wtedy miała ochotę.) Na razie poszła przywitać się z panią Casey i zapytać, jak zamawia się torf.

- Proszę, kochanie, tu jest numer. - Pani Casey wyjęła z portfela karteczkę i podała Sarze. - Chociaż w głowie mi się nie mieści, że już zużyłaś cały torf, który był w domu...

- Te trzy koszyki? Tak, nic nie zostało - wyznała Sara.

- Ale jest o wiele więcej w szafie w drugiej sypialni - odparła pani Casey. - Nie znalazłaś go? Miriam powiedziała, że nie powinnam wszystkiego zostawiać w dużym pokoju, bo przesadziłabym w tworzeniu wiejskiego charakteru.

- Nie - roześmiała się Sara. - Nawet tam nie zajrzałam. Dziękuję i do siego roku!

Po powrocie do domu przekonała się, że w szafie istotnie upchnięte są trzy wielkie plastikowe worki torfu.

- Ten dom jest coraz lepszy - zaśmiała się do siebie. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Pobiegła, żeby je otworzyć; myślała, że to Miriam, Gemma albo Aurora wpadły się przywitać, ale nie. Zdziwiła się na widok Ethana. Trzymał wielką choinkę.

- O, cześć - powiedziała, usiłując ukryć rozbawienie. - Wyprowadzasz na spacer ulubione drzewko?

- Ha, faktycznie! To dla ciebie. Wiesz, pomyślałem, że skoro zostało jeszcze sześć dni do Trzech Króli, może będziesz je chciała? W warsztacie je wyrzucili. Uznali, że na tym etapie już nie sprzedadzą.

Oparł choinkę o ścianę.

- Och, to bardzo miło z twojej strony, Ethan. Ale nie mam żadnych ozdób.

- Tym się nie przejmuj. Popatrz, co dostałem w kasie. - Wyjął z kieszeni niewielkie opakowanie lampek choinkowych i pudełko bombek. - Choć wiem, że to za mało na taką choinkę.

Ale Sarę zachwycił ten gest. Była też lekko zakłopotana. Przyszedł zaprosić ją na drinka?

- Może przyjdiesz później do pubu? Na imprezę sylwestrową? - zapytał wesoło. - Zazwyczaj jest świetna zabawa. Mamy quiz, dwóch komików i muzykę tradycyjną. No i loterię, choć wygrywa się kilka butelek alkoholu, suszarkę do włosów czy coś w tym rodzaju. Ale jest fajnie, wszyscy się emocjonują, jakby wygrali główną nagrodę w lotku.

- Dziękuję, Ethan, ale jeszcze nie wiem, co będę robiła.

Sara nie wiedziała, czy się zgodzić i spędzić miło czas czy też odmówić, pójść wcześniej do łóżka i postarać się całą noc przespać. Gemma i Aurora wybierały się do jakiegoś eleganckiego hotelu w Galway na kolację połączoną z tańcami, którą zarezerwowały dawno temu, Miriam natomiast zostawała w domu z Patrickiem nieznoszącym „podekscytowanego nonsensu”, jaki towarzyszy tej porze roku. Sara

zadzwoiła już do rodziców i Abigail (która była dziwnie cicha podczas tej rozmowy, najwyraźniej wciąż do końca nie wybaczyła przyjaciółce tamtej ucieczki) i teraz nie miała nic do roboty. Mimo to nie chciała, by Ethan odniósł wrażenie, że jej na nim zależy.

Dobra, w porządku, istotnie wpadł jej w oko i na to nic nie mogła poradzić, ale było o wiele, o wiele za wcześnie, żeby w ogóle myśleć o umawianiu się na randki.

- Nie przejmuj się, jeśli inaczej zaplanowałaś wieczór. - Ethan wzruszył ramionami. - Tylko że przez cały tydzień nie widziałem cię w pubie i pomyślałem, że przyjdę i zapytam. Powiedziałem sobie, że żadna szkoda z tego nie wyniknie, ale to i tak bez znaczenia. - Wepchnął dłonie w kieszenie marynarskiej kurtki i odwrócił się.

Sarze natychmiast zrobiło się go żal.

- Och, w porządku! Bardzo ci dziękuję, przyjdę - powiedziała bez tchu.

- Wspaniale. Wpadnę po ciebie później, dajmy na to o dziewiątej, dobrze? - zapytał z szerokim uśmiechem.

Sara zauważyła, że niemal zamyka oczy, kiedy się uśmiecha, a kąciki ust wędrują mu aż do brwi.

- Tak, dziewiąta mi odpowiada - odparła zastanawiając się, jak taktownie dać mu do zrozumienia, że nie jest jeszcze gotowa na nowy związek. Oraz że nie szuka wakacyjnego flirtu.

Z drugiej strony, z pubu do domu miała kilka kroków, gdyby się nie dogadali albo popadli w jakiś konflikt. Do tej pory kiedy Ethan ją widywał w wiosce, zawsze wyglądała strasznie, jakby ją przeciągnięto przez żywopłot. Nie mógłby oskarżyć jej o bycie wampem, pomyślała z pruderią. (To musi być wpływ Aurory - jest taka surowa i zasadnicza!)

- Do zobaczenia o dziewiątej. Cześć - powiedział Ethan. Tym razem miał samochód, stare audi. Doskonale do niego pasuje, pomyślała Sara, auto rozsądne, choć z nutką ekstrawagancji.

- Ethan, poczekaj! - zawołała, kiedy ruszył w stronę samochodu. - Czy to elegancka okazja?

- Elegancka?

- No wiesz, czy kobiety wkładają sukienki i szpilki? Czy raczej wszyscy ubierają się na luzie?

Ethan wybuchnął śmiechem.

- Elegancka okazja w Redstone? Kpisz sobie? U Callaghana nie obowiązują żadne reguły dotyczące stroju. Ubierasz się tak, jak ci wygodnie. Dzinsy, cokolwiek. To bez znaczenia.

- Dobra. Do zobaczenia.

- Poradzisz sobie z choinką?

- Na pewno. Jeszcze raz dziękuję. Do zobaczenia.

Sara zamknęła drzwi, po czym zawlokła choinkę po schodach do salonu. Umieściła ją w wiklinowym koszyku pełnym bloków torfu obok okna widokowego. Odwracała drzewko kilka razy, szukając najlepszego kąta. Choinka zaczęła już tracić igły, ale nie wyglądała najgorzej. Musieli trzymać ją w wodzie albo w tym roku w czasie świąt była wyjątkowo niska temperatura. Usatysfakcjonowana zawiesiła na gałązkach lampki oraz najlepiej jak umiała rozmieściła kilka bombek. Całkiem nieźle, uznała po skończonej pracy, choć naturalnie drzewka nie można było porównać ze wspaniałą choiną w Ostowym Puchu, na której wisiało tak wiele dziedziczonych od pokoleń ozdób, że nie widać było gałęzi. A co tam, nie może teraz o tym myśleć, bo znowu ogarnie ją przygnębienie.

Włączyła oświetlenie na choince. Lampki były śliczne, małe wielobarwne latarenki. Beznadziejnie niemodne, ale w jakiś sposób bardziej pasujące do świąt niż gustowne kulki z białego matowego szkła, za którymi przepadali jej przyjaciele w Londynie. Zaraz potem zadzwonił telefon. To pewnie znowu mama, pomyślała z uśmiechem, jak zwykle się o mnie martwi. Ale to nie była mama, tylko Millicent Campbell.

- Halo, Sara? To ty? Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale chciałam zamienić z tobą kilka słów. Zgadzasz się?

- Oczywiście. Jak się miewasz? - odparła Sara, choć ze strachu serce mocniej zaczęło jej bić. Czy Wielka Millie zrobi jej awanturę, bo opuściła Mackenziego przy ołtarzu? No, prawie przy ołtarzu.

- Chciałam tylko życzyć ci szczęśliwego Nowego Roku, Saro, i powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro, że sprawy tak się potoczyły. Szczerze wierzyłam, że Mackenzie poradził sobie z wypadkiem Jane i oboje będziecie bardzo szczęśliwi. Rozumiem, że wy, współczesne dziewczyny, chcecie, żeby wszystko układało się idealnie, ale kiedy będziesz w moim wieku, uświadomisz sobie, że doskonałość to rzecz bardzo ulotna.

- Oczywiście. Chyba powinnam była dać mu szansę na wyjaśnienie, ale w tamtym momencie nie wydawało mi się to słuszne. A kiedy nie próbował mnie szukać... cóż, to dowodzi, że miałam rację.

- Może tak, Saro, a może nie. Wiesz, w gruncie rzeczy nie poznasz naprawdę mężczyzny, dopóki za niego nie wyjdiesz. A mężczyźni z rodziny Campbellów potrzebują wiele czasu, żeby się otworzyć. Mackenzie to dobry człowiek, choć uparty jak osioł. Tworzyłibyście wspaniałą parę. Powinnaś była dać mu więcej czasu, moja droga. Ale chciałam powiedzieć, że będzie mi ciebie brakowało.

- Dziękuję, Millicent. Mnie też będzie ciebie brakowało. - Naprawdę tak myślała.

- Wiesz, szkoda, że nie przyszłaś do mnie i nie porozmawiałaś o tym. Żałuję, że nic mi nie powiedziałaś.

- Przepraszam, Millicent. Chyba rzeczywiście źle to rozegrałam. Chociaż przyznawałam Abigail rację, kiedy mówiła, że Mackenzie ma prawo do uczuć do Jane, dla mnie to było za wiele.

- Wiem, rozumiem. Ale mężczyźni to tacy głupcy. Czulby zupełnie inaczej, gdybyście się pobrali. Czy jest jakaś szansa, że się pogodzicie? Wróćcie do siebie, nie pobierając się na razie?

- Och, Millicent, nie sądzę. To znaczy, wiesz, ja zawiódłam Mackenziego, uciekając od niego, a on zawiódł mnie, nie próbując się ze mną kontaktować.

- Ale on prawie się nie odzywa, odkąd wyjechałaś, Saro. Mało je. Martwię się o niego.

- Przykro mi, ale wciąż próbuję dojść do ładu ze sobą. Wiesz, nie w taki sposób planowałam spędzić święta. Zupełnie sama.

- Wiem, wiem. Co jeszcze mam ci do powiedzenia? Ehm, zaprosiłam Abigail do Ostowego Puchu na sylwestra. Mówiła ci o tym?

- Nie - odparła Sara, czując lekką irytację na przyjaciółkę. - Ale ostatnio niewiele z nią rozmawiałam. O tej porze roku mają w klinice najwięcej pacjentów.

- Tak, rzeczywiście. Dlatego zaproponowałam, żeby przyjechała na kilka dni, jeśli zdoła się wyrwać. Niedługo powinna tu być. Saro, pozostaniemy w kontakcie?

- Nie sądzę, Millicent. Byłoby to zbyt bolesne dla nas obu. Naprawdę bardzo mi przykro.

Nastąpiło niezręczne milczenie.

- No cóż, dbaj o siebie, dobrze? Obiecujesz?

Millicent wyraźnie dokładała starań, by brzmieć pozytywnie i przyjacielsko.

- Obiecuję. Dziękuję, że o mnie myślisz. Do widzenia, Millicent.

- Tak, do widzenia.

Sara rozłączyła się. Serce o mało nie pękło jej z żalu. Tak trudno było odmówić matce Mackenziego, ale ona już podjęła decyzję. Kiedy się zaręczyli, myśl o wejściu do rodziny Campbellów wywoływała w niej onieśmielenie, a teraz byłoby to dziesięć razy trudniejsze. Głęboko oddychając, Sara poszła zaparzyć kolejną filiżankę herbaty i rozпалиć ogień. Wyglądało na to, że ostatnimi czasy uzależniła się od tych dwu czynności. Za cztery godziny przyjdzie Ethan, żeby zabrać ją do pubu. Ma cztery godziny na rozstrzygnięcie, czy pójdzie z nim i spróbuje dobrze się bawić czy raczej ulegnie pokusie, by wrócić do domu w Islington, wczołgać się do pojedynczego łóżka i przyznać, że życie ją pokonało. Wiedziała, która możliwość bardziej jej odpowiada. Miała tylko nadzieję, że wystarczy jej odwagi na zrealizowanie planu.

A co tam, pomyślała nagle.

Do diabła z zasadą „dwa kieliszki i ani kropli więcej”.

Dobrze jej zrobi, jak porządnie się wstawi.

- Okay - powiedziała z determinacją w głosie. - Gdzie podziałam kosmetyki? Nie zamierzam ani minuty dłużej siedzieć i rozczulać się nad sobą.

- Trzy, dwa, jeden! Do siego roku! Do siego roku! - zawołał solista, po czym wrócił do składania hołdu zespołowi Pogues. (Był dokładnie ucharakteryzowany, nie

zapomniał o zepsutych zębach wokalisty.) Goście w zatłoczonym do ostatniego miejsca pubie byli wstawieni, spoceni, wyczerpani i szczęśliwi.

Wszyscy z wyjątkiem Sary i Ethana.

Sara doskonale zdawała sobie sprawę, że Ethan jest nią zainteresowany, i nie wiedziała, jak delikatnie mu przekazać, że to wykluczone. A Ethan wyczuwał jej smutek i zastanawiał się, o co chodzi. Chyba ze sto razy powiedział, że Sara wygląda cudownie, ale ona tylko wzruszała ramionami i dalej słuchała muzyki.

- Mógłbyś już odprowadzić mnie do domu? - krzyknęła, żeby usłyszał ją w panującym hałasie. - Zaraz padnę.

- Jasne. - Ethan wziął ich kurtki. Chwilę później przeciskali się do drzwi. Kiedy wyszli w czarną jak atrament noc, zimne powietrze uderzyło ich niczym fala. Sara szczękała zębami.

- Ojej, ale zimno - mruknęła. - Całe szczęście, że rozpałam w kominku.

Ethan uśmiechnął się, podnosząc kołnierz.

- Do twojego domu jest blisko. Wspaniale się bawiłem, dziękuję za towarzystwo. Ten facet z trwałą ondulacją był rewelacyjny, no nie? Opowiadał stare dowcipy i chyba specjalnie tak się przebrał. Jak myślisz?

- Sama nie wiem. To wszystko były irlandzkie dowcipy. To znaczy, z odniesieniami irlandzkimi.

- Tak, o to mi chodzi. Same kawały z brodą. No bo czy wciąż masz pieniądze z komunii ukryte gdzieś w skarpecie? A pamiętasz konkursy irlandzkiego tańca, które trwały przez wiele dni i skrzypek zasypiał na scenie, ale nie przestawał grać? I dlaczego nauczyciele w latach osiemdziesiątych nosili takie okropne swetry?

- Ale goście pękali ze śmiechu.

- Moim zdaniem śmiali się z jego ondulacji.

- Biedaczek robił, co mógł.

- To prawda.

Minutę później byli już przy drzwiach.

- No tak - powiedział Ethan. - Przypuszczam, że chcesz od razu pójść do łóżka?

- Co?

- Mówiłaś, że zaraz padniesz?

- O tak, rzeczywiście. Jak daleko mieszkasz? To znaczy, zakładam, że nie jedziesz samochodem? Musieliśmy wypić sporo. Ile? Siedem albo osiem drinków?

- Nie, dzisiaj pójdę pieszo. To niedaleko.

- A dokładnie?

- Trzy kilometry.

- Och, Ethan, wejdź i zadzwoń po taksówkę - zaproponowała Sara, otwierając drzwi.

- Dzisiaj w nocy Dessie nie jeździ taksówką - roześmiał się Ethan. - Teraz już na pewno leży w śpiączce. Naprawdę, dam sobie radę.

- Proszę, wejdź, napijemy się herbaty. Zamarzniesz w tym zimnie. Wejdź, bardzo proszę. - Delikatnie pociągnęła go za próg.

- Dobrze, ale nie chciałbym ci przeszkadzać.

Sara zaświeciła lampy, powiesiła kurtkę na wieszaku i weszli do salonu. Na szczęście w kominku jeszcze się żarzyło i w pokoju było tak ciepło, jak to możliwe w pomieszczeniu tej wielkości w zimną i mroźną ostatnią noc roku. Sara ustawiła ekran, dorzuciła do kominka torfu i włączyła lampki na choince. Pokój był niemal przytulny, jeśli ignorowało się wrażenie pustki wywołane oszczędnym umeblowaniem. Sara poszła do kuchni przygotować herbatę i grzanki, pokrywając zdenerwowanie wesołą paplaniną o zespole, który grał w pubie. Kiedy wróciła do salonu, Ethan siedział na sofie i wpatrywał się w płomienie.

- Jak on się nazywał? - zapytał łagodnie.

- Kto? - zdziwiła się Sara, podając mu kubek.

- Facet, z którego powodu przyjechałaś tu sama autobusem dzień przed Bożym Narodzeniem?

- Oho, sprytny jesteś, co? To długa historia, zajęłaby całą noc - odparła cicho.

- Mam całą noc, Saro. Opowiedz mi, proszę.

Wbrew rozsądkowi spełniła jego prośbę. Opowiedziała o Ostowym Puchu i o tym, jak po uszy była zakochana w Mackenziem. I jak potem wszystko się zawaliło. Jak nie potrafiła wybaczyć Mackenziemu, że kocha wspomnienie o Jane bardziej niż ją. Rozumiała to, pragnęła mu wybaczyć i zaakceptować go takim, jakim był, ale po prostu nie potrafiła.

- To smutna historia - powiedział Ethan, kiedy skończyła.

- Przykro mi, że twój piękny ślub się nie odbył.

- Mnie też - odparła Sara. Zanim się zorientowała, Ethan nachylił się ku niej i pocałował ją delikatnie w usta.

- O północy jakoś się nam nie udało - szepnął.

- Nie chcę być niemila, ale dla mnie to o wiele za wcześnie - odszepnęła Sara ze łzami w oczach.

- Tak myślałem. To był tylko pocałunek na Nowy Rok, nic więcej.

- Bardzo cię lubię.

- I na razie to wystarczy - odparł Ethan, mocno trzymając ją za rękę.

Sara poczuła, jak w jej sercu coś zaczyna się budzić. Odwzajemniła pocałunek. Może dlatego, że był sylwester, a ona czuła się samotna. Może dlatego, że wypila o wiele za dużo i nie miała innego sposobu na rozładowanie frustracji wywołanej zerwaniem z Mackenzie. A może chodziło o to, że Ethan jeszcze nie rozpiął kurtki, mimo że siedział tuż przy ogniu, i wydało się jej to dziwnie pociągające, w jakiś pokręcony sposób podniecające. Tak czy owak pocałowała go i sprawiło jej to przyjemność. Usta Ethana były miękkie; okazywał wielką niepewność i wyczuła w nim rodzaj bezbronności, której nigdy nie dostrzegą u Mackenziego. Nie ulegało wątpliwości, że Ethan jej pragnie, pragnie tak bardzo, że boi się zrobić czy powiedzieć coś niewłaściwego. Usta drżały mu ze zdenerwowania.

- Chciałbyś zostać na noc? - zapytała zdumiona własnymi słowami. Nigdy dotąd nie poszła z facetem do łóżka na pierwszej randce. Może na drugiej, ale na pierwszej nigdy.

- Och! Mogę spać na sofie - odparł nerwowo. - To chyba byłby dobry pomysł, nie sądzisz? To znaczy, nie jesteś gotowa. Powiedziałaś, że to za wcześnie. No wiesz, ślub i cała reszta.

- Dobrze - powiedziała zażenowana. - Ale tam jest druga sypialnia. Nie przygotowałam łóżka, choć w suszarni jest pościel.

Możesz w niej spać, jeśli chcesz. Będzie ci wygodniej niż na sofie. W każdym razie oszczędzisz sobie powrotu do domu pieszo.

- Świetnie - zgodził się. Sara wstała i poszła po pościel. - Będzie mi tam doskonale, dziękuję.

- W takim razie do zobaczenia rano - powiedziała, pościeliwszy łóżko. Modliła się, by Ethanowi starczyło rozsądku i nie postąpił pochopnie.

- Nie myśl, że nie chcę spędzić nocy z tobą - wykrztusił z zakłopotaniem. - Na niczym bardziej mi nie zależy. Chodzi o to, że oboje jesteśmy zmęczeni. Okay?

- Okay - odparła, gasząc lampki na choince. Rozeszli się do swoich sypialni.

Sara niemal od razu zasnęła. Wino i muzyka (wciąż dzwoniąca jej w uszach) przytłumiły wszelkie myśli o cudownych dekoracjach świątecznych w Ostowym Puchu, o wygodnym łóżku z baldachimem i muskularnych ramionach Mackenziego i o długiej podróży autobusem z Dublina do Redstone. A także o ciemnych błyszczących oczach i wspaniałym zaraźliwym uśmiechu Ethana.

Ethan przez większość nocy leżał bezsennie i zastanawiał się, co powinien zrobić. Zadawał sobie pytanie, czy nie oszalał, zakochując się w kobiecie, której na wiosnę nie będzie już w Redstone. W pięknej kobiecie, która przeżyła zawód sercowy i której nie miał nic prawdziwie wartościowego do zaoferowania. Czy ma jej opowiedzieć o wypadku w wesołym miasteczku i Patricku Gormleyu? Może powinien to zrobić, zanim Sara dowie się od kogoś innego? W głowie szumiało mu od pytań i trosk. Zajęty rozważaniami ledwo zauważył, jak zimno jest w pokoju. Tuż przed dziewiątą wstał i poszedł do salonu. Usiadł przy kominku, cicho dokładając do paleniska bryły czarnego, kruszącego się torfu. Potem postawił czajnik na piecu, żeby Sara miała świeżą herbatę, kiedy się obudzi.

Rozdział 15

Wczoraj w nocy śniło mi się, że ktoś mnie kocha

Dochodziła pora lunchu i Gemma była bardzo zadowolona z rezultatów swojej pracy. Jej mały, pomalowany na szalwiovą zieleń tarasowy domek nad morzem był wypucowany: odkurzyła podłogi, wyczyściła i starannie ustawiła książki w biblioteczkę. Wysuszyła włosy i ułożyła w asymetryczny czub. Miała na sobie ulubione spłowiełe dzinsy i miękki kremowy sweter. Na razie była boso, przed wyjściem z domu włożyła buty do kostek. Znalazła nawet pięć minut na pomalowanie paznokci u nóg na perłową biel. Zawsze czuła się bardziej atrakcyjna, jeśli paznokcie u nóg miała wypielęgnowane. Z drugiej strony, jako że kilka tygodni wcześniej skończyła czterdzieści lat, postanowiła, że mniej to lepiej, jeśli chodzi o makijaż. Żadnej grubej warstwy podkładu czy sypiącego się pudru, tylko odrobina kosztownego kremu kryjącego pod oczy oraz muśnięcie złotej szminki na ustach.

Była wysoka i na tyle krągła, że można ją było uznać za seksowną, a jeszcze nie pulchną. Dzisiaj wielkie niebieskie oczy miała trochę smutne, kiedy malowała rzęsy i skrapiała przeguby lekkimi kwiatowymi perfumami.

Ha, nic dziwnego, że czasami popada w przygnębienie. Jej życie uczuciowe to trwająca dwadzieścia pięć lat saga następujących po sobie nieudanych „związków”. Świetnie bawiła się na sylwestrze z Aurorą, ale nie poznały żadnych interesujących mężczyzn. A ostatnio musiała odrzucić kilka darmowych biletów na uroczystości rozdania nagród w Dublinie, ponieważ w tak krótkim czasie nie była w stanie znaleźć nikogo, kto mógłby jej towarzyszyć.

Problem polegał na tym, że pociągali ją swobodni, chętni do flirtów mężczyźni, którzy niemal zawsze za zamkniętymi drzwiami okazywali się nudni albo co gorsza, pełni gniewu. W większości jej kochankowie po bliższym poznaniu byli agresywni, egocentryczni albo nieprzewidywalni. Czasami mieli wszystkie te trzy cechy

jednocześnie. Może myśleli, że silna kobieta pomoże im dojść do ładu ze sobą, wesprze ich czy coś w tym rodzaju, ale w ostatecznym rozrachunku mieli do niej pretensje z powodu jej opanowania i odporności. Cóż, jej zależało na partnerze na całe życie, a nie na pracy. Szczerze mówiąc, mężczyźni, których ostatnimi czasy poznawała, byli coraz gorsi, a nie lepsi. Po części obwiniała za to media (swoją własną pracę, należy tu stwierdzić), bo tak wielką uwagę i tyle miejsca poświęcano w nich źle zachowującym się sławom. Obecnie ludzie za punkt honoru stawiali sobie, by ich życie osobiste było bardziej poplątane niż kłębek starego sznurka. Ale ona nie chciała w taki sposób żyć. Gemma pragnęła, by melodramat ograniczał się wyłącznie do kart pisanych przez nią powieści.

Schowała kosmetyki i spojrzała na zegarek. Telefon zadzwonił dokładnie o umówionej porze. Zwykle trochę by się niepokoiła, dzisiaj jednak czuła się zrelaksowana i gotowa na dyskusję z Mikiem, redaktorem jej kolumny w gazecie. Po kremowym dywanie podeszła do szklanego biurka, ustawionego na ukos pod oknem salonu. Bycie pisarką to samotne zajęcie, pomyślała, aczkolwiek ma też kilka zalet. Jak praca w domu z oszołamiącym widokiem z okna. Mało kto podnosząc wzrok znad komputera, widzi fale oceanu i krążące w górze morskie ptaki. Ujęła telefon z postanowieniem, że będzie przyjacielska, ale stanowcza.

- Cześć, Mike.

- Cześć, Gemmo, co u ciebie?

- Świeci słońce i jest ślicznie. A jaka jest pogoda w Dublinie?

- Pochmurna - odparł Mike ponuro. - Co nie znaczy, że mogę tak często patrzeć na niebo jak ty. Jak zwykle jestem zawałony robotą. Co masz dla mnie w tym tygodniu?

Nie ulegało wątpliwości, że Mike nie jest w nastroju na pogaduszki. Gemma wzięła głęboki oddech.

- „Koniec feminizmu”... jak ci się to podoba?

- Sekundkę, Gemmo, muszę odebrać inny telefon.

Nagle zgłodniała, poszła więc z bezprzewodowym telefonem do kuchni i otworzyła lodówkę. Wrzuciła coś do mikrofalówki i po rozmowie lunch będzie miała

gotowy. Na curry z kurczaka wystarczy pięć minut. Włożyła tackę i włączyła mikrofalówkę.

W słuchawce znowu odezwał się Mike.

- Gemma, już wcześniej wiele razy to przerabialiśmy.

- Wiem.

Podczas gdy jej lunch wirował w mikrofalówce, Gemma słuchała standardowego wykładu Mike'a o nieustannej konieczności zamieszczania w gazecie ekscytujących i śmiałych (dobrze, pikantnych) artykułów. Swoją przemowę zakończył w chwili, gdy zabręczał dzwonek timera.

- Rozumiem, o co ci chodzi, ale mnie wysłuchaj - zaczęła. - Mamy ważniejsze rzeczy do powiedzenia! Ważniejsze od informowania o cyckach, operacjach cycków, sfuszerowanych operacjach cycków oraz o ukrytych gejach w Hollywood. Kogo to obchodzi? Posunęliśmy się za daleko z tym ujawnianiem homoseksualnych sław. Mike, dla mnie to żenujące, że co tydzień muszę pisać o takich bezsensownych, nieważnych sprawach.

Z telefonem balansującym niebezpiecznie na ramieniu usiłowała odpakować lunch. Ale przezroczysta pokrywa nie chciała ustąpić, w końcu więc Gemma przebiła ją ostrym nożem. W powietrze uniósł się obłok wrzącej pary i dłoń Gemmy przeszył przenikliwy ból. Upuściła tackę, która podskoczyła gwałtownie na blacie i pękła. Strumień jaskrawopomarańczowego sosu poleciał na płytki. Gemma wiedziała, że nie usunie plam z białych fug.

- Cholera jasna!

- Gemma, stało się coś?

- Ależ to boli, cholera! - jęknęła, wpychając obolałe palce w woreczek z lodem.

- Przepraszam, Mike, sparzyłam sobie dłoń - wyjaśniła.

- Uważaj, kobieto! Musisz iść do szpitala?

- Nie, nic mi nie będzie.

- Cieszę się. Wracajmy do interesów. Przykro mi, ale ten tytuł to kompletna klapa. Rozumiesz?

- Mike, feminizm dawno umarł! Staraliśmy się, jak mogłyśmy, ale niektóre siostrzyczki zdjęły bluzki i zarobiły łatwe pieniądze.

- Mnóstwo facetów też nie ma lekko. Posłuchaj, dlaczego nie odpowiada ci temat, o którym mówiłem w zeszłym tygodniu? Nowe metaliczne bikini?

- Och, Mike, co ja mam z tobą zrobić?

- Do roboty. Posłuchaj, brakuje mi dzisiaj czasu. - Mike miał na głowie stos rachunków do zapłacenia oraz ostateczny termin zamknięcia numeru. - Gemma, potrzebuję gorącego tytułu w ciągu następnych pięciu minut. Żarty na bok. Mam do wypełnienia dział Samotnych Serc, recenzję z nowej książki o diecie oraz reklamę chirurga plastycznego, którą wczoraj zdobyliśmy. I postaraj się nie przekroczyć limitu słów, dobrze? Bo naprawdę musimy pierwszeństwo oddać reklamie. Okay?

- Och, Mike, czemu ja się przejmuję?

- Bo potrzebujesz pieniędzy, kochana Gemmo. Jak my wszyscy.

Mike miał rację. Istotnie potrzebowała pieniędzy. Powieści ostatnimi czasy nie sprzedawały się dobrze, chyba że miałaś szczęście i wybrano cię do efekciarskiej promocji albo zareklamowano w programie telewizyjnym nadawanym w najlepszym czasie. Na ogół jednak traciło się fortunę na obniżkach cen.

- Wygrałeś, Mike - powiedziała cicho. - Za dziesięć minut wyślę ci e-mail.

- Lepiej za pięć. Grzeczna z ciebie dziewczynka, Gemmo. I pamiętaj, jeśli kiedykolwiek będziesz udzielała wywiadu w „Ireland AM” o swoich książkach, wpleć nazwę naszej mizernej gazety w rozmowę, dobrze? A na następny tydzień może napiszesz coś o „Big Brotherze”, zgoda? Na przykład czy któraś z naszych czytelniczek została lesbijką w domu pełnym dziewczyn? Do zobaczenia!

- Mike, poczekaj!

Ale Mike już się rozłączył.

Gemma westchnęła, wyłączyła telefon i wróciła do salonu, gdzie wystukała artykuł o kurczakach, folii do pieczenia i laskach w srebrnych bikini na plaży, sprawdziła pisownię i nacisnęła klawisz „wyślij”, nie facygując się nawet przeczytaniem tego, co napisała. Zresztą co to ma za znaczenie, pomyślała z gniewem. Mike i tak zrobi z jej felietonem, co zechce, a potem zepsuje wszystko sprośnym tytułem. Chociaż kolumna Gemmy w założeniu adresowana była do kobiet, oboje wiedzieli, że czytelnikami są głównie mężczyźni. Bez wątplenia w nadziei, że w pubie będą mogli wyśmiewać się z partnerek. Gemma poważnie zaczynała przypuszczać, że

mężczyźni zasadniczo nienawidzą kobiet. Ponieważ im bardziej pożąдали, pożerali wzrokiem i pragnęli kobiet (w każdej kulturze, od ultraliberalnej do niezwykle surowej), tym bardziej też pogardzali nimi i potępiali je. Zwykle za posiadanie tych samych cech (uroda i inteligencja), które na początku ich pociągały.

- A, pieprzyć to - westchnęła, poprawiając włosy przed lustrem. - Mężczyźni chcą patrzeć na laseczki, spać z laseczkami, a żenią się ze służącymi. Kropka. Jako że nie należę do żadnego z tych rodzajów, mogę podejrzewać, że wypadłam z wyścigu.

Co teraz?

Była zbyt zirytowana, żeby skoncentrować się na prawdziwej pracy, czyli ostatniej powieści. Znowu zadzwoni do córki w Nowym Jorku, tak, to dobry pomysł.

Dwudziestojednoletnia Victoria od kilku dni nie odbierała ani telefonu w domu, ani komórki. Gemma kilkakrotnie w ostatnich dniach dzwoniła do salonu piękności, w którym Victoria pracowała, ale zawsze mówili, że ma wolne. Tylko że w domu jej nie było nawet późnym wieczorem. Gemma bardzo się martwiła. Może Victoria ma nowego chłopaka i spędza u niego czas. Przecież nie pojechałaby na wakacje, nie dając znać matce? A może jednak? Gemma wróciła do kuchni. Do tego czasu to, co zostało z lunchu, wystygło na nieprzyjemnie wyglądającą grudę, którą wyrzuciła do kosza.

Nazajutrz rano, kiedy poszła do kiosku kupić gazetę, Victoria wciąż nie dawała znaku życia. Gemma pośpiesznie przerzucała pachnące farbą strony, aż znalazła swoją kolumnę. Typowe dla Mike'a! Tekst skrócono o połowę, żeby zrobić miejsce dla fotografii nowego bikini. Srebrzysty, połyskliwy materiał (w każdym razie ta odrobina, którą wykorzystano do uszycia kostiumu) naciągnięty do ostateczności na sterzącej miednicy bardzo chudej modelki i niewątpliwych implantach piersi. Podpis chełpliwie głosił, że dziewczyna ma osiemnaście lat i pochodzi z hrabstwa Cork. Osiemnaście lat! (W tym wieku Gemma chodziła do szkoły.) Kostium był tak skąpy, że Gemma praktycznie widziała jajowody modelki. Zaróżowiła się z zawodowego zakłopotania.

Niestety, to nie był koniec jej udręk. Obok widniało zdjęcie, na którym Gemma wyglądała dość ponuro. Nagle pojęła, że poddano je obróbce komputerowej po to, by sprawiała wrażenie bardziej zniechęconej niż na fotografiach zamieszczanych na obwolutach książek. Jakimś cudem jednak miała wydęte wargi. Jej czytelniczki (ta

garstka, która ją czytała) z całą pewnością pomyślała, że Gemma wyrzeka na tyranie branży związanej z urodą, podczas gdy w tajemnicy robi sobie wszelkiego rodzaju operacje plastyczne. Powiesi tego Mike'a, jak następnym razem się z nim spotka, naprawdę go powiesi.

- Ale myśl o pieniądzach - powiedziała sobie ze smutkiem.

To pomogło.

Choć tylko troszeczkę. Żeby poprawić sobie nastrój, zagrabiła swój ogródek utrzymany w stylu zen i poszła na długi spacer po plaży.

Po południu spotkała się z Aurorą i Miriam w Ostatnim Rozdziale na herbacie i ciasteczkach. Aurora niedawno urządziła niewielką kawiarnię w księgarni i pomalowała ją na kojący ciemnozielony kolor (inspirowany kawiarnią we „Frasierze”). Oczywiście obie przyjaciółki w pełni popierały poglądy Gemmy i były oburzone fotografią z wydętymi ustami. A potem wszystkie wybuchnęły śmiechem i żartowały z całej sprawy przez prawie godzinę.

Wracając do domu, Gemma myślała, jakie ma szczęście, że trafiła na takie dobre przyjaciółki. Co by bez nich poczęła?

Po kolacji znowu dwukrotnie zadzwoniła do Victorii. (Zjadła zapiekankę z mikrofalówki, bez smaku i oleistą, ale całkiem znośną po obfitym polaniu gęstym sosem.) Do szaleństwa doprowadzało ją to, że w mieszkaniu Victorii na Manhattanie wciąż nikt nie odbiera, a komórka jest wyłączona. Może ją zgubiła? Gemma zostawiła kolejną wiadomość w salonie piękności i wcześniej się położyła, ale nie mogła zasnąć. Denerwowała się, że nie może dotrzeć do Victorii. Leżała sztywna jak deska w swoim pięknym łóżku w kształcie sań (to była jedyna ekstrawagancka rzecz, jaką kiedykolwiek sobie kupiła - uczciła w ten sposób pierwszą umowę wydawniczą) i wpatrywała się w sufit.

Ciekawe, czy uzależnienia są dziedziczne. Victoria opuściła strasznie dużo dni w pracy. A jako nastolatka za bardzo lubiła alkohol, przypomniała sobie Gemma z bólem serca. Wtedy traktowała córkę dość pobłażliwie i może popełniła błąd, tak przynajmniej wyglądało to z perspektywy. Ale jako samotna matka Gemma i tak dość miała na głowie, nie potrzebowała do kompletu córki, która by jej nienawidziła.

Wychowała Victorię zupełnie sama. Musiała bardzo się starać, by równocześnie być

matką i ojcem, dbać o dom i pracować na utrzymanie. Chodziła na kurs dziennikarstwa, później na egzaminy, kiedy Victoria była malutka. Pisywała artykuły do trzech regionalnych dzienników, pilnowała dzieci innych matek pomiędzy pracami, robiła korekty, wydała sześć powieści. Żadna nie stała się bestsellerem, choć zdobyły dość pochwalnych recenzji, by nazwisko Gemmy stało się znane. A teraz miała tę umiarkowanie zyskowną umowę z ogólnokrajowym czasopismem, nieważne, że to tabloid. Nawet ten mały dom kupiła bez niczyjej pomocy, na szczęście w czasach, zanim ceny poszybowały w górę. Urządzała go powoli, kiedy miała pieniądze. Zawsze jednak potrzeby Victorii stawiała na pierwszym miejscu.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że nie była dobrą matką. Niestety, nikt z wyjątkiem jej własnych rodziców. Przestali się do niej odzywać, kiedy jako osiemnastolatka zaszła w ciążę ze świrem z Dublina. Perkusista o kamiennej twarzy ze zdobywającego wówczas sławę zespołu rockowego - miała na jego punkcie kompletnego bzika. Nigdy nie trafili na listę przebojów, choć do policyjnego aresztu owszem; kilka razy zamykano ich za zakłócanie porządku. Po kilku miesiącach zespół popadł w zapomnienie, członkowie pograżyli się w alkoholu i narkotykach, a ojciec Victorii przestał interesować się córką, zanim jeszcze przyszła na świat. Kiedy Gemma ostatnio o nim słyszała, wyjechał do Londynu. Teraz mógł być gdziekolwiek. Mógł zerwać z nałogiem i cieszyć się szacunkiem otoczenia, mógł dawno temu umrzeć.

Ale Gemma dość szybko otrząsnęła się z tego zauroczenia. Nic tak skutecznie jak ciąża nie pomaga odróżnić mężczyzn od chłopców. Kiedy pojawiły się poranne nudności, wiedziała, że nie chce więcej go widzieć. Gdyby nie babcia, która przyjęła Gemmę do siebie, dzięki czemu mogła jakoś się pozbierać, Bóg tylko wie, gdzie obie z Victorią by wylądowały. Gemma wciąż nie wybaczyła rodzicom histerycznego zachowania. Usiłowała tłumaczyć ich reakcję, wiedziała bowiem, że wychowali się w surowszych czasach, ale naprawdę postąpili jak potwory. Nie mogła uwierzyć, że byli zdolni do tych strasznych obelg, którymi ją obrzucali, nie pojmowała braku uczuć, kiedy Victoria urodziła się zdrowa i piękna. Ojciec Gemmy był teraz chory na serce, mimo to wciąż nie mogła się zmusić, by ich odwiedzić.

Żaden z mężczyzn, których Gemma spotykała, także nie chciał „się angażować”. Ponieważ nie mieli zamiaru „brać sobie na głowę” Victorii, tak mówili. Nie mieli zamiaru łożyć na cudze dziecko. Teraz, kiedy Victoria dorosła i opuściła dom, mężczyźni wciąż nie chcieli angażować się w związek z Gemmą, wszystko przynajmniej na to wskazywało. Skończyła czterdzieści lat i nadal była sama. Najpierw stanowiła zbyt wielki ciężar, źródło społecznie nie akceptowanego zakłopotania. (Była ciężarem dla państwa, jak kiedyś ujął to jej ojciec, chociaż nigdy nie ubiegała się o zasiłki.) Młoda samotna matka bez miłej babci, która zaopiekowałaby się malutką Victorią.

Gemma zdawała sobie sprawę, że teraz, kiedy mogłaby umawiać się z każdym, z kim by chciała, jest za bardzo pewna siebie i za bardzo przyzwyczajona do chodzenia własnymi ścieżkami, żeby godzić się na kompromisy. Właściwie porzuciła już nadzieję na spotkanie miłego, normalnego mężczyzny.

Ha, niech się wszyscy wypchają, pomyślała Gemma.

Cholerni faceci!

A komu oni są potrzebni?

Niechlujne, leniwe, brudne kreatury.

Krzyżyk na drogę, i tak do niczego się nie nadają.

Tak jest! Teraz skupi się na swojej jedynej prawdziwej miłości.

Jutro będzie dzwoniła do Victorii co godzinę. I napisze do niej długi list z ploteczkami i śmiesznymi anegdotami. Odkąd Victoria wyjechała do Stanów, za rzadko się kontaktowały. Gemma postanowiła też, że zażąda rozmowy z kimś z kierownictwa salonu piękności. Oburzające, że nie okazali się bardziej pomocni.

A jeśli przez weekend nie skontaktuje się z córką, nie pozostanie jej nic innego, jak polecieć do Nowego Jorku i na miejscu sprawdzić, co, tam do diabła się dzieje. Dłużej nie znieśie tej niewiedzy. Wszystko będzie lepsze od niemożności dotarcia do Victorii. Wszystko będzie lepsze niż leżenie przez całą noc i wyobrażanie sobie najgorszych scenariuszy. Tak, polecą do Nowego Jorku.

Bez względu na strach przed lataniem.

Rozdział 16

Inna dziewczyna, inna planeta

Mackenzie dopił herbatę, umył kubek i postawił na suszarce. W kuchni panował nieskazitelny porządek i nie chciał, żeby w zlewie zostały brudne naczynia. Matka wyczekiwała dnia, kiedy będzie mogła trochę zwolnić i odpocząć, bo Sara przejmie od niej funkcję pani domu. Co nie znaczy, że zamierzała zmienić się w rozpieszczoną i kapryśną babcie czy coś w tym rodzaju, tego z całą pewnością nie miała w planach. Stracone nadzieje! Byłoby miło, gdyby matka miała w domu towarzystwo drugiej kobiety, pomyślał ze smutkiem. Gdyby mogła z kimś się pośmiać. W Ostowym Puchu bywa bardzo samotnie, kiedy personel firmy kończy pracę, a on z przyjaciółmi idzie do pubu. Starał się nie wychodzić częściej niż raz na dwa tygodnie, ale przecież musiał od czasu do czasu pogadać z ludźmi, w przeciwnym razie całkiem by zdziczał.

Odkąd on i Sara zaczęli tworzyć parę, Millicent miała nadzieję na ślubne dzwony. Dokładała starań, by ciągle nie wypytywać, jak między nimi się układa. Mackenzie wiedział, że matka modliła się, by wreszcie spotkał kobietę, która pomoże mu zapomnieć o Jane. On też przez krótki czas myślał, że Sara będzie jego zbawczynią. Ale potem uciekła w środku nocy, nawet nie przyszła, żeby z nim porozmawiać. Wtedy już wiedział na pewno, że Sara nie jest tą jedyną. Może zawsze o tym wiedział. Może dlatego nie oświadczył się wcześniej.

Zobaczył, że Abigail i matka wracają ze spaceru z psami, pomachał więc do nich przez kuchenne okno. Policzki Abigail były zarumienione od świeżego powietrza i wysiłku - widać było wyraźnie, że nie jest przyzwyczajona do ćwiczeń fizycznych. Psy szalały, zachwycone pojawieniem się nowej towarzyszkii zabaw. Millicent dostrzegła go i z szerokim uśmiechem także pomachała. Kilka minut później we troje siedzieli przy późnym lunchu, złożonym z chleba, sera i domowej szarlotki.

- Wszystko w porządku? - zapytał Mackenzie, podając Abigail kolejną filiżankę herbaty.

- Tak, owcom nic nie jest - odparła jego matka. - Nie widziałam, żeby któraś odniosła obrażenia. A sadzonki świerków też chyba przetrwały nocny sztorm.

(Kilka lat wcześniej założyli plantację choinek bożonarodzeniowych.)

- Och, świetnie, nie muszę tam jechać - pokiwał głową Mackenzie. - Mogę zająć się nowymi zamówieniami. Dzisiaj wysyłamy partię drzew do Kanady.

- Pojedziesz z Abigail do wioski, jeśli znajdziesz czas? Chce zrobić zakupy. A ja miałam zamiar pójść do kościoła i pomodlić się, więc możesz mnie podrzucić.

- Jasne - odparł Mackenzie, wstając od stołu.

- O ile nie sprawi ci to kłopotu - dodała Abigail. - Zabrałam za mało rzeczy. Wiesz, Millicent, kiedy zadzwoniłaś, żeby mnie zaprosić, byłam taka zaskoczona, że zapomniałam spakować więcej skarpetek i swetrów.

- Dla mnie to żaden kłopot, cieszę się, że nas odwiedziłaś - powiedział Mackenzie. - Nie przypuszczałem, że któraś z przyjaciółek Sary jeszcze się do mnie odezwie. Myślałem, że już nigdy żadnej z was nie zobaczę - zakończył ponuro.

Millicent słuchała go ze spokojem, choć Mackenzie wiedział, że matka siedzi jak na szpilkach i zastanawia się, kiedy syn wybuchnie.

- Posłuchaj, Mackenzie, pozwól, że coś wyjaśnię - odezwała się Abigail. - Równie dobrze mogę zrobić to teraz. Fiasko ze ślubem nie jest niczyją winą. Mówiłam w tamten wieczór

Sarze, że nie potrafisz nic poradzić na swoje uczucia do Jane, i nadal tak uważam. Próbowaleś ruszyć z miejsca, ożenić się, ale stwierdziłaś, że zostawienie za sobą tej części przeszłości jest dla ciebie zbyt trudne. Poczucie winy to potężna emocja, Mackenzie. A Sara też nie mogła postąpić inaczej. W gruncie rzeczy nigdy z nikim nie musiała się dzielić. Zawarcie małżeństwa w sytuacji, gdy poznała twoje uczucia, było dla niej zbyt wielkim wyzwaniem. W dodatku orientowała się, że inni też o nich wiedzą. Więc tak, to co się zdarzyło, jest bardzo smutne, wszyscy czekaliśmy na uroczy świąteczny ślub. Ale najważniejsze jest to, jak ty się czujesz? I jak czuje się Sara? Cała reszta da sobie radę, nie muszą zresztą znać wszystkich szczegółów.

- Jestem pewien, że się ich domyślili.

- Może tak, ale nie masz wobec reszty świata obowiązku zawierania małżeństwa jak z bajki. Sara też nie. Nie jesteście parą słabych na umyśle sław, Mackenzie, tylko zwykłymi ludźmi.

- Chyba nie mogę się z tobą nie zgodzić, Abigail. Dziękuję, że ustawiłaś mnie do pionu - powiedział, choć w jego głosie brzmiała nutka irytacji. Jakby kpiała z niego, że robi taki dramat z odwołanego ślubu. Jakby uważała, że wręcz sprawia mu to przyjemność, gdy w rzeczywistości było inaczej.

- Proszę uprzejmie.

Oboje wpatrywali się w siebie ponad stołem; żadne nawet nie mrugało, żadne nie chciało pierwsze ustąpić.

Millicent milczała, choć policzki miała zarumienione.

Czy to możliwe, że Abigail okaże się to właściwą? modliła się w duchu. Czy to możliwe, że Abigail jest tą kobietą, która potrafi zapanować nad jej synem? Millicent wstrzymała oddech. Wszystko zależy od tego, co wydarzy się w ciągu kilku następnych godzin. Oczywiście niewykluczone, że nic się nie wydarzy. Abigail wróci do Londynu i zostawi ich oboje ze złamanymi sercami w wielkim pustym domu. Mimo to Millicent wyczuwała, że coś się święci. Po prostu to czuła!

Abigail przerwała tę pełną napięcia chwilę, nalewając sobie herbaty. Poklepała Mackenziego po dłoni i uśmiechnęła się do niego z uczuciem.

- To bez znaczenia, co inni mówią lub myślą o odwołanym ślubie. Liczycie się tylko wy dwoje, to, czy potraficie sobie z tym poradzić. Chociaż moim skromnym zdaniem oboje jesteście kompletnymi świrami.

- Dziękuję - powiedział Mackenzie, gwałtownie wstając od stołu i ruszając w kierunku pomieszczeń firmy.

- Och, Abigail, jesteś cudowna - westchnęła Millicent, kiedy syn znalazł się poza zasięgiem jej głosu.

- Tak?

- Oczywiście! Odkąd to się stało, próbowałam do niego dotrzeć, poprawić mu samopoczucie. A teraz ty powiedziałaś wszystko bez ogródek, ujęłaś w odpowiednie słowa. Zawsze mówisz, co myślisz?

- Za to mi płacą! Po prawdzie, jestem zdumiona, że jeszcze się nie pogodzili. Oni chyba faktycznie są największymi uparciuchami, jacy chodzili po tym świecie.

Millicent potaknęła i na tym rozmowa się skończyła.

Abigail poszła się odświeżyć, a Millicent sprzątnęła naczynia. Odkładając na miejsce szarlotkę, uśmiechała się do siebie.

Tak, istotnie słyszała, jak Sara tamtej nocy wychodziła z domu. Millicent miała lekki sen i już dawno nauczyła się budzić przy najlżejszym szmerze. Wielki historyczny dwór jak ten zawsze był celem złodziei. Więc tak, słyszała, jak Sara cicho otwiera i zamyka drzwi. W świetle księżyca widziała, jak biegnie podjazdem z walizkami obijającymi się jej o nogi. Nie podniosła jednak alarmu, nie obudziła Mackenziego ani pozostałych. Ponieważ Millicent nie wierzyła, że można walczyć z przeznaczeniem. Naturalnie później zadzwoniła do Sary i błagała ją, by dała Mackenziemu drugą szansę. A Sara odmówiła, odmówiła stanowczo, więc Millicent w tej sprawie miała czyste sumienie.

Czy jednak zaprosiła Abigail, ponieważ na dnie serca sądziła, że to lepsza partnerka dla jej syna? Millicent przyznawała teraz przed sobą, że od chwili gdy Abigail wyraziła zachwyt dla Ostowego Puchu, jej przebiegły umysł pracował ponad miarę.

No! Może zaprosiła Abigail celowo, może nie, ale Sara z całą pewnością nie wróci, a jej syn nie jest szczęśliwy sam. I popatrzcie, całkiem dobrze między nimi się układa. Mackenziemu nastrój się poprawił, troszeczkę, ale zawsze. Inni nawet by tego nie zauważyli, za to Millicent ta odrobina wystarczyła, by znowu obudzić w sobie nadzieję.

Kiedy jednak dżipem jechali do wioski, wysadziwszy Millicent przy kościele, Mackenzie był przygnębiony. Niewiele mówił, a jeśli już się odzywał, to po to, by jednym słowem odpowiedzieć na pytania gościa.

Abigail ze smutkiem pomyślała, że Wielka Millie miała rację. Mackenzie zamykał się w sobie tak samo jak po śmierci Jane.

- Może powinieneś udać się na terapię? - zasugerowała ostrożnie. - Myślę, że dobrze by ci to zrobiło. Poszukaj terapeuty zajmującego się żałobą. Nie potrafisz

wydobyć się z jednej złej chwili w twoim życiu, prawda? Pamiętasz, co mówiłam wcześniej, że życie połowiczne jest lepsze od żadnego?

- Och, błagam, nie zaczynaj od nowa - westchnął Mackenzie. - Skoro terapia to taka świetna rzecz, dlaczego połowa kraju łyka tabletki szczęśliwości, nie potrafi sobie ułożyć życia prywatnego i co wieczór się upija? Wyraźnie z tego wynika, że cała ta analiza i samoświadomość nie działają korzystnie.

- To dlatego, że życie jest bardziej skomplikowane niż kiedykolwiek wcześniej, a ludzie żyją dłużej, niż Matka Natura założyła. W dawnych czasach wojny i choroby zabijały większość osób, zanim w ogóle się zorientowały, że mają depresję. A ci, co przeżyli, zbyt byli zajęci szukaniem jedzenia.

- Nieważne.

Abigail patrzyła w okno, zdecydowana nie wybuchnąć. Nagle postanowiła, że nie wróci do Ostowego Puchu, nigdy więcej tu nie przyjedzie. Nawet obecna wizyta była pomyłką. Bardzo polubiła Wielką Millie i martwiła się, jak ta biedna kobieta poradzi sobie z pogrążonym w depresji synem. Ale Mackenzie był jak czarna dziura, która wszystkich dokoła wciąga w swoje nieszczęście. Abigail bez tego miała dość zmartwień, praca wyczerpywała ją psychicznie i fizycznie.

Cisza w dziupie stawała się niezręczna.

- Mówię tylko, że rozmowa z kimś może pomóc - mruknęła i zaraz tego pożałowała. Wydało jej się, że Mackenzie prychnął pogardliwie.

- Myślisz, że znasz odpowiedź na wszystko - powiedział cicho.

- Wcale nie! - prawie krzyknęła Abigail. Mackenzie aż podskoczył. - Ale muszę próbować. Ktoś musi. Skoro chcesz wiedzieć, w tygodniu świątecznym miałam cztery przypadki samobójcze. Cztery pogrzeby, na które trzeba było pójść! Dlatego wzięłam sobie wolne, Mackenzie! Może straciłeś dziewczynę, ale my musieliśmy pochować czworo pacjentów! Moja praca jest cholernie trudna i nikt jej nie docenia. W tej czwórce było troje moich pacjentów. Dwoje z nich chodziło na terapię długo, przez wiele miesięcy. A kiedy coś takiego się dzieje, ludzie mówią, że nic nie robiliśmy, że przegapiliśmy sygnały ostrzegawcze. Haruję jak wół w tej klinice, codziennie dokładam wszelkich starań. I wiesz co, szanowny panie? Czasami to po prostu nie wystarczy. Co według ciebie mam zrobić? Zrezygnować i dąsać się do końca życia?

Tak jak ty? Nie mogę w pojedynkę zmienić świata, ale przynajmniej staram się coś robić.

- Jezu, przepraszam, że się odezwałem. Kobiety!

- Kobiety? A to co miało znaczyć? Dobra, wystarczy. Zatrzymaj tego głupiego dżipa, to jest nie do wytrzymania. Wrócę do domu, zabiorę bagaże i nigdy więcej nie będziesz musiał wysłuchiwać moich wykładów o psychologii popularnej. Wyjadę wieczorem, nie musisz się martwić.

Teraz Mackenzie szczerze się zaniepokoił.

- Proszę, Abigail, nie wyjeżdżaj. Mama bardzo się zdenerwuje, jeśli wcześniej wyjedziesz. Będzie na mnie zła. Nagada mi do słuchu, że cię zirytowałem.

- Chryste, czemu zamiast się dąsać, nie poprosisz Sary, żeby wróciła do Ostowego Puchu? Mówię szczerze, jeśli chodzi o was, poddaję się. Tak jest, oficjalnie przyznaję, że poniosłam klęskę. Gdyby taki głupek jak ty kochał się we mnie i snuł smutny po ogromnym szkockim zamku przez cały dzień, pomaszerowałabym do ołtarza tak szybko, że nie dotykałabym stopami ziemi.

Gdybyś był moim narzeczonym, nie pozwoliłabym ci się tak zachowywać. Ty beznadziejny idioto! Natychmiast zatrzymaj ten pieprzony gruchot albo otworzę drzwi i wyskoczę, nie żartuję!

Mackenzie nacisnął na hamulec, zatrzymał dżipa pod rzędem świerków, po czym szorstkim gestem wziął Abigail w ramiona. Przez jedną okropną chwilę myślała, że zaraz ją uderzy albo wypchnie na drogę. Potem jednak zobaczyła, jak jego wzrok zsuwa się na jej drżące usta, i pojęła, że chce ją pocałować. Odrętwiała przygnębieniem z powodu czterech pogrzebów w tygodniu świątecznym, pozwoliła mu namiętnie się całować. A potem zaczęła płakać z emocji i odwzajemniać pocałunki z jeszcze większą niż on namiętnością. Zanim się zorientowali, wytoczyli się z dżipa w ciemność rosnących gęsto świerków i całowali się gorączkowo na zimowej kurtce Mackenziego. Jego zaskakująco ciepłe dłonie wsuwały się pod jej ubranie, pieściły piersi, obejmowały talię.

Abigail usiłowała zebrać siły i powiedzieć mu, żeby przestał; ale nie była w stanie. Bardzo go pragnęła. Wiedziała, że postępuje źle, bardzo źle, choć nagle zupełnie jej to nie obchodziło. Była taka samotna, nieszczęśliwa i znużona. Miała dość

pogrzebów, wezwań na nagłe spotkania, czekania, aż administracja szpitala znajdzie wolne łóżko, ciągłego braku czasu dla siebie. Miała powyżej uszu tego, że wszyscy przyjaciele wykorzystywali ją w charakterze uczuciowego kosza na śmieci. Była zmęczona tęsknotą za Donalem i tym, że codziennie sama kładzie się spać i sama wstaje. Świat był okropny, a ona nikogo nie miała. Mackenzie także nikogo nie miał. Jego cudowne gładkie dłonie zaczęły rozpinąć jej dżinsy, a ona go nie powstrzymała. Położył się na niej i było za późno, żeby go powstrzymać. Uznała, że na chwilę przestanie się przejmować i będzie czerpać rozkosz z jego silnego muskularnego ciała.

Przez pięć minut wokół nich panowała cisza, przerywana wyłącznie ich przyśpieszonymi oddechami, a od czasu do czasu szelestem gałązek, na których przysiadają ptaki. Instynktownie zmienili pozycję, bo Mackenzie był o wiele silniejszy i potężniejszy od Abigail, która teraz objęła udami jego twarde jak z żelaza nogi. Połączyli się, trzymając się za ręce, z otwartymi oczami i twarzami napiętymi z pragnienia.

Kiedy skończyli, Mackenzie mocno do niej przywarł i nie chciał jej puścić.

- Tak mi przykro - powiedział, całując ją po twarzy. - Przepraszam.

- Niepotrzebnie - odparła uspokajająco, prostując plecy. Pomogła mu usiąść, po czym zaczęła gładzić go po ramionach, całować w czoło. - Ja tego chciałam.

- Naprawdę? - zapytał zdumiony.

- Tak. Zawsze cię lubiłam. Przecież o tym wiesz? Jesteś atrakcyjnym mężczyzną. Zawsze kiedy spotykaliśmy się w Londynie, myślałam, że jesteś bardzo miły.

- Podobałem ci się - powiedział cicho.

- No tak, podobałeś mi się. Z daleka. Choć oczywiście nie mówiłam ci o tym. Sarze też nie. Wiesz, są sytuacje, w których rezygnuję ze szczerości. Pewne uczucia należy zachować tylko dla siebie.

- Abigail, co teraz będzie? - zapytał Mackenzie, przyglądając się jej uważnie. Wodził wzrokiem po zmierzwionych blond włosach, figurze jak klepsydra, ubraniu w nieładzie. Wyjął liść spomiędzy jej oszalałymi, sprzeciwiającymi się prawu ciężkości piersi, po czym mocno ją do siebie przytulił.

- Co teraz będzie? - powtórzyła Abigail, łagodnie wyswobadzając się z uścisku i zapinając koszulę. - Nic nie będzie. Nie jestem jakąś bogobojną, wiktoriańską pomywaczką. Potrafię o siebie zadbać. Mam trzydzieści lat. - Wyprostowała się i poprawiła ubranie, wzdychając ze znużeniem. - Zapomnijmy o tym. Chociaż muszę powiedzieć, że o wiele lepiej się czuję, a ty? Nasze zbliżenie miało bardzo terapeutyczne działanie.

- Zapomnieć? Ale jeśli... jeśli ty... Bierzesz tabletkę, Abigail?

- O mój Boże, wy, mężczyźni, naprawdę jesteście beznadziejni. Powinieneś był mnie o to zapytać przed seksem, ty głuptasie.

- Wciąż mi tylko wymyślasz...

- Nie przejmuj się, Mackenzie, nie zajdę w ciążę, to nie są moje płodne dni. Jesteś bezpieczny, nikomu o niczym nie powiem. To po prostu się stało, było uroczo i sprawiło mi wielką przyjemność. Ale przysięgam, Sara nigdy się nie dowie. - Abigail wróciła do dżipa.

Mackenzie zerwał się na nogi. Pozbierał ubranie i poszedł za nią. Znowu ją objął i pocałował. Wolno, z czułością.

- Jesteś śliczna - powiedział schrypniętym głosem.

- Wiem - odparła żartobliwie. - Jestem olśniewająca. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie ma mnie na okładkach czasopism. Wszystkie kontrakty musiały zagać gdzieś na poczcie.

- Nie jedź jutro do domu - szepnął Mackenzie. - Zostań ze mną przez kilka dni. Proszę. Potrzebuję cię. Chcę, żebyś została. Żebyś została w moim łóżku.

- O tak, może przeciągniemy to do tygodnia! Dobrze? Jestem przekonana, że Millicent będzie zachwycona. - Abigail westchnęła. - Kiedy zobaczy nas szalejących po domu w piżamach, zacznie skakać z radości. Poza tym mogę się zakochać w tobie, a ty we mnie. I co wtedy zrobimy? Nawiasem mówiąc, żartuję. W ten sposób chcę ci powiedzieć, że nie jestem dziwką. Nie, naprawdę, dzisiaj wieczorem wracam do domu.

- Zostań. Mama może na kilka dni pojechać do krewnych. Wybierała się do nich, ale potem zmieniła zdanie, powiedziała, że dotrzyma mi towarzystwa.

Zaproponuję jej to dzisiaj przy kolacji. Ty natomiast będziesz mogła zdecydować, czy dasz mi szansę, żebym mógł się z tobą kochać tak jak trzeba.

- Oszalałeś?

- Tak. Trochę. Szaleństwo pomaga, kiedy mieszkasz w starym domu z gargulcami, a kobiety od ciebie odchodzą.

- Ale dlaczego, Mackenzie? Już ci powiedziałam, ten jeden raz nic nie znaczy, a luźne romanse mi nie odpowiadają. Nie zrobiłabym tego sobie, tobie ani Sarze. Nie bardzo rozumiem, co przed chwilą się stało, ale chcę, żebyś wiedział, że nie wejdzie mi w nawyk.

- Abigail, bardzo proszę, zostań.

- A jeśli ja naprawdę cię lubię? Z wzajemnością? Załóżmy taką sytuację, że zaczniemy coś do siebie czuć. Gdzie się wtedy znajdziemy? Z deszczu wpadniemy pod rynnę.

- Niekoniecznie. Tak jak ja to widzę, nie mamy nic do stracenia. I zanim ci to przyjdzie do głowy, od razu powiem, że nie robię tego, żeby wzbudzić zazdrość Sary. Jestem bardzo samotny, czasami wydaje mi się, że tracę rozum. Z tobą mogę rozmawiać, Abigail. Potrzebuję kogoś, z kim naprawdę mogę porozmawiać.

- Wiem, co czujesz - powiedziała cicho. - Obejmij mnie.

Stali w mroku przez długą chwilę, tuląc się do siebie, wdychając nawzajem zapach swoich ciał, słuchając wiatru szumiącego w koronach drzew, ciesząc się bezpieczeństwem bycia razem. Znowu się pocałowali, czule, głęboko. Bo choć nie byli w sobie zakochani, wiedzieli, że są do siebie podobni. W tej samej chwili pojęli, że zrozumienie jest ważniejsze od chemii. Pomiedzy nimi zadzierzgnęła się więź. Byli bratnimi duszami, chociaż rodzaj nastoletniego zażenowania nie pozwolił im powiedzieć tego na głos.

W końcu serce Abigail zwolniło, za to zęby zaczęły niepokojąco dzwonić. Na ziemi wciąż leżały łachy śniegu.

- Założę się, że się przeziębiliśmy - powiedziała.

- Chodźmy - uśmiechnął się Mackenzie. - Lepiej wracajmy do domu. Weźmiesz gorącą kąpiel; widzę, że podrapałaś sobie szyję na gałązkach. Odwiozę mamę do kuzynki, jeśli będzie chciała, potem zrobię kolację z tego, co mam w lodówce, i

zobaczymy, co dalej. Nie musisz spać dzisiaj ze mną, choć ja bardzo tego chcę, bardziej, niż sobie wyobrażasz. Przy tobie czuję spokój.

- Dobrze. Podoba mi się pomysł kolacji, bo umieram z głodu - odparła Abigail.

Nie zapytała, co powiedzą Millicent, kiedy wrócą do Ostowego Puchu bez zakupów. Nie zapytała też, jak wyjaśnią całą sprawę Sarze.

Kiedy wieczorem w pięknym łóżku z baldachimem Abigail popijała gorącą, odświeżającą herbatę i czekała, aż Mackenzie wyjdzie z łazienki, miała wrażenie, że nigdy w innym miejscu nie spędzała nocy.

Rozdział 17

Czy to miłość?

Abigail i Mackenzie spędzili dzień, spacerując po posiadłości; przyjemność sprawiało im świeże (acz wciąż lodowate) powietrze, a także przebywanie ze sobą. Usiedli na skalistym wzniesieniu koło domu, spoglądając na morze. Oboje ubrani byli w najcieplejsze zimowe kurtki, szale i rękawiczki. Abigail policzki miała czerwone od porywistych powiewów wiatru i obawiała się, że wygląda jak pomidor w blond peruce. Mackenzie przezornie wziął termos z gorącym bulionem z kurczaka i teraz nalewał go do zakrętki, odwróciwszy się plecami do wiatru. Abigail dostrzegając skupienie malujące się na jego twarzy, poczuła, jak serce zaczyna szybciej jej bić. Uświadomiła sobie nagle, że kocha Mackenziego odrobinę... bardziej niż odrobinę. Uwielbiała z nim być, rozmawiać z nim. Kochała jego siłę i determinację, sposób, w jaki się nią opiekował. A przede wszystkim kochała jego wrażliwość. Nie należał do mężczyzn skaczących z kwiatka na kwiatek czy wykorzystujących okazje. Może jednak pragnęła domowych rozkoszy?

- Dzięki - powiedziała, obejmując oburącz kubek z gorącą zupą. - Smakowicie pachnie.

Mackenzie uśmiechnął się do niej i oboje znowu zwrócili wzrok na morze.

Kochali się kilka razy od tamtego zdumiewającego doświadczenia pod drzewami, a każdy następny był równie cudowny jak poprzedni. Abigail czuła, że

coraz bardziej się do siebie zbliżają; wiedzieli, kiedy przyśpieszyć lub zwolnić, przewidując rozkosz partnera. Nocami zasypiali przytuleni do siebie. Abigail myślała tęsknie, że mogłaby się do tego przyzwyczać. Ze wszystkich sił odpędzała od siebie obraz kliniki i nawału pracy, który czekał na nią w Londynie, kiedy to magiczne interludium dobiegnie końca. Próbowwała także nie rozmyślać o skutkach tego, co zdarzyło się między nią a Mackenzie.

- Kiedy wracasz do Londynu? - zapytał nagle, jakby czytając jej w myślach. - To znaczy, kiedy zamierzałaś wyjechać?

- Dzisiaj wieczorem przyjeżdża Millicent, tak? Chyba lepiej, żeby mnie wtedy tu nie było. Od razu się zorientuje, że coś między nami jest. Nie brak jej przenikliwości, sam wiesz. A ja nie chciałabym jej okłamywać. Przecież mówiliśmy jej, że dzisiaj wracam do domu, ponieważ jestem potrzebna w pracy?

- Nie rozmawiałem o tym z mamą przez telefon, a ona nie pytała. Gdybym lepiej jej nie znał, pomyślałbym, że coś knuje. Zwykle zasypuje mnie pytaniami o farmę i tak dalej, za to dzisiaj skończyła rozmowę w pięć minut.

- Mądra z niej kobieta. - Tylko tyle Abigail zdołała wykrztusić. Chyba Millicent nie domyśliła się wszystkiego?

- Będę za tobą tęsknił - powiedział Mackenzie i przytulił ją.

- Posłuchaj, Mackenzie, nie zrozum mnie źle. Nie chcę opuszczać ciebie ani Ostowego Puchu. Tyle tu przestrzeni po moim małym mieszkaniu i ulicach Londynu. Te ostatnie cztery dni z tobą były cudowne. Cudowne i nieoczekiwane. Ale musimy stawić czoło faktom jak dorośli ludzie.

- No i proszę. Myślałem, że nie będziesz prawić mi wykładów?

- To prawda. Chyba jednak powinniśmy przyjrzeć się możliwościom?

Niewykluczone, że czułeś do mnie pociąg... pozwól mi skończyć, bardzo proszę!... ponieważ bałeś się samotności. A ja, zwłaszcza gdy przytłacza mnie praca, niczego nie pragnę bardziej, niż mieszkać w takim cudownym miejscu jak Ostowy Puch. To jakby stało się na krawędzi świata, tak tu pięknie i spokojnie. Ale to nie wyleczy nas z żaloby. Bardzo cię cenię, Mackenzie, ale musimy podjąć nasze obowiązki i żyć dalej. To, co nas połączyło, nie jest rzeczywiste.

Ogarnięta smutkiem i wyrzutami sumienia nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Wiedziałem, że tak powiesz, i mam na to odpowiedź: możemy sprawić, by stało się rzeczywistością.

- Co?

- Nasz związek. Oboje jesteśmy inteligentni, jeśli na czymś nam zależy, możemy to urzeczywistnić. O ile wystarczy nam odwagi.

- O czym ty mówisz?

- Zastanów się nad tym, dobrze? Większość ludzi wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia, prawda?

- Chyba tak.

- Ta chwila, gdy patrzy się w oczy wyjątkowej osobie, i po prostu wie, czuje to. Miłość! Dlaczego tak jest, Abigail? Przypuszczalnie przez jakiś dramat historyczny w telewizji! Romantyczny pogląd, zaszczepiony w naszej narodowej świadomości przez Jane Austen albo inną powieściopisarkę, która nigdy nie miała własnego życia, tylko siedziała zamknięta w domu ojca i spędzała młodość na snuciu marzeń.

- Do czego zmierzasz, Mackenzie?

- Chodzi mi o to, że w dzisiejszych czasach nie musi tak być. Jesteśmy wolni, mamy prawo popełniać własne błędy i wyciągać z nich wnioski. Mamy prawo zacząć wszystko od nowa.

- Mackenzie, nie mów tego, co chcesz powiedzieć, bardzo proszę.

- Dlaczego nie? Chcę, żebyśmy dali sobie szansę - powiedział, odwracając się ku niej. Poglądził ją po twarzy, ujął obie jej dłonie. Uniosła ku niemu wzrok (nawet na siedząco był od niej sporo wyższy) i poczuła, jak za gardło ścisną ją strach.

- Och, Mackenzie, co ja zrobiłam? Przeze mnie wszystko stuło się dziesięć razy trudniejsze, prawda? Powiedziałeś, że będziesz kochał Jane do końca życia. Nie oczekuję, że z dnia na dzień zrezygnujesz ze wspomnień o niej. A jeśli chodzi o mnie, to szczerze mówiąc, sama nie wiem, co robię. Teraz jeszcze w dodatku podeptaliśmy marzenia Sary.

- Cieszę się, że do tego nie doszło, Abigail, to znaczy do ślubu. Mówię absolutnie szczerze. Gdybyśmy go nie odwołali, Sara żyłaby w ogromnym napięciu. Wiem, że zawsze miałaby do mnie żal o to, co powiedziałem tamtego wieczoru. Kochałem ją, Abigail, ale nie tworzyliśmy naprawdę dobranej pary. Czuję to od

samego początku. Ona była dla mnie zbyt idealistyczna, zbyt kreatywna, zbyt wrażliwa. Zawsze się pilnowałem, zważałem na to, co mówię. Przy tobie tak się nie czuję, Abigail. Ty jesteś inna. Stąpasz twardo po ziemi, jesteś serdeczna i potrzebuję cię.

- Och, Mackenzie, nie potrafię zebrać myśli! W takim stanie bardzo się przydam moim pacjentom, no nie? Do diabła, sama nie wiem, co robię, nie potrafię odróżnić rzeczy słusznych od złych.

- Wysłuchaj mnie. Powiedziałaś, że nigdy nie spotkasz człowieka, przy którym czułabyś się tak wyjątkowa jak przy Donalu. A ja nie potrafię zapomnieć o Jane. Tak? Czy to nie znaczy, że bardzo wiele nas łączy? Oboje wiemy, czym jest utrata osoby, która była dla nas całym światem. Oboje chyba nie możemy w tej chwili powiedzieć, że się kochamy, ale miłość może poczekać. W swoim czasie sama nadejdzie. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Bardzo dobrymi przyjaciółmi? Usechłbym i umarł bez ciebie, odkąd Sara odeszła, choć robiłem dobrą minę do złej gry. W pewnym momencie zastanawiałem się nawet, czy nie tracę zdrowych zmysłów. Uratowałaś mnie, Abigail.

- To bardzo miło, że tak mówisz, Mackenzie, ale wciąż nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Błagam cię, Abigail, weź dłuższy urlop i zamieszkaż u mnie na miesiąc czy dwa. Myślę, że między nami zaczyna się coś poważnego. Czy to nam może zaszkodzić? Zależy mi na tobie.

- Nie będę zaprzeczać, mnie też na tobie zależy, Mackenzie. Ale oboje jesteśmy wyczerpani. Mamy za sobą pracowite Boże Narodzenie. Może więc nowy związek okaże się czymś zbyt trudnym? Oboje będziemy za bardzo się starać, żeby wzajemnie się uratować? Czy nie byłoby to jak rozpoczynanie związku w szalupie ratunkowej? Myślisz, że w takiej sytuacji można mówić o miłości? Czy raczej o dzieleniu się kamizelką ratunkową?

- W żadnym razie nie, przecież nie chodzi o to, że czujemy się bezradni czy zrozpaczeni. Razem jest nam cudownie, prawda? Ostatnie cztery dni minęły błyskawicznie, zgodzisz się chyba? Mówiłaś, że przyjemność sprawiają ci wspólne noce, że lubisz ze mną rozmawiać.

- Tak, lubię z tobą być.

- Sama widzisz - powiedział, wzrokiem błagając, by z niego nie rezygnowała. - Bardzo cię lubię, Abigail, ponieważ jesteś silna, praktyczna, bezpośrednia i nie oczekujesz ode mnie, że przez cały czas będę uprzedzał twoje myśli. A ja akceptuję to, że nigdy nie będę Donalem, nigdy nie będę takim mężczyzną, jakim on wobec ciebie był. Możemy się rozluźnić, skoro wiemy, na czym stoimy. Nie sądzisz, że to o wiele mocniejsza pozycja wyjściowa dla związku niż miłość od pierwszego wejrzenia, po której tylko będziemy czekać, aż wszystko pójdzie nie tak? Pasujemy do siebie, Abigail, Razem tworzymy idealną parę.

- Chyba tak. Ale żadne z nas nie ma zbyt wiele czasu. Bo ty przecież chcesz mieć wielką rodzinę, prawda? Nie powinieneś raczej szukać matki dla twoich dzieci, żeby dynastia Campbellów nie zniknęła? Wiesz, chodzi mi o to, że ludzie powinni się kochać, jeśli chcą sprowadzić dzieci na ten świat. Niezależnie od tego, co w tym momencie sobie mówimy, związek w końcu musi do tego prowadzić. W przeciwnym razie będziemy tylko współlokatorami korzystającymi z dodatkowych premii.

- Abigail Halloran, proszę, żebyś za mnie wyszła. Myślałem, że to rozumiesz?

- Ojej, to się robi strasznie pokręcone.

Zastanawiała się, czy Mackenzie nie oszalał z żalu, i bała się, że popchnęła go za daleko, że to ostatnie szaleństwo było wyłącznie jej winą, bo pozwoliła na ten romans.

- A co w tym pokręconego? Powiedziałaś, że jestem atrakcyjnym mężczyzną, a ja uważam cię za olśniewającą. Wiesz, że utrata Jane złamała mi serce, a ja wiem, że ty nigdy nie zapomnisz o Donalu. W łóżku jest nam rewelacyjnie. Znużyło cię prowadzenie terapii dla tych nieszczęsnych dusz, nie zaprzeczaj. A ja mam dość samotności w domu z dziesięcioma sypialniami.

- A co z Sarą?

- Kiedy byłem z Sarą, nigdy nie mogłem się odprężyć. Ona w końcu i tak by mnie rozgryzła. Żyłem w strachu, że przypadkiem nazwę ją Jane. Zapytaj Dougala, on to potwierdzi. Ostrzegał mnie kilka razy.

- Och, Mackenzie, nie możemy rozsądkiem zmusić miłości, żeby zaistniała.

- Możemy. Uważam, że powinniśmy pobrać się tak szybko, jak to możliwe... oczywiście o ile się zgodzisz. Złapać szansę na szczęście. Przecież mówiłaś, że od nas

zależy, czy wybierzemy szczęście. Że można samemu zdecydować, czy być szczęśliwym czy smutnym. Że nie wolno pozwalać, żeby rządziły emocje.

- Więc się pobierzemy. Tak po prostu?

- Tak.

- Czy to nie byłoby kłopotliwe? W obecności wszystkich twoich przyjaciół i krewnych? Wielebnego? Powiedzieliby, że wykorzystałam okazję, bo Sara cię nie chciała. Twoja matka mnie powiesi.

- Na pewno nie. Ona cię lubi. Nie musimy urządzać wielkiego ślubu ze wszystkimi bajerami. Zresztą sama mówiłaś, że to straszna przesada. Sara powtórzyła mi twoje słowa: że raczej byś umarła, niż zgodziła się na sześć drухen, wystawne przyjęcie i sentymentalne mowy.

- No tak, faktycznie tak mówiłam. Ale tylko dlatego, że nie mam urody ani pewności siebie, żeby sobie z tym poradzić - odparła Abigail cicho.

- Jesteś piękna.

- Nieprawda - pokręciła głową.

- Jesteś piękna.

Nie była. Nie tak jak Sara, pomyślała z poczuciem winy.

Sara wyglądała olśniewająco w sukni ślubnej; nagle Abigail przypomniała sobie, że suknia wciąż wisi w jej londyńskim mieszkaniu.

- Dla mnie jesteś. I nigdy nie chciałem wystawnego wesela - powiedział Mackenzie. - Wiesz, jestem nieśmiały. Wolę stare dzinsy, wytartą kurtkę i buty do kostek.

- A co z dziećmi? Myślałaś, żeby mieć dzieci?

- Tak, według mnie to cudowny pomysł. Uważam, że bylibyśmy najbardziej wyrozumiałymi rodzicami na całym świecie. Nasze dzieci byłyby dziećmi chcianymi. A przecież większość z nas jest skutkiem nadmiaru alkoholu i łzawych piosenek, nie sądzisz? - powiedział wesoło, usiłując ją rozśmieszyć.

- Mackenzie, jak możesz!

- To prawda.

- Wiesz co? Każde twoje słowo ma sens. Tak, z radością wyszłabym za ciebie, zrezygnowała z pracy i zamieszkała w tym cudownym domu. Oczywiście, że tak. Jest tylko jeden szkopał.

- Sara?

- Trafiłeś w sedno. Ukradłam jej marzenie, Mackenzie.

- Wcale nie. Przysłała mi list. Napisała, że nie ma dla nas nadziei. Dla mnie i Sary jest już za późno. Abigail, błagam! Przynajmniej się nad tym zastanów. Proszę cię tylko o jedno: nigdy mnie nie opuszczaj bez uprzedzenia. Utraciłem dwie kobiety. Jedna zginęła w niepotrzebnym wypadku, druga zniknęła w środku nocy. Gdyby stało się to po raz trzeci, nie poradziłbym sobie. Więc jeśli się pobierzemy i miałyby się to powtórzyć, nie uciekaj bez słowa, tylko przyjdź porozmawiać. Wiem, że nie możesz mi przyrzec, że będziesz mnie zawsze kochała i tak dalej. Ale proszę, obiecaj, że zawsze będziemy mogli porozmawiać, dobrze?

- Dobrze. Przyrzekam, że zawsze będę wobec ciebie szczerą, Mackenzie.

- A ja zawsze będę dla ciebie dobry, Abigail. Przysięgam na Boga. Nigdy, przenigdy w żaden sposób cię nie zranię. Spędzę resztę życia na próbach sprawienia, żebyś nie przestała mnie kochać, i sam będę cię kochał ze wszystkich sił. Przysięgam.

- Okay, wierzę ci. Wierzę, że mówisz poważnie. Ale nie chcę zapisać się w historii jako zła wróżka. Więc najpierw muszę coś zrobić. W porządku?

- Jasne. O co chodzi?

Na dnie serca wiedział jednak, co Abigail zamierza powiedzieć. Była tylko jedna osoba, na której jej zależało, której nie chciałaby zranić czy obrazić. (Abigail guzik obchodziło, co powiedzą inni.)

- O Sarę. Zamierzam wybrać odpowiedni moment i powiedzieć jej o nas. Poproszę Sarę, żeby pobłogosławiła nasze małżeństwo.

Rozdział 18

Ciekawy lek

Aurora i Gemma siedziały przy stoliku w Ostatnim Rozdziale, piły kawę i gawędziły. Pomiedzy nimi w wysokim wazonie pysznił się wielki bukiet czerwonych róż, ozdobiony szeleszczącym celofanem i wstążeczkami, który poprzedniego dnia dostarczono do księgarni. Na dołączonej karteczce widniał napis: „Z wyrazami miłości od innego mola książkowego”.

- Więc wcześniej należałaś już do klubu książki? - zapytała Gemma ostrożnie. - Nigdy wcześniej o tym nie wspominałaś.

Tego poranka w księgarni panował spokój, książki przeglądało tylko paru klientów.

- Nigdy bym tego nie zrobiła, gdyby ten kompletny świr, David Cropper, zechciał zostawić mnie w spokoju - syknęła Aurora. - Podstępny gad, przysłała potężny bukiet do sklepu. Nie wiem, co począć. To erotoman. Jeśli mam być szczerą, uważam, że cierpi na jakieś zaburzenia osobowości.

- Muszę przyznać, że zastanawialiśmy się, kto przysłała ci czerwone róże. Miriam uważała, że twój były mąż próbuje cię odzyskać. - Gemma umierała z ciekawości, co wydarzyło się w Belfaście, ale niestety Aurora nie należała do kobiet, które chętnie się zwierniają. Dopiero teraz, po tak długim czasie powiedziała, że była wcześniej zamężna. A potem miała romans z obleśnym producentem z BBC.

- Nie, mój były mąż nie marnowałby pieniędzy na kwiaty z cieplarni, Gemmo. W każdym razie nie dla mnie. Bo wiesz, jakiś czas temu ponownie się ożenił z uroczą dziewczyną. Dziwnym zbiegiem okoliczności jego nowa żona ma na imię Rose. Nie zdziwiłabym się, gdyby David celowo przysłał właśnie róże, żeby w ten sposób mi o niej przypomnieć. Posypać ranę solą. Choć może aż taki sprytny nie jest. Tak czy owak David znowu coś knuje. Myśli, że zdoła mnie odzyskać tuzinem przepłaconych kwiatów i kawałkiem błyszczącego celofanu. Czy to nie dowód, że jest beznadziejnie opóźniony? Naprawdę, wcale mu na mnie nie zależy, on tylko uwielbia dreszcz podniecenia towarzyszący zdobywaniu.

- Ha, nie prosz mnie, zebym ci tłumaczyła dzialanie męskiego umysłu. Nie mam o tym zielonego pojęcia. Za to ty jesteś prawdziwą tajemnicą, Auroro. Ty, twoje róże i obsesyjny adorator! Czego jeszcze nam nie powiedziałaś? No dalej, opowiadaj o tym klubie książki. Umrę z ciekawości, jeśli mi nie powiesz.

- Więc musisz więcej usłyszeć - roześmiała się Aurora, kręcąc głową. - Nazywano nas Paczką Bronte. Uważasz, że trzymałam sprawę w tajemnicy? Nic dziwnego. To był chyba najbardziej dziwaczny okres w moim życiu. Niech się zastanowię, o której z najgorszych rzeczy mogę ci opowiedzieć? O, zacznijmy od tego, że pocztą wysłałam oficjalne zawiadomienia o wystąpieniu z klubu, kiedy zdecydowałam się przeprowadzić tutaj.

- Co takiego? Oficjalne zawiadomienia, tak? - Gemma doskonale zdawała sobie sprawę, że lepiej nie naciskać, Aurora wyzna jej tyle, ile będzie chciała, i ani słowa więcej. Mimo to nie potrafiła powstrzymać się od zadawania pytań.

- Tak, w pewien pogodny poniedziałkowy poranek włożyłam najlepszy płaszcz i kapelusz, po czym poszłam do drukarni, gdzie ze śmiertelną powagą osobiście zaprojektowałam karty. Wysłałam w sumie sto dwadzieścia ślicznych, laminowanych kart. W kosztownych czarnych kopertach. O rety, ale musieli się nade mną litować! - Na to wspomnienie Aurora zamknęła oczy.

- Czarne koperty? Hej, brzmi niezwykle szykownie - powiedziała Gemma swoim najbardziej jedwabistym głosem. - To wygląda na szalenie ekskluzywny klub książki.

- Szykownie? O tak, bardzo byli szykowni. Paczka Bronte była po prostu bandą snobów, których osobiście dobrałam. Najczęściej przebrani w wiktoriańskie kostiumy w mojej wysokiej, urządzonej stylowo cieplarni piliśmy herbatę, przegryzając kanapkami z ogórkiem.

- Chryste! Sto dwadzieścia osób w domowej cieplarni? Musiała być spora.

- Ogromna. Kosztowała mnie ćwierć miliona funtów.

- Nie!

- Raz pokazali nas w telewizji. Choć tylko w programie na Irlandię Północną, w żadnym innym, i w dodatku o wpół do drugiej w nocy w BBC2.

- Ale to i tak prawdziwa rewelacja!

- Nie, w rezultacie rzecz była bardzo nudna. - Aurora westchnęła i napiła się kawy. - Przeprowadzałam rozmowy z kandydatami na członków Paczki Bronte, żeby się upewnić, że naprawdę kochają sztukę i nie chcą przyłączyć się do nas, bo są samotni i znudzeni. A ci biedacy, których odrzuciłam. Och, Gemmo! Gdybym tylko mogła im powiedzieć, jak bardzo mi przykro, jak strasznie się wstydę.

- Ale czarne koperty? I kostiumy! - roześmiała się Gemma. - To naprawdę zabawne. Jestem pewna, że się ucieszyli, kiedy listonosz przyniósł im te eleganckie listy. Ja bym się ucieszyła. Dbałość o każdy szczegół, co?

- Rzeczywiście. Śmierć klubu książki i tak dalej. Chyba trudno uwierzyć, że byłam taką straszną snobką. Przez jakiś czas było o nas głośno w Belfaście. Obawiam się, że plotkowano też o moim romansie z młodszym mężczyzną. No, był tylko trochę młodszy, nie jakoś znacznie, ale tym gorzej dla mnie. Włóczyłam się z nim po najlepszych restauracjach i co tydzień chodziłam do teatru.

- Hej, zaczynam być zazdrosna! Nie mam na koncie nic równie ekscytującego. Szczegóły mojego życia miłosnego zmieściłyby się na znaczku pocztowym.

- Niewiele tracisz, nie przejmuj się.

Aurora postanowiła, że nie powie Gemmie o swoim sekretnym upodobaniu do ciasnych gorsetów, zdobionych falbankami pantalonów i uprawiania seksu w ubraniu, na stojąco, przy fortepianie. Była wdzięczna za nadejście menopauzy, naprawdę głęboko wdzięczna. W przeciwnym wypadku groziłoby jej poważne uzależnienie od seksu. Och, jakże pożałowała tego wdzięcznego, przebiegłego węża...

- To nie trwało długo - powiedziała cicho. - A kiedy mój tak zwany romans z Davidem się skończył, po prostu nie miałam serca do dalszego prowadzenia klubu książki. Ani do pracy w szkole. Mój mąż Henry już wcześniej znalazł sobie nową miłość, Rose, a mnie nawet ta cudowna cieplarnia przestała sprawiać przyjemność, bo tylko przypominała mi o mojej próżności i głupiej dumie. W dodatku jej zbudowanie kosztowało prawdziwą fortunę. Nie wspominając już o tym, że zrujnowała moje małżeństwo, ponieważ kazałam buldożerom wyrównać ukochany ogródek Henry'ego, żeby zrobić dla niej miejsce. No więc sprzedałam dom za kupę szmalu i przyjechałam tutaj, żeby dojsć do siebie.

- A dokąd pojechali Henry i Rose? - zapytała Gemma, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Na początku gdzieś tutaj. Henry to bardzo dobry człowiek, Gemmo. Pozostał ze mną w kontakcie, chociaż traktowałam go okropnie. Od czasu do czasu przysyłał mi pocztówki i pisał, jakie to spokojne miejsce, jak wolno toczy się tutaj życie i jak dobrze na duszę wpływa tutejszy krajobraz. Więc przyjechałam, ale nie narzucałam się jemu i jego nowej miłości, wcale nie. Nigdy ich nie odwiedziłam. Kilka razy zaprosili mnie na kolację, ale uznałam, że byłoby to zbyt niezręczne. Wszyscy troje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Potem urodziła im się córeczka, Emily, i przeprowadzili się do Francji, żeby być blisko przyjaciół Rose. Odczułam coś w rodzaju ulgi, bo wtedy już zakochałam się w Redstone i chciałam zamieszkać tu na stałe.

- Nie miałaś żalu o dziecko? Najmniejszego?

- Nie. Nie byłabym dobrą matką, Gemmo, jestem za bardzo neurotyczna i apodyktyczna. Doprowadziłabym biedne dziecko do demencji wtrącaniem się, radami i troskami. To byłoby ode mnie silniejsze. Dlatego też nie chciałam, żeby nasz klub książki się powiększył. Bałam się, że znowu mnie poniesie. Staram się zmienić, nie wpływać tak na innych, ale to strasznie trudne.

- Rozumiem. Mam zamiar przy następnym spotkaniu odgryźć mojej Victorii głowę za to, że nie dzwoniła do mnie ostatnio... Auroro... - Gemma wzięła głęboki oddech. - Auroro... czy mogę prosić cię o wielką, potężną przysługę? Chcę pojechać do Nowego Jorku i sprawdzić osobiście, co się z nią dzieje. Tylko że bardzo boję się lotu. Nie lubię o tym mówić, ale samoloty budzą we mnie paniczny strach.

- Cóż, to nie jest znowu taka rzadka fobia. Naprawdę musisz jechać do Ameryki?

- Tak. Kierownik salonu piękności, w którym Victoria pracuje, wreszcie raczył ze mną porozmawiać. Okazało się, że od tygodnia nie mają od niej wiadomości. Pomyśleli, że przeniosła się do innej pracy, nawet się nie pofatygowali, żeby pójść do jej mieszkania i sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. W końcu musiałam zadzwonić na policję.

- Na policję?

- Traciłam rozum z niepokoju, Auroro. Policja już jej szuka, ale powiedzieli mi, że muszę przyjechać i oficjalnie zgłosić zaginięcie.

- Policja jest w to wmieszana? Na litość boską, Gemmo! Dlaczego wcześniej nie mówiłaś? Pozwoliłaś mi paplać o moim niedorozwiniętym kochanku. Pewnie jesteś roztrzęsiona. Naprawdę powinnaś była coś powiedzieć.

- Mówię ci teraz. - Twarz Gemmy zaczerwieniła się z niepokoju i strachu. - Nie miałabyś ochoty ze mną polecieć? Oczywiście ja pokryję koszty. Proszę, Auroro. Wiesz, chodzi o to... wiem, że w samolocie będę do niczego. Nigdy w życiu tak długo nie leciałam. Śmiertelnie się boję, że zrobię z siebie kompletną idiotkę. Ale jeśli będę siedziała beczynnie, jeśli w najbliższym czasie nie spróbuję skontaktować się z Victorią, rozpadnę się na kawałki.

- Z radością z tobą pojedę, dzięki, że mnie o to prosisz - powiedziała Aurora.

- Och, to ja tobie dziękuję! - W głosie Gemmy brzmiała ulga. - Bardzo ci dziękuję!

- Ależ nie ma za co! Pochlebia mi, że wybrałaś mnie na powiernicę i chcesz, żebym ci towarzyszyła. Po co w końcu są przyjaciele? No i chodzi o Nowy Jork! My nie zadowolamy się byle czym. Ale jestem pewna, że nic się nie stało, Gemmo, młodzi nigdy nie mają czasu, żeby zadzwonić do domu, życie im mija w inny sposób niż nam. Patrzą w przyszłość i nie myślą o starych, którzy siedzą w domu przy tykającym zegarze. A nawiasem mówiąc, „starzy” oznaczają rodziców i wszystkich po trzydziestce.

- To bardzo mądra uwaga, Auroro. Cudownie, że zgodziłaś się wziąć mnie pod swoje skrzydła. Nienawidzę podróżować samotnie. Wiem, w moim wieku to głupie, ale kiedy drzwi samolotu się zamykają i rozpoczyna się ten idiotyczny instruktaż bezpieczeństwa, zawsze mi się wydaje, że dostanę ataku serca. Wolałabym, żeby się nie fatygowali, tylko od razu włączyli film i pozwolili mi się spokojnie zalać.

- Moje kochane biedactwo!

- Tylko trzy razy leciałam do Londynu, a i tak przez wiele dni przed i po podróży byłam w kompletnej rozsypce. Nigdy nie lubiłam latać, ale teraz, kiedy jestem stara, ta fobia się pogarsza. W zeszłym roku z tego powodu zrezygnowałam z podróży promocyjnej po Europie, wszystkie koszty pokrywało wydawnictwo;

powiedziała, że wyniki sprzedaży nie są dość dobre, by uzasadnić takie wydatki. To mógł być przełom w mojej karierze.

- Och, Gemmo - łagodziła Aurora.

- No i oczywiście Victoria mówi, że wcale jej nie kocham, skoro co kilka miesięcy nie przyjeżdżam do Nowego Jorku. W każdym razie tak powiedziała, kiedy ostatnim razem rozmawialiśmy przez telefon. A teraz nie mogę się z nią skontaktować... z moim jedynym dzieckiem! Co jest ze mną nie tak, Auroro? - szepnęła Gemma. Po jej policzkach toczyły się łzy.

- Hej, dajże spokój! Wiek robi z nami śmieszne rzeczy. Starzejąc się, tracimy pewność siebie, a powinno być odwrotnie, można by pomyśleć, że człowiek wraz z latami ją zyskuje. Ale nie. Zaczynamy wątpić w siebie i swoje przekonania. Uświadamiamy sobie, jacy jesteśmy bezbronni, bo życie w każdej chwili może zafundować nam potężną zmianę.

- Tak, to prawda. Wiesz, nie znoszę mężczyzn. Ale czasami, kiedy budzę się w środku nocy i nie ma nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, do kogo mogłabym się przytulić, zaczynam się bać.

- Jeszcze kogoś spotkasz, kotku - powiedziała Aurora machinalnie. Przez większość swego dorosłego życia mówiła przyjaciółkom, że wkrótce poznają miłego mężczyznę, ale to zdarzało się niezwykle rzadko. Wszystko wskazywało na to, że idealni mężczyźni - tacy, co to porywają kobietę w ramiona i niosą w ulewnym deszczu przez piętnaście kilometrów i będą walczyć do upadłego, przetrwają wszelkie trudności, byle spędzić z ukochaną pół godziny - istnieją wyłącznie na kartach powieści romantycznych.

- Nie ja - odparła ze smutkiem Gemma. - Mnie na tym już nie zależy. Chciałabym tylko, żeby ktoś mi pomógł w opiece nad Victorią.

- Masz mnie, Miriam i Sarę.

Aurorę samotność zadowalała. Takie spokojne życie bardzo jej odpowiadało. Nie istniała możliwość, że ktoś wróci z pracy do domu i oznajmi, że porzuca ją dla młodej aktorki (jak zrobił David Cropper) albo że przegrał dom (tak powiedział ojciec Aurory do matki). Albo że strasznie gotuje i na litość boską, po co właściwie się pobrali? To ostatnie przytrafiło się jednej z jej koleżanek w szkole w Belfaście. Biedna

kobieta walnęła męża garnkiem pełnym puree z groszku i pozbawiła go przytomności. (Aurora nie wiedziała, czy sprawa trafiła do sądu.)

- Skończyłam z romansami - powiedziała Gemma, usiłując stłumić płacz. - Wiem, że trudno mnie zadowolić, a nie robię się młodsza. Jestem zbyt niezależna, żeby teraz dostosowywać się do innej osoby albo po niej sprzątać. Poza tym musiałby podpisać intercyzę, bo żaden chłop nie dostanie mojego domu, kiedy wyciągnę nogi. Ten dom to spadek Victorii, czy będzie chciała czy nie.

- Szczęściara z ciebie, że masz cudowną córkę, o którą możesz się martwić, Gemmo. Mam tylko nadzieję, że ona to docenia.

- Dziękuję, Auroro. I dzięki, że pojedziesz ze mną do Ameryki. Bo w dzisiejszych czasach przy tych dodatkowych środkach ostrożności jakiś oficer straży lotniczej czy jak ich tam nazywają gotów mnie zastrzelić, jak zobaczy, że się pocę, kręcę i wiercę na siedzeniu. Pomyśli, że jestem zamachowcem samobójcą albo coś w tym rodzaju.

- Dasz sobie radę - odparła Aurora myśląc, że przed ośmiogodzinnym lotem chyba trzeba będzie pójść do lekarza po jakieś tabletki.

- Przynajmniej ty tam będziesz i powiesz im, że jestem głupią kobietą, która strasznie boi się latać i ma dorosłą córkę, co nie raczy zadzwonić do domu. - Gemma serwetką wytarła świeże łzy.

Obie miały wizję biednej Gemmy przypiętej kajdankami do oparcia fotela dziesięć tysięcy metrów nad ziemią.

- Och, Gemmo, moje ty biedactwo, to prawie tak samo zabawne jak ja i czarne koperty wysyłane członkom Paczki Bronte. Choć nie, życie z taką fobią musi być straszne. No wiesz, to nie miałyby znaczenia, gdyby chodziło wyłącznie o rezygnację z zagranicznych wakacji, ale ty musisz odszukać Victorię. Szczerze ci współczuję, możesz mi wierzyć. A jak zobaczę Victorię, powiem jej, żeby już nigdy nie wyłączała komórki, w przeciwnym razie wykreślisz ją z testamentu. Tylko na to zasługuje. A teraz pójdziemy na spacer po plaży, dobrze? Zamknę księgarnię na pół godziny, kiedy wyjdą ostatni klienci. Jakie my dwie jesteśmy?

- Zwariowane. I pomyśleć, że w naszym kółku uważałyśmy Miriam za tę, która miewa zwidy.

Dziesięć minut później włożyły płaszcze i zamknęły sklep, zostawiając na stole bukiet czerwonych róż. Ścieżką poszły na plażę, dziwiąc się swemu szczęściu, dzięki któremu mogą mieszkać w takim pięknym miejscu; byłoby okropnie, gdyby musiały patrzeć na brzydkie szyny kolejowe albo jakąś chylącą się ku upadkowi fabrykę. Wcześniej padało i teraz piasek był wilgotny i pociemniały, ale promienie słabego słońca zaczęły przedzierać się przez chmury i ogrzewać plażę. Aurora ujęła Gemmę pod ramię i poszły wolno, wdychając odświeżający ozon.

- Wiesz, kim jest Mike? - zaczęła Gemma, zauważając małych chłopców chichoczących na widok ich połączonych rąk.

- To twój redaktor, tak?

- Tak. Chciał, żebym napisała artykuł o kobietach, które z desperacji stają się lesbijkami.

- A ty co napisałaś? - zapytała Aurora, śmiejąc się serdecznie i posyłając całusa nielicznej widowni.

- Napisałam, że programy reality oraz popularna kultura, która dawno już sięgnęła dna, niszczą umysły całego pokolenia. Zmieniają młodych w leniwe, niewykształcone klony. Napisałam, że lesbijki to pestka, za to dzisiejsze dzieci ledwo potrafią czytać i pisać.

- Brawo! Posłuchaj, pospacerujemy i zlikwidujemy trochę cellulitu, a potem uzupełnimy go rybą z frytkami.

- Zgoda.

Kiedy wkrótce potem czekały w kolejce w Golden Griddle, na szklanym biurku Gemmy zadzwonił telefon. Wiadomość zarejestrowana została na automatycznej sekretarce. Pielęgniarka z prywatnego szpitala w Nowym Jorku informowała, że Victoria Hayes wciąż jest poważnie chora po przypadkowym przedawkowaniu heroiny, choć jej stan zaczyna się stabilizować. Czy Gemma mogłaby się z nimi skontaktować? Jest drobna kwestia płatności za usługi medyczne, trzeba uregulować rachunek wynoszący kilka tysięcy dolarów, ale chodzi też o coś znacznie ważniejszego. Gemma powinna rozważyć odwiedzinę u chorej córki, którą czeka trudny okres wychodzenia z nałogu. Pielęgniarka podała numer kontaktowy i podkreśliła, że obecnie Victorii nie grozi już niebezpieczeństwo. Przez dwa dni sytuacja była

krytyczna, na dwoje babka wróżyła, i stąd ten długi pobyt w szpitalu. Teraz Victoria ma sporą niedowagę i jest słaba, ale to normalne w wypadku nadużywania narkotyków, tak samo jak głęboka depresja, na którą pacjentka cierpi. Personelowi szpitala jest bardzo przykro, że tak nagle musi przekazać Gemmie złe wieści, mówiła pielęgniarka, ale dzwoni na prośbę nowojorskiej policji.

Rozdział 19

Panika

Och, jaka radość ogarnęła Gemmę, kiedy po powrocie do domu zobaczyła, że ma wiadomość. Światelko pulsowało wesoło po dziesięciu dniach kompletnej beczynności. Niech to będzie wiadomość z Ameryki, modliła się w duchu, biegnąc do telefonu z paczką ze smażalni w dłoni. Zagraniczny numer, tak! Chwalić Pana! Wreszcie zadzwoniła Victoria. Mała flirciara, czy ona zdaje sobie sprawę, przez co przechodziła matka? Gemma postanowiła, że nagada jej do słuchu.

- To ona! - zawołała do Aurory. - To Victoria!

Aurora klasnęła w dłonie z uciechy i poszła do kuchni po talerze oraz butelkę keczupu. Wyjęła z szuflady dwa widelce i zaczęła odwijać swoją porcję. Och, świetnie pachnie. Zamknęła drzwi, by zapewnić Gemmie prywatność.

Równocześnie w salonie rozległ się nagrany głos pielęgniarki. Gemma spojrzała na swoje szklane biurko, potem uniosła wzrok na ocean rozciągający się za oknem. Poczowała, jak w jej serce wsącza się lodowato zimna woda. Czas zwolnił: patrzyła na zegarek, ale nie potrafiła dostrzec wskazówek. Usiłowała zawołać Aurorę, tylko że w domu huczała cisza, a słowa nie chciały wyjść jej z gardła. Serce Gemmy przestało bić.

W kuchni nieświadoma niczego Aurora odcięła kawałek smakowitego, chrupiącego fileta z dorsza.

Victoria jest w szpitalu, leży w szpitalnym łóżku. W prywatnym nowojorskim szpitalu zupełnie sama, bez nikogo. Była bardzo chora, przedawkowała. Trzeba było ją poddać intensywnej terapii. Gemmie przed oczyma stanęły obrazy z programów tele-

wizyjnych: rurki, kable, wymioty, popiskujące urządzenia, trzaskające drzwi, lekarze wykrzykujący polecenia. Przedawkowanie heroiny, Victoria brała heroinę. Twarde narkotyki, fatalna rzecz. Teraz już nie grozi jej niebezpieczeństwo. Czy pielęgniarka faktycznie wypowiedziała te słowa: na dwoje babka wróżyła?

Victoria mogła umrzeć!

Nagle dotarło to do niej w pełni i nogi ugięły się pod Gemmą, jakby były z lukrecji. Smakowita ryba spadła na ziemię. Gemma uświadomiła sobie, że rzuciła opakowaniem z gniewu i frustracji, iż nie było jej na miejscu i nie zapobiegła katastrofie. Jej najdroższa córka mogła umrzeć z przedawkowania. Jej córeczka z prostymi blond włosami, kocimi niebieskimi oczami potrzebowała matki. A matka zajadała się rybą z frytkami i rozczulała nad sobą, ponieważ bała się latać. Rozczulała się nad sobą, że nie jest globtroterem, gwiazdą telewizji i ulubienicą imprezowego towarzystwa. Z kuchni przybiegła Aurora i pomogła jej wstać.

- Gemmo, co się stało? - zapytała, zbierając rozrzucone frytki.

Najwyraźniej Gemma miała trudności z przypomnieniem sobie zasad gramatyki angielskiej.

- Jezu, Gemmo, mów do mnie! - błagała Aurora. - Oddychaj płytko, nie nabieraj powietrza głęboko w płuca. Powiedz cokolwiek. No, przynajmniej zacznij, reszty sama się domyślę.

Gemma z trudem wszystko jej powtórzyła.

- Och, moja kochana!

Padły sobie w objęcia, a Gemma zmusiła się do normalnego oddechu, podczas gdy Aurora jak idiotka ciągle od nowa odliczała do pięciu, uspokajająco gładząc przyjaciółkę po plecach. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, wdech. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, wydech.

Gemma zadzwoniła do szpitala niemal natychmiast, usiłując powstrzymać mdłości. Aurora, która zaparzyła herbatę i mocno ją posłodziła, w geście moralnego wsparcia trzymała Gemmę za ramię.

Gemma powiedziała pielęgniarce, że dołoży wszelkich starań, by w szpitalu być nazajutrz, a w najgorszym razie w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Wszystkie rachunki oczywiście zostaną uregulowane. (Postanowiła, że teraz nie bę-

dzie się nad tym zastanawiać. Jeśli zajdzie taka potrzeba, sprzeda dom.) Czy może zabrać Victorię do domu? To było najważniejsze. Przywieźć córkę do domu i bezpiecznie położyć do łóżka, zanim ta wyląduje w więzieniu, odziana w pomarańczowy dres.

Usłyszała, że owszem, może zabrać córkę do Irlandii, choć niewykluczone, że będzie musiała zostać parę dni w Nowym Jorku, zanim lekarze uznają, iż stan Victorii pozwala na podróż. Pielęgniarka wyjaśniła, że w przypadkach narkotykowych obowiązują określone procedury, trzeba podpisać dokumenty, prawdopodobnie policja przesłucha Victorię, żeby poznać nazwisko jej dealera, wykonane zostaną kolejne badania lekarskie i tak dalej. Gemma odniosła wrażenie, że łatwiejsza byłaby wspinaczka na Mount Everest z wózkiem pełnym kamieni niż wydostanie ukochanej córki z Ameryki. Poza tym nienawidziła szpitali. Ha, kto je lubi? Tylko ludzie z syndromem Munchausena lubują się we wszechobecnym zapachu środków dezynfekcyjnych i stłumionym szczełku łóżek na kółkach.

- Tak bym chciała mieć czarodziejski dywan - szlochała Gemma po skończonej rozmowie. Na razie nie mogła porozmawiać z Victorią, której zaaplikowano środki nasenne, by przespała trudny okres. Gemma pomyślała o różowej patchworkowej kołdrze i poduszkach w kształcie gwiazd na łóżku Victorii w sypialni na piętrze i serce ścisnęło się jej z rozpacz. Jak do tego doszło? - Chciałabym polecieć do Nowego Jorku na czarodziejskim dywanie. W mgnieniu oka byłabym na miejscu, wleciałabym do szpitala przez okno, posadziła Victorię i wróciła, zanim ta herbata zdążyłaby wystygnąć.

- Proszę, pij - rozkazała zmartwiona do nieprzytomności Aurora. Do obu kubków szcudrze dołała brandy. - Wszystko będzie dobrze, przecież pielęgniarka powiedziała, że najgorsze już minęło?

- Tak, ale sama wiesz, jakie są pielęgniarki. Przywykły do śmierci, ciągle z nią obcują. Victoria mogłaby odejść dziś w nocy i nikogo nic by to nie obeszło. Pod warunkiem oczywiście, że zapłaciłabym rachunek. Boże, czuję się cholernie beużyteczna. Dlaczego pozwoliłam jej na ten wyjazd do Nowego Jorku? Dlaczego, Auroro? Nie powinnam była puszczać jej od siebie.

- Nie zatrzymałabyś jej, jest dorosła.

- Mogłam chociaż spróbować!

- Powiesz jej ojcu? - zapytała nagle Aurora. - Może by ci pomógł pokryć koszty?

Nigdy wcześniej nie mówiły o ojcu Victorii, ale to przecież była sytuacja wyjątkowa, a wtedy zasady etykiety nie obowiązują.

- W żadnym razie! - krzyknęła Gemma. - On by wszystko dziesięć razy pogorszył. Nie chcę go w to angażować. Zresztą kiedy zaszłam w ciążę, do niczego się nie nadawał. Powiedział, że już mnie nie chce, kiedy brzuch zaczął mi rosnać. Auroro, muszę coś ci powiedzieć i proszę, żebyś obiecała, że zachowasz to dla siebie. Victoria nie ma o tym pojęcia i nigdy ode mnie tego nie usłyszy, ale jej ojciec też był uzależniony. Głównie od alkoholu i maryški. Z tego co wiem, mógł umrzeć wiele lat temu. Dlatego jestem zadowolona, że moi rodzice nie kontaktują się z Victorią. Z wielką radością by ją poinformowali, że jej tatuś był nicponiem i darmozjadem. Oni tacy są, mściwi.

- Och, rozumiem.

- Jesteś zaszokowana?

- Nie, skądże. Nie wzięłam się z koszyka dryfującego po rzece. Pochodzę z Belfastu, zapomniałaś? Mnóstwo razy musieliśmy ewakuować szkołę z powodu zagrożenia bombowego. Kiedy tak jak ja widzisz ludzi zeskrobywanych z ulicy, nic cię już nie szokuje. Posłuchaj, kolacja wciąż jest ciepła, powinnaś ją zjeść.

- Nie przełknę ani kęsa, kochana. Żołądek mi się wywraca. To tyle na temat samotnych matek, które radzą sobie tak samo dobrze jak reszta ludzkości.

- Dajże spokój, nie będziemy o tym rozmawiać. Może później zjesz płatki. Owsianka jest dobra na wstrząs, tak słyszałam. I włóż sweter, dobrze? Trzęsiesz się jak osika. Podkreć ogrzewanie. Wszystko będzie dobrze, Gemmo, zobaczysz. Zadzwonimy do biura podróży, sprawdzimy loty. A skoro o tym mowa, dam znać Miriam.

- Dlaczego?

- Och, żeby dotrzymała nam towarzystwa. Sarę też powiadomimy. Pomogą nam, załatwią różne sprawy, posiedzą przy telefonie. Może udzielią jakiejś pożytecznej rady. Sara mówiła, że jej najlepsza przyjaciółka jest psychologiem, prawda?

- Chyba tak.

- Właśnie.

Ale naprawdę chodziło o to, że Aurora nie chciała zostać sama z biedną Gemmą, bo się bała, że przyjaciółka dostanie zapaści. Gemma usiadła na sofie i popadła w rodzaj transu, ciągle od nowa wysłuchując wiadomości, podczas gdy Aurora sprzątała i dzwoniła. W końcu odrętwienie ustąpiło i Gemmę opanowała straszliwa wściekłość. Nigdy w życiu takiej nie czuła. Nawet wtedy, kiedy ojciec Victorii zerwał z nią i powiedział, żeby się wreszcie od niego odczepiła. Nawet wtedy, kiedy rodzice nazwali ją głupią puszczałką. Nawet wtedy, kiedy jej najlepsza ze wszystkich powieść określona została przez krytyka (mężczyznę) jako przygnębiająca, kuchenna opowieść o kobiecym rozczulaniu się nad sobą; krytyk dodał też, że bardziej erotyczny nastrój widział na świńskiej farmie.

Drań.

Pogarda do rodzaju męskiego wybuchnęła wrzącą mieszaniną oślepiającej furii i kwasu siarkowego. Aurora kręciła się przy oknie, wypatrując kawaleryjskiej odsieczy. Kiedy Gemma była wściekła, używała języka bardziej obscenicznego niż Gordon Ramsey w czasie męskiej popijawy. Jakimi obelgami obrzucała mężczyzn! Brudni alfonsi bez grama mózgu, ryczała. Zła, drapieżna natura demonicznych dealerów narkotyków przechodzi wszelkie granice. Ohydni zbrodniecy, którzy wykorzystują młodych narkomanów, powinni do końca życia siedzieć w więzieniu - nie, należy ich powiesić!

- Chociaż dzięki Bogu nie ma na to dowodów w wypadku Victorii - zauważyła Aurora.

Według pielęgniarki Victoria regularnie brała narkotyki dopiero od pół roku i na razie była w stanie płacić za nie ze swej pensji w salonie piękności. Tylko że w ostatnim miesiącu opuściła mnóstwo dni i jej status stał się dość mglisty: płacono jej wyłącznie za przepracowane dni. Musiała więc ograniczyć heroinę, a potem ktoś dał jej wielką działkę i organizm tego nie wytrzymał. W każdym razie w szpitalu przypuszczano, że tak to się odbyło. Biedna Gemma traciła rozum ze zmartwienia, gniewu i straszego poczucia winy, od którego żołądek jej się wywracał, że za wszystko winę ponosi ona.

- Nie mogę w to uwierzyć - powtarzała.

Aurora wysłała esemesy do Sary i Miriam z błaganiami, żeby się pośpieszyły.

Tymczasem Gemma wciąż wyrzekała. Przy każdej okazji należy naświetlać obojętne nastawienie rządów na całym globie, szlochała. Należy krzyczeć o okrucieństwie systemów prawnych, które zawsze karzą ofiary, a nigdy zbrodniarzy. Dealerzy chodzą sobie wolno, syczała, mieszkają w luksusowych willach, jeżdżą żalonymi lśniącymi wozami sportowymi, szaleją w obleśnych nocnych klubach i śmieją się w twarz niewinnym, ucziwie płacącym podatki obywatelom oraz zatroskanym rodzicom jak ona. Nie wspominając o idiotyzmie przemysłu muzycznego, który rozpieszcza sławnych ćpunów i chroni ich przed prozą życia, dzięki czemu nie muszą walczyć z nałogiem, żeby móc zarabiać na życie jak normalni ludzie.

- Błagam, nie dręcz się tak - prosiła Aurora.

A teraz biedna, wyczerpana Victoria leżała w szpitalnym łóżku w Nowym Jorku i nie miała nikogo, kto przyniósłby jej kwiaty i pottrzymał za rękę. Bóg tylko wie, w jakich warunkach. A w dodatku przypuszczalnie czeka ją rozprawa. Straci pracę i zostanie deportowana z Ameryki z dożywotnim zakazem powrotu. Wielka szkoda, że jej koleżankom zabrakło zwyczajnej, ludzkiej przyzwoitości, żeby wpaść do niej, skoro przez tydzień nie pokazywała się w pracy.

Prawdę powiedziawszy, Gemmą owładnął taki gniew, że pobiegła do kuchni i złapała pierwszą rzecz, która wpadła jej w ręce.

Rzuciła ciężkim aluminiowym mikserem prosto w kuchenne okno. Los miksera podzieliły dwa sosnowe krzesła. W tej samej chwili Miriam i Sara weszły do domu. Gemma zerwała telefon ze ściany w salonie i rozbiła na kawałeczki, po czym padła Aurorze w ramiona i płakała tak długo, że omal nie straciła przytomności.

- Dzięki Bogu, że przyszedłam tu zjeść frytki, w przeciwnym razie Gemma byłaby sama - powtarzała Aurora. - Mogłaby ulec spontanicznemu samozapłonowi, od którego zająłby się cały dom.

Przyjaciółki tuliły Gemmę, pocieszały i znowu tuliły. W końcu przygotowały jej gorącą kąpiel i dały ziołowe tabletki na uspokojenie. Wszystkie cztery wypiły morze herbaty. W pewnym momencie do Sary zadzwoniła Abigail.

- Przepraszam - powiedziała Sara. - Nie mogę teraz rozmawiać, mamy nagłą sytuację. Oddzwonię później.

Do czasu podwieczorku Gemma zdołała jednak porozmawiać z Victorią. Rozmowa telefoniczna trwała tylko minutę, ponieważ Victoria wciąż była słaba i zdezorientowana, chociaż na tyle przytomna, by przejmować się skandalem. Błagała, by Gemma nikomu nic nie mówiła, ponieważ nigdy nie wróci do Irlandii, jeśli cały kraj będzie wiedział, co jej się przydarzyło. Ze względu na kolumnę Gemmy gazety rzuca się na taki kasek, wszyscy będą Victorię nazywać ćpunką i obgadywać za plecami. Gemma przyrzekła, że na razie nikomu nic nie powie. No, nikomu z wyjątkiem Aurory, Miriam i Sary.

Była też kwestia rachunku za szpital. Gemma miała odłożone pieniądze, ale za mało. Zastanawiała się, czy powinna wziąć kredyt w banku. I naturalnie natychmiast poleci do Nowego Jorku, innego wyjścia nie ma. Pomimo stanu, w jakim się znajduje, będzie musiała rozmawiać z lekarzami i policją, a także przekonać Victorię, by z nimi wszystkimi współpracowała. Może będzie musiała zostać z córką na oddziale odwykowym, dopóki nie miną najgorsze objawy głodu narkotycznego, a to też kosztuje. Niewykluczone, że trzeba będzie sprzedać samochód i dom.

Gemmę ogarnęła straszna panika.

Garściami połykała ziołowe tabletki, popijała je brandy i powtarzała, że nie da sobie rady z tym wszystkim, po prostu nie da. Aurora uważała, że to dość zabawne, choć sądziła, że nie powinna na razie wskazywać ironii tkwiącej w fakcie, że Gemma za pomocą tabletek i alkoholu usiłuje przetrwać trudne chwile. Miriam pobiegła do domu po zapiekankę, którą podgrzała w piekarniku Gemmy. Siedziały w cztery przez całą noc, planując podróż, pocieszając Gemmę i dzwoniąc do szpitala po najświeższe informacje. W rezultacie zdecydowały, że wszystkie pojedą do Nowego Jorku, ponieważ Gemma nie może jechać sama, a Aurora nie chciała jako jedyna towarzyszyć jej w tej trudnej podróży. Wszyscy ci zbzikowani na punkcie bezpieczeństwa ludzie i Gemma na skraju hysterii. Sara zaproponowała swój udział w wyprawie, ponieważ była w Nowym Jorku kilka razy i знаła miasto. Miriam natomiast stwierdziła, że nie zamierza zostać tu sama, chociaż przyjaciółki nie bardzo wiedziały, w jaki sposób mogłaby się przydać. Oznajmiła, że w żadnym razie nie będzie siedziała

jak na szpilkach w Redstone. Do końca życia o niczym innym nie będą opowiadać, więc albo jedzie z nimi, albo ich przyjaźń kończy się tu i teraz!

W końcu stara dobra Aurora w tajemnicy przed Gemmą zapłaciła za szpital Vicky oraz za podróż. A kiedy Gemma to odkryła, Aurora odparła, że ze sprzedaży domu została jej góra pieniędzy, a obecnie nie ma żadnych ważnych wydatków. Dodała, że przestanie przyjaźnić się z Gemmą, jeśli ta nie pozwoli jej zapłacić, przynajmniej na razie, żeby nie wyrzucili Victorii ze szpitala na ulicę. Delikatnie zauważyła, że przecież Gemma w każdej chwili może oddać tę sumę. Tak więc wszystkie cztery miały już bilety na najbliższy lot. Umówiły się, że wezmą tylko bagaż podręczny, by oszczędzić sobie czekania na lotnisku. Aurora ustaliła, że do Victorii udadzą się razem i zapewnią ją, że wszystko będzie dobrze. Pójdą z nią na testy na HIV i inne badania, a potem, kiedy tylko jej stan na to pozwoli, przywiozą ją do Redstone, żeby mogła w domu odzyskać siły. I oczywiście nikomu nie pisną słówka.

Gemma z wdzięczności przytuliła je tak mocno, że ledwo mogły złapać dech, po czym poszła sprawdzić, czy ma ważny paszport. Był ważny. Szeleszczący, czysty, pachnący świeżością. Korzystała z niego tylko w czasie wyjazdów do Londynu. W gruncie rzeczy wyrobiła go sobie, żeby mieć dokument tożsamości.

Zadzwonili z biura podróży z potwierdzeniem czasu odlotu. Za dwanaście godzin przyjaciółki będą już w drodze.

Strach przed lataniem znowu zawładnął Gemmą; płakała tak długo, aż na kilka sekund straciła przytomność. Potem wypila całą butelkę wina i zasnęła. Przyjaciółki ustaliły, że na zmianę będą przy niej czuwać, a w przerwach pójdą się spakować.

Gemma niemal padała z wyczerpania, wciąż jednak musiała załatwić jedną sprawę. Około szóstej rano zadzwoniła do redakcji i powiedziała Mike'owi, że może się wypchać swoją tandetną gazetą. Zapiąć pas nabijany ćwiekami i przykleić dwa wielkie chwosty na owłosionych cyckach do kompletu. Ponieważ Gemma Hayes to poważna dziennikarka, która nie zamierza zniżać się do pisania o cyckach, tyłkach i ozdóbkach w godnej głębokiego pożałowania kolorowej szmacie. Na koniec z trzaskiem odłożyła słuchawkę, zanim Mike zdążył otworzyć usta. W ten oto sposób pozbawiła się źródła zarobku, ale teraz to nie było ważne. Miała dziecko, które jej

potrzebowało. O dziewiątej po szybkiej wizycie u lekarza przyjaciółki zrealizowały w aptece receptę na valium, a potem w kuchni, która obecnie pyszniła się zabitym deskami oknem, znowu połały się łyzy. Usiadły wszystkie do śniadania złożonego z kawy i rogalików, po którym przestronnym samochodem Aurory pojechały na lotnisko.

Gemma oddychała głęboko do papierowej torby, zanim jeszcze opuściły Redstone, i Aurora mogła myśleć tylko o tym, że dzięki Bogu kupiła cztery bilety zamiast dwóch, ponieważ wszystko wskazywało na to, że lot będzie dla wszystkich piekielną udręką. Jeśli Gemma szybko się nie uspokoi, nie wpuszczą jej na pokład, a wtedy Aurora będzie musiała pojechać z Sarą, zostawiając Gemmę z Miriam, by ją pocieszała i pilnowała.

- Tak jest, moja droga, wyrzuć to z organizmu - mówiła kojąco Aurora. - Grzeczna dziewczynka! W samolocie dasz sobie radę, wiem, że tak. Prawda, Saro? Miriam, zgadzasz się?

- Jasne, nic jej nie będzie - zgodziły się obie pytane nieco nazbyt entuzjastycznie.

Żadna jednak w to nie wierzyła.

Gemma przypadkiem zrobiła paznokciem wielką dziurę w torbie, bo tak bardzo trzęsły się jej dłonie. Miejmy nadzieję, że valium szybko zacznie działać, pomyślały pozostałe kobiety. Miriam gładziła czule Gemmę po ramieniu, a siedząca z przodu Sara podała im kolejną papierową torebkę ze stosiku, który miała w torebce. Jeśli szczęście dopisze, Gemma zmęczy się i będą musiały tylko pomóc jej przejść przez odprawę, a potem przypilnować, żeby przespala większość lotu na drugi brzeg Atlantyku.

Rozdział 20

Układając plany dla Nigela

- A teraz mnie posłuchaj, Gemmo - zaczęła Aurora swym nauczycielskim tonem, poważnym i spokojnym, którego używała przy specjalnych okazjach, takich jak ogłaszanie terminów egzaminów wstępnych na studia albo wizyty burmistrza (a także zagrożenia bombowego). - Musisz zdobyć się na większą odwagę niż kiedykolwiek w całym życiu. Rozumiesz?

Gemma słabo potaknęła. Miała potężnego kaca, była chora ze zmartwienia, do szpiku kości przerażona bliską podróżą i emocjonalnie wyczerpana. Drugie tego dnia valium zaczęło działać, a poziom cukru w jej organizmie najwyraźniej sięgnął dna. Przed chwilą wyrzygała cynamonowego bajgla i miętową herbatę, a na głowie miała kompletny bałagan. Cztery przyjaciółki tuż przed odlotem odwiedziły jeszcze damską toaletę. Miriam ze swojej robionej na drutach torby wyjęła grzebień i usiłowała zrobić coś z „chochlikową” fryzurą Gemmy. Gemma bez słowa łagodnie się kołysała. Nie była w stanie powstrzymać koszmaru, który panoszył się w jej życiu.

- Sprawy bezpieczeństwa traktują bardzo poważnie i tak dalej, ale ochroniarze tylko udają macho, więc nie pozwól, żeby cię zdenerwowali - powiedziała Aurora z nadzieją. - Wszyscy myślą, że występują w hollywoodzkim filmie i tyle. Chcą być jak Bruce Willis. Żałosne to nie do opisanego. Jakby nasza czwórka mogła rozwalić jumbo jeta.

Gemma znowu kiwnęła głową i zamknęła oczy. Pomyślała, że jeśli ma być szczerą, niewiele by ją to obeszło. Przynajmniej znowu stapałaby po twardym gruncie.

- Auroro, czy mogę powiedzieć coś, co chyba Gemma uzna za pomocne? - Sara podniosła rękę. Jakby znowu była w pierwszej klasie.

Aurora zalała się rumieńcem. Och, nie potrafię wyzbyć się apodyktyczności, jęknęła w duchu.

- Proszę - powiedziała cicho.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Sara. - Chciałam tylko powtórzyć Gemmie to, co moja przyjaciółka Abigail mówi swoim pacjentom. Wiecie, na terapii. To taka rada dla ludzi, którzy bardzo się boją, rozumiesz?

Gemma i pozostałe kobiety z powagą pokiwały głowami. Taka profesjonalna podpowiedź może dla nich wszystkich mieć bezcenną wartość.

- Dobrze. Chodzi o tak zwaną wizualizację. To bardzo łatwe. Gemmo, powinnaś myśleć o czymś miłym i spokojnym, o czymś, co sprawia, że czujesz się odprężona, szczęśliwa i pozytywnie nastawiona. Jest coś takiego? Kiedy ostatni raz czułaś się całkowicie szczęśliwa i spokojna?

Gemma zastanowiła się głęboko.

- Kiedy Victoria się urodziła, przyjechałam z nią do domu babci i usiadłyśmy przy kominku. Obie z babcią przyglądałyśmy się jej malutkiej buzi - szepnęła Gemma. - W pokoju było ciepło i przytulnie, a babcia uśmiechała się do mnie i mówiła, że świetnie sobie poradziłam!

Przyjaciółki uznały, że to nie jest odpowiednia pora, by zauważyć, że Gemma ostatnio była całkowicie szczęśliwa dwadzieścia jeden lat temu.

- Okay, cudownie. A teraz możesz zatrzymać ten obraz w umyśle? Nie pozwól mu odpłynąć. Przez cały czas do wizyty u Victorii myśl o tej szczęśliwej chwili. A gdyby rozproszyły cię widoki i hałasy, co czasami w podróży jest nieuniknione, pomyśl, że jesteś w tunelu i na jego końcu widzisz światło, dobrze? Mów sobie, że pędzisz przez ten tunel w stronę światła. Ponieważ tak to wygląda, kiedy się czymś niepokoisz. To uczucie przejściowe. I potrwa tylko przez krótką chwilę.

- Saro, to cudowne - westchnęła Miriam. - Czuję spokój i mam wrażenie, jakbym unosiła się w powietrzu. Ojej, to naprawdę niesamowite. Powinnaś sama zostać terapeutą.

- O tak, to doskonała rada - powiedziała szorstko Aurora, trochę zazdrosna o wiedzę Sary i jej uspokajający wpływ. Ona jest tu szefową, nie Sara. No ale dobrze, Gemma wygląda na mniej zestresowaną, może faktycznie biedaczce dobrze to zrobiło.

Z głośników zapowiedziano ich lot. Bez słowa wyszły z toalety i ruszyły w stronę bramki.

- Pamiętaj o tunelu i idź w kierunku światła - powiedziała Sara, łagodnie ściskając Gemmę za ramię. - A my jesteśmy z tobą, przez całą drogę będziemy trzymać cię za rękę, okay?

- Okay.

Miriam i Aurora poszły przodem, usiłując zasłonić Gemmę przed ostrym, zastraszającym spojrzeniem ochroniarzy. Aurora zaczęła gawędzić o pogodzie z czterema krzepkimi funkcjonariuszami, rozmyślnie zanudzając ich na śmierć, dzięki czemu sprawdzali je na szczęście krótko. Zaraz potem ruszyły grzechoczącym rękawem do samolotu. Kilka minut później siedziały w środkowym rzędzie.

Gemma zamknęła oczy i pomyślała o nieprawdopodobnie miękkich policzkach malutkiej Victorii przytulonych do jej twarzy, podczas gdy pozostali pasażerowie sadowali się na miejscach, rozkładali stoliki i darmowe czasopisma, popijali nerwowo wodę z małych butelek. Wciąż czepiała się tego obrazu, kiedy potężna maszyna ruszyła po pasie, podskakując i trzęsąc się, nabierając prędkości przy wtórze coraz głośniejszego ryku silników, które pracowały z całą mocą. Gemma pragnęła krzyknąć ze strachu, ale potem hałas i wibracje zmalowały, samolot uniósł się w powietrze. Już nie mogła żądać, by ją wypuścili, ani rzucać się do drzwi.

- Jezu, miej nas w opiece - szeptała ulubione powiedzenie babci z trudnych czasów. Oczy miała zaciśnięte przez cały czas, gdy wzbijali się ponad chmury. Jeśli teraz umrę, powiedziała sobie, moje ziemskie problemy przestaną istnieć. Nie będę musiała pracować, sprzątać ani męczyć się z tymi idiotycznymi opakowaniami gotowych posiłków.

Aurora i Miriam trzymały ją za ręce, Sara natomiast na użytek innych pasażerów grała rolę stosunkowo normalnej, studiując plan Nowego Jorku, szukając najlepszych połączeń metra i wypisując tanie hotele w pobliżu szpitala.

Gemma postanowiła, że do końca podróży nie otworzy oczu, wyobrażając sobie Victorię zawiniętą w dziecinny kocyk. Malutką i doskonałą, pachnącą talkiem, bezpieczną. W końcu zgodnie z przewidywaniami Aurory zasnęła głęboko. Nie obudziły jej na posiłek (choć była smaczna wołowina z sosem) ani na kawę z herbatnikami, ani nawet na drinki, podane w plastikowych kubkach z rurkami i przyjemnie grzechoczącymi w środku kostkami lodu. Aurora w imieniu Gemmy

zamówiła jednak whisky z piwem imbirowym i wypiła ją jednym haustem - tak samo jak własną wódkę z tonikiem. Trochę się zdrzemnęły, choć głównie pilnowały Gemmy, w duchu dziękując swoim szczęśliwym gwiazdom, że nie są na jej miejscu. Nawet Miriam, która sprzedałaby duszę diabłu za tulenie do piersi niemowlaka, cieszyła się, że nie ma córki uzależnionej od heroiny.

Victoria na szpitalnym łóżku wydawała się szokująco blada, chuda i letargiczna. Patrzyły na nią z białego korytarza przez nieskazitelnie czystą szklaną ściankę. Miała na sobie jasnoniebieską szpitalną koszulę, która lekko zsunęła się z lewego ramienia, odsłaniając wytatuowanego motylka. W ostrzyżonych na krótko jasnych włosach były dwa różowe pasemka. Gemma dotknęła szkła, siłą powstrzymując się od płaczu. Wyschnie bardziej niż Sahara, jeśli nadal będzie płakać, skurczy się jak rodzinna. Sara poszła po krzesła, żeby mogły poczekać na lekarza, Miriam w automacie kupiła kawę, a Aurora przez cały czas obejmowała Gemmę.

Na razie nie jest tak źle, pomyślała ucieszona Aurora. W sumie doskonale ze sobą współpracowały. W sytuacjach kryzysowych działały jak zgrany zespół. A szpital też wygląda porządnie. Tak, panuje w nim idealny ład i człowiek czuje, że może zaufać personelowi.

A potem zobaczyły nadchodzącego lekarza, bardzo wysokiego, w szeleszczącym białym fartuchu, który kontrastował z jego czarną jak smoła skórą. Przeglądał notatki i Aurorę ogarnął strach. A jeśli wiadomości są złe? Lekarz miał bardzo ładne oczy. Malowało się w nich współczucie, a także zaskakujące rozbawienie. Może myślał, że zachowują się dziwnie, przychodząc tu stłoczoną, szepczącą grupką. Gemma jednak najwyraźniej się pozbierała.

- Witam, doktorze - powiedziała, wyciągając z wdziękiem dłoń. - Jestem matką Victorii.

Późnym wieczorem, tuż przed końcem dyżuru, Gemma znowu zamieniła kilka słów z lekarzem. Sądząc z akcentu, był Afrykańczykiem. Powiedział, że stan Victorii nieco się poprawił, co było wspianą wiadomością. Wciąż jednak miała koszmary senne, często wymiotowała, a także była trochę odwodniona i w rezultacie zdezorientowana. Gemma kiwała głową, dokładając starań, by sprawić wrażenie

kobiety dojrzałej i rozsądnej. W żadnym razie nie pozwolą zabrać jej Victorii do domu, jeśli uznają, że nie jest kompetentną matką.

- To wszystko było dla mnie strasznym szokiem, doktorze... - powiedziała z zaskakującym opanowaniem. Gemma odczytała jego nazwisko z identyfikatora, ale nie była pewna, czy prawidłowo je wymówi. Miała nadzieję, że nie poczuł się urażony, kiedy urwała.

- Nie było wcześniejszych oznak uzależnienia? - zapytał uprzejmie.

- Najmniejszych. Wszystko wskazuje na to, że to świeża sprawa. Musiała wpaść w złe towarzystwo. - A niech to, że też musiałam wyskoczyć z taką zaściankową uwagą, zganiła się w duchu.

- Co takiego, pani Hayes? Wpadła w co?

Nie pofatygowała się, żeby sprostować, iż jest panną Hayes. Ukradkiem zakryła lewą dłoń, tak by nie widział, że nie nosi obrączki. Nie chciała, by traktowali Victorię gorzej tylko dlatego, że jej rodzice nie są małżeństwem. Śmieszne, jakie idiotyczne poglądy tkwią nam w głowach, pomyślała ze smutkiem.

- Wpadła gdzieś, tak pani powiedziała?

- Nie, chodziło mi o to, że musiała ulec wpływom jakichś znajomych. Proszę się nie martwić, doktorze, zaopiekuję się nią po powrocie do Irlandii. Będzie dużo odpoczywać. Mieszkam w ślicznym domu nad brzegiem oceanu - dodała, starając się przedstawić Redstone tak, jakby to było Miami. - Tak się składa, że jestem powieściopisarką. Pracuję w domu, więc mogę zaopiekować się Victorią. To akurat nie będzie problemem.

- Istotnie - odparł lekarz, który pracował na dwie zmiany i nie miał czasu na czytanie powieści. Ale rachunek Victorii został uregulowany w całości, więc to dobry znak, pomyślał. Kobieta musi być wypłacalna, jeśli nawet wygląda trochę nie z tego świata z białymi, cienkimi włosami i śpiewną mową.

Wreszcie Gemmie pozwolono zobaczyć się z córką; zalała ją fala miłości i nogi się pod nią ugięły.

- Kochanie, słyszysz mnie? - szepnęła. - Mamusia jest przy tobie. Jestem tutaj.

Victoria otworzyła niebieskie, kocie w kształcie oczy i lekki uśmiech zaigrał na jej sinych ustach. Gemma pocałowała córkę w oba policzki, czoło i bezwładną dłoń leżącą na kołdrze.

- Przykro mi, mamó - powiedziała Victoria cichym, schrypniętym głosem. - Tak bardzo mi przykro.

- Cichutko, wszystko w porządku. Nie spodziewam się, że mi powiesz, co się stało. Teraz najważniejsze jest to, że żyjesz i czujesz się dobrze.

- Wyglądam okropnie.

- Tak, ty głupia dziewczyno! Ale niedługo poczujesz się lepiej.

- Chcę wrócić do domu, mamó.

- Wiem, że chcesz. Wrócimy do Redstone za dzień albo dwa.

- Zaarrestują mnie?

- Nie, nawet nie założą ci kartoteki, jeśli powiesz policji, kto sprzedał ci narkotyki.

- Kto tak mówi?

- Lekarz.

- I jeśli im powiem, mogę z tobą wrócić do domu?

- Zapewniono mnie, że tak.

- Na sto procent?

- Tak. Chyba że nie znasz nazwiska tego faceta. Nie mogą trzymać cię tu bez końca i wypytywać o jego nazwisko, słoneczko. Jeśli zajdzie potrzeba, wynajmę adwokata, nie przejmuj się tym, kotku. Nie pozwolę, żeby cię terroryzowali. Płacimy im za pobyt, nie wykorzystujemy ich w żaden sposób. A teraz odpocznij, moje kochanie.

Ścisnęła dłoń Victorii i odgarnęła jej różowe pasemka z oczu.

- Kocham cię, mamusiu - szepnęła Victoria i znowu zapadła w sen.

- Ja też cię kocham.

Serce Gemmy pulsowało miłością do pięknej córki. W tym momencie bez wahania i najmniejszych wyrzutów sumienia mogłaby zabić tłum dealerów. Zrobiłabym z nich miazgę karabinem maszynowym na trójnogu, jakie zawsze mają w wojennych filmach, syknęła w duchu. Myślała o strasznych bólach porodowych i

bezsennych nocach przez pół roku po narodzinach Victorii, o egzaminach, do których się uczyła, o bredniach, które wypisywała dla Mike'a przez tyle lat, a wszystko po to, żeby związać koniec z końcem i utrzymać siebie i dziecko. I w jednej chwili można to zniweczyć wartymi dziesięć albo dwadzieścia funtów suszonymi makowymi ziarenkami czy z czego tam, do diabła, produkują te świństwa. Och, niech na tych drani spadną wszelkie nieszczęścia!

Nie, nie, przestań, powiedziała sobie. Zamknij bestię w klatce i pomyśl o kojącym tunelu światła. To nie jest pora na przeklinanie zła panoszącego się na tym świecie. Teraz musi być silna, musi być najsilniejszą kobietą na świecie, żeby przewieźć córkę na magicznym dywanie (dobra, w klasie turystycznej Aer Lingus) do domu, położyć ją w łóżku, a potem kochać i chronić, amen.

Gemma powiedziała, że chce spędzić noc w szpitalu. Nie można było odwieść jej od tego pomysłu, więc Aurora zaproponowała, że zostanie z nią przez kilka godzin. Sara i Miriam dostały zadanie zrobienia zakupów w całonocnym sklepie oraz wynajęcia dwóch pokoi w hotelu. Wszystkie znowu się objęły (cała sytuacja błyskawicznie zmieniała się w telewizyjny program o szukaniu talentów, tak często obejmowały się i całowały), po czym Sara i Miriam wyszły na ciemną ulicę. Taksówkę, którą zatrzymały, prowadziła młoda Chinka, bardzo przyjazna i pomocna, co Sara uznała za dobry omen. Podała jej adres dość taniego hotelu oddalonego o cztery przecznice, w którym kiedyś mieszkała podczas sesji fotograficznej. Na szczęście niewiele miały do niesienia. W wielkim beżowym holu Sara zajęła się wynajęciem dwóch dwuosobowych numerów, podczas gdy Miriam zamówiła u dość atrakcyjnego barmana herbatę i ciastka do pokoju. Barman miał na imię Nigel; dowiedziała się tego z laminowanego identyfikatora przypiętego do czekoladowej kamizelki. Powiedziała mu, że to imię wcale do niego nie pasuje. (Był śmiesznie wręcz przystojny. Nieskazitelnie gładka skóra, kilka piegów na nosie, ostra linia szczęki.) Kiedy wchodziły po schodach, posłała mu całusa.

- Miriam Gormley, co się z tobą dzieje? - roześmiała się Sara. - Pewnie zaczynasz odczuwać skutki zmiany czasu.

- Nie myśl, że zapomniałam o naszej misji - powiedziała Miriam, kiedy dwie minuty później weszły do pokoju. - Ale muszę przed pójściem do łóżka wypić herbatę i zjeść ciastko, w przeciwnym razie nie zasnę.

- Mnie to pasuje - ziewnęła Sara. - Nigdy nie odmawiam herbaty. Myślisz, że powinnam oddzwonić do Abigail? Która jest teraz w Londynie?

- Nie mam zielonego pojęcia. Nie wiem nawet, czy jest dzisiaj, wczoraj czy jutro.

- Och, za bardzo jestem wykończona, żeby się nad tym zastanawiać. Zrobię to jutro - powiedziała Sara ze znużeniem, ściągając buty i skarpetki. - Wezmę teraz prysznic, zgoda? Całe ubranie przeszło mi tym szpitalnym odorem. Mam wrażenie, że oblaży mnie zarazki.

- Zgoda, idź, a ja będę nasłuchiwać, czy zbliża się nasza herbata.

Pukanie do drzwi rozległo się jakieś dziesięć minut później. Kiedy Miriam otworzyła, ucieszyła się na widok Nigela ze srebrną tacą w dłoniach. Uznała, że na pewno jest modelem, który czeka na angaż. Musiał nim być z tą szczęką i ślicznymi ciemnymi włosami ułożonymi w wijące się pasemka jak u surfera. Wyglądał na dwadzieścia pięć lat.

- Witam.

- Cudownie - westchnęła Miriam. I nie mówiła o herbacie z ciasteczkami.

Przez moment pomyślała o Patricku w starym wędkarskim ubraniu. Patrick miał pięćdziesiąt lat. Czasami mijały całe dni, a oni nawet słowem do siebie się nie odezwali. Dnie, które spędzał w swoim gabinecie, sam na sam z latarniami morskimi. To było ważniejsze od dyskusji o plemnikach i bankach spermy. Od wyjazdu na badania do dublińskiej kliniki z pastelowym dywanem w poczekalni. A przecież nie miał nic do roboty, prawda? Prowadził tylko tę nudną stronę w czasopiśmie wędkarskim, której tak się wstydziła, że przyjaciółkom wołała powiedzieć, iż żyją z odziedziczonego majątku.

- Dziękuję, Nigel. - Ostrożnie odebrała tacę i wręczyła mu pięciodolarowy napiwek.

- Dzięki - odparł i uprzejmie kiwnął głową.

- Od razu rzucamy się na herbatkę, takie jesteśmy. A dopiero przyjechałyśmy z Irlandii - roześmiała się Miriam, odrzucając śliwkowe loki z oczu.

- W takim razie witam w Nowym Jorku. Wygląda na to, że wy, Irlandczycy, nie możecie żyć bez herbaty. - Nigel uśmiechnął się i ruszył korytarzem. Miał ładne spodnie. Czarne i bardzo obcisłe.

- O tak, lubimy herbatę. Choć nie tylko - westchnęła Miriam żałośnie. Stopą zamknęła drzwi i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. - Czasami chciałobyśmy też zatopić zęby w twardych jak kamień udach, dokładnie takich jak twoje, Nigel, ale musimy zadowolić się herbatnikiem z otrębami.

Usiadła na łóżku i napiła się herbaty.

Pokój nie jest zły, pomyślała, rozglądając się dokoła. Barwna odbitka współczesnego obrazu przedstawiającego tulipany w czarnym wazonie. Czysta pościel, stłumione światło, nieskazitelne klawisze telefonu. Z roztargnieniem uznała, że hotele w Ameryce są doskonale utrzymane, choć ulicom czasami wiele można zarzucić. Ciekawe, czy Patrick już za nią tęskni. Był zły, kiedy mu powiedziała, że jedzie do Nowego Jorku, żeby pomóc Gemmie.

- Dobrze mu tak - powiedziała do tulipanów na ścianie. - On i tak nigdy ze mną nie rozmawia. Dobrze mu tak, że przez kilka dni będzie musiał sam troszczyć się o siebie. Głupi stary sukinsyn.

Nie mogła powstrzymać się od rozważania, jak też Nigel wygląda nago. A potem zupełnie nieoczekiwanie przydarzyło się jej coś najdziwniejszego w całym życiu: Miriam miała coś w rodzaju wizji. Niemal objawienie. Wyobraziła sobie tunel, o którym mówiła Sara, ze światłem jaskrawo płonącym na końcu. Dziecko! Może mieć dziecko w inny sposób, bez obnażania siebie i Patricka przed obcymi ludźmi z dublińskiej kliniki. Byliby tam jak dwa szczury laboratoryjne w szklanej klatce. Dwa szczury węszące za okruszkami pod trocinami. Gdyby jednak miała krótki romansik tutaj, w Wielkim Jabłku... Gdyby zdecydowała się na przelotny nowojorski związek z przystojnym młodym mężczyzną, na przykład z Nigelem... Gdyby jakoś zdołała uwieść tego oszałamiającego młodzieńca, może wróciłaby do domu z czymś jeszcze poza miniaturą Statuy Wolności. Hura! Odpowiedź na wszystkie jej modlitwy kryła się w obcisłych czarnych spodniach Nigela!

Pięć dni później sytuacja mniej lub bardziej się ustabilizowała. Gemma nie odstępowała Victorii, nocami śpiąc w fotelu przy jej łóżku. Personel pozwalał zostawać jej poza godzinami odwiedzin, ponieważ Victoria wydawała się o wiele bardziej odprężona, kiedy była z nią matka. Co rano Gemma brała szybki prysznic w przyległej łazience, przebierała się w czyste ubranie, które z hotelu przynosiła jej Aurora, przegryzała coś w szpitalnej kawiarence i znowu trzymała córkę za rękę. Sara i Aurora były jej wiernymi pomocnicami, robiły wszystko co w ich mocy, żeby ułatwić Gemmie życie.

Spakowały ubrania Victorii, wyprały je, uregulowały zaległy czynsz. Przynosiły do szpitala potrzebne rzeczy, pilnowały porządku w sali i dostarczały świeże kwiaty, pachnące chusteczki higieniczne, orzeźwiającą lemoniadę w puszkach i błyszczące magazyny. Naturalnie w większości prezenty pozostały nietknięte, chodziło jednak o to, by Victoria czuła się mniej jak wariatka, a bardziej jak normalna pacjentka.

Obecnie Victoria była bardziej przytomna i nawet zaczynała się odprężyć. Powiedziała policji, że kupiła heroinę od ulicznego dealera w ciemnych okularach. Średni wzrost, średnia budowa ciała, opalony - to mógł być ktokolwiek. Nie potrafiła nawet podać jego narodowości. Oczywiście nie uwierzyli jej. Zapowiedzieli, że wrócą. Zanim pozwolą jej opuścić kraj, utną sobie z nią pogawędkę. W tym momencie Gemma wyrzuciła policjantów z pokoju. Co za tupet, mówiła. Żeby tak straszyc biedną Victorię! Sugerować, że nigdy nie pozwolą wrócić jej do domu!

- Zapewniam, że gdyby moja córka posiadała jakieś informacje, przekazałaby je odpowiednim władzom. Dziękuję za pomoc.

Miriam jako jedyna nie zaangażowała się bez reszty w projekt przewiezienia Gemmy i Victorii do domu. Głównie wędrowała po mieście, a kiedy ją pytały, co robiła, odpowiadała, że chodziła po sklepach. Rozglądała się. Nie naciskały. I tak z góry wiedziały, że tak będzie, Miriam była marzycielką, liściem dryfującym na strumieniu życia. Trzeba tu stwierdzić, że w domu też niewiele robiła. Kręciła się po swoim lawendowym pałacu, przestawiając bibeloty, a w środy odwiedzała miejscowy dom dla seniorów. Może też robiła dla nich drobne zakupy. Często chodziła na mszę.

- Jeśli mam być absolutnie szczerą - szepnęła Aurora do Gemmy, kiedy pewnego wieczora siedziały obok siebie w szpitalnej sali i malowały Victorii paznokcie u nóg - to uważam, że przyjechała tu tylko po to, żeby odpocząć od Patricka. Wiem, że okropnie tak mówić, ale czy zauważyłaś, że ona prawie wcale o nim nie wspomina? Nie sądzę, by choć raz zadzwoniła do domu.

- Myślisz, że się rozstali? - zapytała Gemma, wbrew sobie zaciekawiona.

- Kto to wie, ale nie sądzę, żeby byli ze sobą szczęśliwi. Nie wyglądają na gruchające gołąbki, no nie?

- To prawda. Ale małżeństwa innych ludzi często są tajemnicą. Choć to niesamowite, że Miriam jako jedyna z nas ma męża - powiedziała Gemma. - Ja nigdy męża nie miałam, ty się rozwiodłaś, a Sara uciekła przed ołtarza. Nie bardzo nam wychodzi, co? Może to faktycznie jest koniec małżeństwa w zachodnim świecie, jak piszą w tym magazynie. - Wskazała grube czasopismo na stoliku. - Autor artykułu uważa, że za wiek, dwa nikt nie będzie zawierał małżeństw.

- Nie powinnaś wierzyć w te alarmistyczne brednie. Zresztą nikt się nie ostanie, jeśli globalne ocieplenie jeszcze wzrośnie. Nie będzie ani małżonków, ani osób samotnych. Nikogo nie będzie. Poza tym kogo to obchodzi?

- Mnie. Chcę, żeby Victoria, jej dzieci i dzieci jej dzieci żyły w przyjemniejszym świecie niż nasz. Bez wojen, rasizmu, biedy i zniewolenia.

- Taa, jasne, siostrze. Hej, wiesz, że Sara spotyka się z Ethanem Reilly? - zapytała Aurora z całą swobodą, na jaką mogła się zdobyć. Oczywiście trochę wstydziała się swojego upodobania do plotek, ale też gorączkowo się zastanawiała, czy między tą parą coś się dzieje.

- Naprawdę? Myślałam, że to zwykła znajomość. Są przecież rówieśnikami.

- Nie. Moim zdaniem coś się kroi. Wygląda na to, że Sara nie chce się śpieszyć. Z oczywistych powodów. Odwołany ślub i tak dalej. Ale wygląda na to, że jemu bardzo na niej zależy. Niedawno widziałam, jak razem szli przez wioskę. A ty ich widziałaś?

- Chyba ostatnio byłam bardzo zajęta. A może roztargniona. Choć nie wiem, czy on jest całkiem w porządku. Wiesz, był zamieszany w podejrzany pożar w wesołym miasteczku dziesięć lat temu.

- Tak? - zapytała z podnieceniem Aurora. - Chcesz powiedzieć, że ogień podłożono? Wiem, że był pożar, ale nie słyszałam, żeby ktoś go wywołał celowo.

- Niczego nie udowodniono. Ethan pracował tam jako złota rączka, a potem jedna karuzela się zepsuła i dziewczynka odniosła poważne obrażenia. Złamała sobie kręgosłup, przez dwa lata nie chodziła. Naturalnie przeprowadzono śledztwo. Zapowiadała się poważna sprawa sądowa o odszkodowanie. Mówiono, że dziewczyna dostanie pół miliona. A weź pod uwagę, że to było w czasach, kiedy pół miliona wciąż uważano za kupę szmalu. Tylko że zanim zbadano dokładnie karuzelę, wszystko spłonęło. Wesołe miasteczko zmieniło się w kupę popiołu i było po sprawie.

- Więc nie ustalono, co naprawdę się stało? - zapytała Aurora z namysłem.

- Nie. Rodzina rannej zgodziła się na pozasądową ugodę, a Patrick sprzedał ziemię firmie budowlanej.

- Patrick? Jaki Patrick?

- Patrick, mąż Miriam - powiedziała Gemma spokojnie. - Mieli tam zbudować osiedle, ale od tamtego czasu działka jest pusta. Wydaje mi się, że nowi właściciele chcą postawić hotel i spa. Tak czy owak, teraz rosną tam chwasty. O Boże, nie powinnam była ci tego mówić. Nie wspominaj o tym przy Miriam, dobrze? Jest bardzo wrażliwa w tej kwestii. Bo wiesz, po tej sprawie... a to był okropny okres... Patrick zdziwaczał i stał się samotnikiem. Wiesz, jaki on jest, raczej padnie trupem, niż się do kogoś odezwie. Nie zawsze taki był. Wcześniej lubił się bawić. Kiedy to się stało, Patrick miał czterdzieści lat, a Ethan dwadzieścia. Obiecuj, że słowem nie piśniesz, dobrze? Miriam mnie zabije, jak się dowie, że ci powiedziałam. Wprawdzie po tym, co zrobiłaś dla mnie i Victorii... no ale cóż, wiem, że lubisz poplotkować!

- Wcale nie! - zaprotestowała Aurora. Jej twarz wyrażała absolutne oburzenie.

- Ależ tak, kochasz ploteczki - roześmiała się Gemma; tak szczęśliwa nie czuła się od wielu lat. Usiadła prosto, zakreśliła buteleczkę z lakierem do paznokci, przeciągnęła się i szeroko ziewnęła. Czuwanie było szalenie męczące. - Przyznaj, umierasz z ciekawości, żeby dowiedzieć się wszystkiego o wszystkich w Redstone. Wiesz, co myślę? Po powrocie do Redstone powinnaś założyć klub książki. To znaczy przyjąć innych do tego, który obecnie mamy. Byłoby cudnie, gdyby ludzie mieli coś

do roboty, gdyby w wiosce znowu obudziło się poczucie wspólnoty. W gruncie rzeczy od lat nic się tam nie dzieje.

- Zastanowię się nad tym - odparła Aurora, już zadając sobie pytanie, ilu moli książkowych zdoła upchnąć w Ostatnim Rozdziale. - To może dobrze wpłynąć na interesy. - Jedno było pewne: jeśli istotnie poszerzy klub książki, a to „jeśli” było potężne, więc jeśli to zrobi, z całą pewnością nie zaprosi członków do domu. Nie, raz na zawsze skończyła z cieplarniami. I na pewno nie będzie nikogo zmuszać do wkładania historycznych kostiumów.

Tymczasem w hotelu Miriam i Nigel przycupnęli obok siebie na skraju łóżka w maleńkim pokoju na siódmym piętrze. Nigel mieszkał tu od około pół roku, kiedy to przeprowadził się do Nowego Jorku z Montany, ponieważ miał nadzieję dostać się na kurs aktorstwa. Albo do zespołu teatralnego. Niestety, większość tego czasu spędził na sprzątaniu ze stołów i czytaniu ogłoszeń. Był już gotów zrezygnować i wrócić na kursy wieczorowe, żeby zdobyć fach. Powiedział Miriam o swoich zamiarach. Uważał ją za bardzo ładną kobietę, choć nigdy dotąd nie spał z żadną w jej wieku. Ale zachwycała go jej piękna, jedwabista biała skóra. Mało Amerykanów miało równie jasną karnację, a u niej skóra była prawie przezroczysta i gładka jak aksamit. Miriam uprzedziła, że nie zależy jej na poważnym związku, tylko na wakacyjnym romansie. Nawet nie na romansie, tylko na przelotnym zauroczeniu, nowojorskiej przygodzie na jedną, może dwie noce. Nigel bardzo ją polubił. Nosiła śmieszne ubrania zdobione bogato szydełkowanymi kwiatkami i opowiadała niesamowicie zabawne rzeczy. Była jak wróżka z bajki. Współczesna, nie taka staroświecka z koroną na głowie i magiczną różdżką w dłoni. Ubierała się bardzo teatralnie. Jak Helena Bonham Carter, ale barwniej. Tak, lubił ją. Pochylił się ku niej i pocałował ją w nos. Wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś taki przystojny - powiedziała. - Powinieneś zapomnieć o aktorstwie i zostać modelem. Przepraszam, że się roześmiałam, ale tak się przy tobie czuję. Uważam, że to niezwykle zabawne, kiedy w prawdziwym życiu spotyka się mężczyznę takiego jak ty. Zwykle takich mężczyzn widuję tylko w kinie.

- Taki mam plam - powiedział Nigel, dotykając jej śliwkowych loków z czułością. Położyli się i Miriam znowu się roześmiała.

- Przepraszam. Nic na to nie potrafię poradzić.
- Śmiech jest dobry - odparł Nigel i pocałował ją w usta.

Rozdział 21

Wracaj do domu

Kiedy samolot dotknął irlandzkiej ziemi, lekko tylko podskakując, Gemma poczuła taką ulgę, że niemal nie krzyknęła z radości. Cudownie było znowu czuć pod stopami stały grunt, to uczucie było przyjemniejsze od najlepszego seksu w życiu. (O którym i tak nie warto było pisać do domu.) Wyobrażała sobie jednak, że nic nie może być tak dobre, nic nie może wywoływać takiej euforii jak to.

Tak, stan Victorii wciąż pozostawiał wiele do życzenia. Tak, była winna Aurorze kilka tysięcy funtów, ale to teraz nie miało znaczenia. Wyszły ze szpitala, po dziesięciu długich dniach obserwowania wskazówek pełzających po zegarze z nierdzewnej stali były daleko od rurek i szpitalnych kaczek. Przekonały policję, że Victoria nie wie nic, co pomogłoby im dokonać aresztowań. Zapłaciły za pozostałe dni leczenia Victorii. A Gemma tak bardzo przejmowała się wygodą Victorii w samolocie, że zupełnie nie myślała o tym, jak wysoko nad ziemią się znajdują. Że są zamknięte w klaustrofobicznym metalowym cylindrze. Wróciły do domu całe i zdrowe. Wróciły do domu.

Ludzie klaskali. No, niektórzy klaskali i dziękowali personelowi za gładki lot. Jakie to żenujące! Potem zapaliły się światła i wszyscy wstali ze swych wygodnych siedzeń, ziewając, przeciągając się i mrugając. Gemma tak długo cackała się z Victorią, aż biedna dziewczyna zaczęła błagać o litość.

Nie, nie potrzebuje płaszcza, wielkie dzięki. Tak, jest w stanie iść sama, Gemma nie musi jej podtrzymywać. Nie, nikt nie musi nieść jej torebki. Tak, wzięła już lekarstwa. Nie, nie włączyła komórki, zgubiła ją wiele tygodni temu. Wkrótce wyszły na parking, usiłując sobie przypomnieć, gdzie zostawiły samochód. Padał

ulewny deszcz, niebo pokrywały ciemne chmury. Na chodniku drozd dziobał porzuconą kanapkę.

- Witaj w domu - powiedziała z czułością Gemma do swojej jedynaczki. - Tak bardzo za tobą tęskniłam.

- Chodźmy, mamó - odparła Victoria, uśmiechając się serdecznie do matki.

- Cudownie, że akurat dzisiaj pada, prawda? - westchnęła Gemma. - Wie ktoś, jaki dziś dzień?

- Wiem na pewno, że jest środek lutego, moje kochane - ziewnęła Aurora.

- Dzisiaj są walentynki - oznajmiła Miriam z uśmiechem od ucha do ucha. - O ile grubo się nie mylę, dzisiaj są walentynki. - Oczy miała jasne i gwiazdziste.

Sara szła po plaży i myślała, że tęskniła za Różaną Chatą bardziej, niż kiedykolwiek podejrzewałaby siebie o to. Każdy tydzień spędzony w Redstone kosztował ją dwieście pięćdziesiąt euro, a teraz zmarnowała jedenaście dni na pobyt w Nowym Jorku. A co tam. Warto było zobaczyć przemianę Gemmy. Sama też trochę skorzystała, ponieważ nie myślała o Mackenzie tak często, jak się obawiała. W końcu miała jechać z nim do Nowego Jorku na wymarzony miesiąc miodowy.

Zadzwoiła komórka i Sara aż podskoczyła.

Telefonowała Abigail.

Sara od razu odebrała.

- Cześć - powiedziała krótko.

- Witaj, panno Quinn. Co właściwie porabiałaś przez ostatnie dni? Komórkę ciągle miałaś wyłączoną - powiedziała Abigail oskarżycielsko. - Dzwoniłam i dzwoniłam.

- Przepraszam, ale ciągle zapominam ją włączyć. Byłam w Nowym Jorku - odparła Sara dumnie.

- Co takiego? Miałaś tam sesję fotograficzną?

- Nie, przecież w tej chwili nie mam pracy, zapomniałaś? Pojechałam, żeby pomóc przyjaciółce. To tajemnica, więc przepraszam, ale nie mogę nic więcej powiedzieć. Choć miałam okazję przekazać twoją sławną radę o wizualizacji.

- Nowy Jork? Myślałam, że jesteś splukana?

- Bo jestem. Ktoś inny zapłacił za bilet.

- Rzeczywiście bardzo to tajemnicze. Posłuchaj, Saro, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Spotkałam kogoś.

- Och, poczekaj! Abigail, poczekaj chwilę, dobrze? Właśnie zobaczyłam kogoś, z kim muszę porozmawiać. Oddzwonię później, dobrze?

- Dobrze.

- Cześć.

Sara wyłączyła telefon i pośpieszyła ku Ethanowi, który szedł plażą w jej kierunku.

Ethan rzucił się do biegu, porwał ją w ramiona i kilka razy okręcił w powietrzu, a potem namiętnie pocałował. Tym razem odwzajemniła pocałunek z radością. Nie dlatego, że była samotna lub przestraszona, ale dlatego, że bardzo go lubiła i że były walentynki.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem - powiedział, spoglądając głęboko w połyskliwe zielone oczy Sary. Uśmiechał się szeroko i mocno ścisnął ją za obie dłonie.

- Ja też za tobą tęskniłam - roześmiała się zadyszana. - Już myślałam, że wrzucisz mnie do wody! Hej, lepiej tego nie powtarzaj, jestem cięższa, niż na to wyglądałam.

- Jesteś śliczna jak obrazek. Jak poszło?

- Nieźle. Victoria jest w domu na rekonwalescencji. Myślę, że będzie potrzebowała mnóstwo uwagi i troski.

- O tak, bez dwóch zdań. Ale to wspaniale, że jest w domu. Nie martw się, nikomu nic nie powiedziałem. Jeśli ktoś pytał, mówiłem, że wszystkie cztery wyjechałyście na zakupy. Dom Gemmy i księgarnia Aurory są w porządku, zaglądałem tam od czasu do czasu.

- Byłeś bardzo zajęty!

- Tak. Posłuchaj, Saro, zastanawiałem się, jak mogłabyś zarobić trochę pieniędzy, i wybrałem kilka widoków do sfotografowania.

- Co to znaczy?

- Mogłabyś robić zdjęcia reklamujące naszą okolicę. Widziałem artykuł w gazecie, prosili o nadsyłanie prac.

Sara nie spodziewała się, że miejscowa gazeta będzie w stanie wybawić ją z nędzy, ale Ethan z wielkim entuzjazmem podchodził do konkursu i nie miała serca go rozczarować. Poza tym jej konto bankowe było puste, więc w najbliższym czasie i tak musiała coś znaleźć.

- Miałam zamiar zapytać o pracę w cukierni - powiedziała, kiedy szli plażą, trzymając się za ręce. - Równie dobrze mogę zacząć sprzedawać lody, zamiast tylko je zjadać.

Aurora i Gemma zobaczyły ich, kiedy otworzyły okna, żeby przewietrzyć dom po podróży do Nowego Jorku.

- Widzisz, mówiłam ci! - oznajmiła triumfalnie Aurora. - Mówiłam ci, że coś się kroi. Nie możesz zaprzeczyć, że to był poważny pocałunek.

- Cóż, mam tylko nadzieję, że ona wie, co robi - odparła Gemma. - Bardzo lubię Sarę. Bez niej chyba nie wsiadłabym do tego samolotu.

- Czy to znaczy, że wyleczyłaś się ze strachu przed lataniem? - zapytała Aurora, trzępiąc poduszki na łóżku Victorii. Zaraz jednak zrezygnowała z tego zajęcia, wyczuła bowiem, że Gemma sama wolałaby zrobić to dla córki.

Gemma uśmiechnęła się do niej, rozumiejąc znaczenie tego gestu.

- Wcale się nie wyleczyłam. Nigdy więcej nie polecę samolotem! Powtarzałam to sobie przez całą drogę do domu. Nigdy, przenigdy tego nie zrobię! - Roześmiała się serdecznie, wygładzając pościel.

Aurora pomyślała, że przyjaciółka wygląda na młodszą o wiele lat. Zeszły na dół, by wpuścić szklarza, który przyszedł wstawić szyby. Aurora powiedziała, że teraz wróci do siebie i weźmie długą kąpiel.

Gemma po raz dziesiąty podziękowała jej za pożyczkę, a po wyjściu przyjaciółki zaczęła przyrządzać smaczną potrawkę z jagnięciny na kolację; niezbędne składniki w drodze z lotniska kupiła w supermarkecie. Victoria musi przytyć co najmniej dziesięć kilogramów, zanim różany blask wróci na jej niegdyś piękną skórę. Gemma nie chciała, żeby córka żywiła się odgrzewanymi w mikrofalówce gotowymi potrawami. Wręcz przeciwnie, czuła, że przyjemność sprawi jej czasochłonny proces obierania i krojenia warzyw oraz smażenie obtoczonych w mące kawałków mięsa, ponieważ każda minuta spędzona w kuchni zostanie dobrze

wykorzystana. Może nawet kupi naczynie do gotowania na wolnym ogniu. Będzie je mogła rano napełnić smacznymi składnikami, potem o nim nie myśleć, a wieczorem mieć domową kolację. To byłoby niemal jak jedzenie na mieście.

Otulona ciepłym pledem Victoria leżała na sofie w salonie i oglądała telewizję. Jak w dawnych czasach. Gemma była w siódmym niebie, kiedy nastawiała wodę na herbatę. Pomyślała radośnie, że są jak dwa ptaszki w gniazdku. Kto wie, kiedy Victoria znowu wyfrunie w świat? Dopóki ten dzień nie nadejdzie, Gemma zamierzała cieszyć się każdą wspólnie spędzoną chwilą.

Rozdział 22

Wybuchowy chłopiec

Miriam i Patrick nie rozmawiali ze sobą od trzech dni. Niegdyś przystojna twarz Patricka była teraz bardziej przygnębiona i zatroskana niż zwykle. Zostawił bukiet z różowych i białych kwiatków oraz walentynkową kartę na kuchennym stole, ale Miriam ledwo je zauważyła i nawet nie zadała sobie trudu, by otworzyć kopertę. Przestało jej zależeć na kartach i kwiatkach, miała po uszy łagodnych uścisków i uprzejmych rozmów o lawendowym domu. Pragnęła dziecka, a przynajmniej mężczyzny kochającego i spontanicznego, który zwracałby uwagę na jej słowa. Pomyślała o swoim nowojorskim kochanku, o tym, jak powoli i intensywnie kochali się w tym maleńkim hotelowym pokoju. Omal nie dostała orgazmu, kiedy tylko całował ją w szyję. A potem, w ciągu dwu godzin, miała trzy orgazmy. Wzięli wspólnie prysznic, Nigel umył jej włosy i nasmarował całe ciało balsamem. To było najbardziej ekscytujące popołudnie w całym życiu Miriam. Prawdę powiedziawszy, z przyjemnością by je powtórzyła, ale nie chciała ryzykować. Dla Nigela to była jednorazowa przygoda i nie zamierzała dopuścić, by cokolwiek zaczął podejrzewać. Nie chciała, by sobie uświadomił, że wykorzystuje go tylko jako dawcę spermy, dlatego niestety był tylko ten jeden, magiczny raz. Później przez cały wieczór leżała z nogami na poduszce i modliła się o dziecko.

Nigel był idealnym okazem mężczyzny. Muskularny brzuch, idealnie rzeźbione nogi, twarde ramiona.

Całował cudownie, ledwo dotykając jej ust, które rozpływały się z pożądania. Ciekawe, gdzie się tego nauczył? A może mężczyźni po prostu tacy są? Jeśli mają normalne dzieciństwo bez nadmiaru tragedii, to może na takich wyrastają? Bez oporów zapewniają samotnej kobiecie rozkoszny seks jak z marzeń?

Czy z Patrickiem jest coś nie tak? Czy był jakiś naprawdę ważny powód, że tak się od niej odizolował? Przez lata usiłowała do niego dotrzeć, ale on nie należał do ludzi gadatliwych. Lata minęły niepostrzeżenie, piasek przesypywał się w klepsydrze i Miriam zaczynało brakować cierpliwości.

Opuszczając hotel, dała Nigelowi trochę pieniędzy. Dwa tysiące dolarów w gotówce w niepodpisanej karcie, ozdobionej małym serduszkim z brokatu. Kiedy przyjaciółki nie słyszały, powiedziała mu, że to nie jest zapłata za tamto cudowne popołudnie, w żadnym razie. Chciała mu tylko pomóc w przeżyciu kolejnych kilku tygodni w Nowym Jorku, żeby mógł pójść na przesłuchania i może trafić na swoją wielką szansę, zanim zdecyduje się wrócić do Montany. Poza tym i tak była przygotowana na zapłacenie wielu tysięcy za zapłodnienie in vitro. Ten sposób był o wiele przyjemniejszy.

Biegała teraz po domu, porządkując rzeczy, które poprzestawiał Patrick. Tymczasem Patrick zaszył się w gabinecie, a potem do wieczora był na rybach.

Kiedy Miriam usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych, zeszła na dół i wreszcie otworzyła kartę. Była to prosta, staroświecka kartka walentynkowa z podpisem „Z wyrazami miłości, Patrick”. I nic poza tym. Miriam wyrzuciła ją do kosza, zaparzyła herbatę i zrobiła sobie potężną kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem oraz frytki. Jak w Nowym Jorku. Do terminu miesięczki pozostało siedem dni.

Rozdział 23

Im bardziej mnie ignorujesz, tym jestem bliżej

Kiedy zadzwonił telefon, Victoria od razu wiedziała, kogo usłyszy w słuchawce. Była w Redstone od tygodnia i z niepokojem myślała, czy on spróbuje się z nią skontaktować. Może to była tylko intuicja, ale wyczuwała w pokoju czyjąś obecność. Nie odebrała telefonu, tylko wyprostowana jak struna stała koło sofy i czekała, aż nienawistny dźwięk ucichnie. Dziesięć minut później rozległo się głośne pukanie do drzwi. Także je zignorowała. Może to tylko listonosz przyniósł mamie maszynopis do korekty, myślała przestraszona. Albo nowe książki, które zamówiła w Internecie? Serce Victorii waliło jak młot.

A potem tylne drzwi się otworzyły i ktoś cicho wszedł do kuchni. Mama musiała zapomnieć je zamknąć. Choć to idiotyczne, następną myślą Victorii było to, że babka Gemmy wróciła, żeby je straszyć. Albo przynajmniej przekonać się, jak sobie radzą. Pod pewnym względem byłoby to całkiem miłe. W tej chwili sto razy wolałaby ujrzeć ducha niż Buddy'ego. Ale potem ogarnął ją lodowaty chłód i nie musiała się oglądać, by wiedzieć, kto to jest.

- Myślałaś, że uda ci się ode mnie uciec? - powiedział niemal szeptem.

Znieruchomiała.

- Nie przywitasz się? Nie pocałujesz mnie? - zapytał.

Victoria odwróciła się i zobaczyła bladą jak zwykle twarz Buddy'ego, jego szczupły kark pokryty znajomym tatuażem. Początkowo wydawał się jej atrakcyjny i niebezpieczny, teraz natomiast przywodził na myśl plamy atramentu na dnie starej szkolnej torby. Buddy był brudny i wygnieciony. Miał na sobie zniszczony filcowy kapelusz i biały podkoszulek, dwurzędowy granatowy płaszcz, modną bluzę, cienkie czerwone szelki, obcisłe dżinsy, szkolny krawat w pasy i czerwone tenisówki. Heroinowy szyk. Buddy'emu (prawdziwe nazwisko Stuart Holly) wiele można było

zarzucić, ale nie to, że nie zwraca uwagi na modę. Musiała mu to przyznać. A poza tym kto jak nie heroinista może sobie pozwolić na obciste dzinsy?

- Jak mnie znalazłeś? - szepnęła. - Nie mówiłam ci, że wracam do domu.

- Kiedy wyszłaś ze szpitala, pojechałem za tobą na lotnisko. Musiałem wiedzieć, dokąd się wybierasz. Przepraszam, że cię nie odwiedziłem, ale podejrzewałem, że gliny będą tam węszyć. Nie powinnaś była wyjeżdżać z Nowego Jorku bez pożegnania.

- Buddy, posłuchaj, mogę to wyjaśnić - powiedziała Victoria czując, jak opuszczają ją siły. Był w jego oczach stalowy błysk, którego wcześniej nie widziała.

- Chyba wiem, co się stało, kochana Vicky. Postanowiłaś, że uciekniesz do mamusi, więc wypięłaś się na mnie i nawet się nie pożegnałaś.

- Nie, w szpitalu groziła mi śmierć. Musiałam wrócić do domu, i tak by mnie deportowali. Przychodzili policjanci, żeby mnie przesłuchać, i w ogóle. Byli dwa razy. Wypytywali mnie o wszystko.

- Podałaś im moje nazwisko?

- A jak myślisz? Jasne, że nie.

- Grzeczna dziewczynka. - Usiadł na sofie, nogi opierając o stolik. - Ładną masz metę.

- To nie mój dom, tylko mojej mamy.

- Ale pewnego dnia będzie twój.

- Słuchaj, Buddy, mama w każdej chwili wróci, wyszła tylko po frytki i mleko. Lepiej już idź.

- Wybacz, dziecinko, ale nigdzie się nie wybieram. Leciałem dziewięć pieprzonych godzin, żeby się tu dostać, a potem musiałem siedzieć w pieprzonym autobusie, aż zdrętwiała mi dupa. Mogłabyś przynajmniej zaprosić mnie na kolację.

- Musisz wyjść, i to natychmiast. Mama powiedziała, że zadzwoni na policję, jeśli odezwie się któryś z moich nowojorskich przyjaciół. Ona nie żartuje, Buddy. Jest bardzo nieprzyjemna, kiedy się zdenerwuje. - Victoria podeszła do Buddy'ego, żeby zepchnąć jego brudne buty z nieskazitelnego stolika. Kiedy się pochyliła, uderzył ją mocno w twarz. Oszołomiona przewróciła się i nabiła sobie siniaka na ramieniu o kant. Nie mogła w to uwierzyć. Tak, Buddy był niewiarygodnie zaborczy, zazdrosny i

podejrzliwy. Ciągłe się kłócili, bo oskarżał ją, że ogląda się za innymi chłopcami. Ale nigdy dotąd jej nie uderzył, nawet kiedy był na haju.

- Przykro mi, mała - powiedział łagodnie, jakby nic się nie stało - ale nie możesz tak po prostu mi kazać, żebym sobie poszedł. Nie możesz, skoro przejechałem taki szmat drogi, żeby się z tobą zobaczyć. Jestem twoim chłopakiem, pamiętasz? Nie poderwałem cię na ulicy na jedną noc. Zacznij okazywać mi szacunek, a od razu lepiej będzie się między nami układać. Okay?

- To ja decyduję, kto może wejść do tego domu - dobiegł z kuchni zadyszany głos. Oboje odwrócili się i zobaczyli Gemmę, która w ręce wciąż trzymała torbę z zakupami. - Natychmiast się stąd wynoś. Nie podobasz mi się - powiedziała do Buddy'ego. Dostrzegając czerwony ślad na policzku Victorii, wyprostowała się jak struna.

- On cię uderzył? - zapytała spokojnie.

Victoria nie odpowiedziała, ale jej rumieniec był aż nadto wymowny.

- Uderzył cię?

- Mamo, proszę, nie rób scen!

- Zaraz zrobię pieprzoną scenę!

Gemma upuściła torbę i sięgnęła po nóż. Jednym szybkim ruchem stanęła pomiędzy córką a tym nowym zagrożeniem w ich życiu. Człowiekiem, na którego widok wróciły wspomnienia o własnych młodzieńczych występkach. Najwyraźniej Victoria po matce odziedziczyła upodobanie do określonego typu mężczyzn. Gemma też lubiła złych chłopców. Ale na nieszczęście dla tego złego chłopca dawno już zmądrzała.

- Mówię ci - warknęła - nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż wypatroszenie cię jak ryby. Zabieraj swój kościsty tyłek z mojego domu i nigdy więcej tu nie wracaj, bo przysięgam, nie ręczę za siebie. Jeszcze raz dotkniesz moją córkę, nawet na nią spojrzysz, a nie wiem, co ci zrobię.

Buddy wolno wstał, po czym ruszył do holu, mrugając znacząco do Victorii.

- Znasz drogę do wyjścia - powiedziała Gemma.

- Wróć - szepnął z progu, posyłając Victorii całusa. - Spóźnione życzenia walentynkowe.

Po jego wyjściu Gemma zamknęła na klucz wszystkie drzwi, pozamykała też okna i zaciągnęła zasłony.

- To on namówił cię na narkotyki, Victorio? - zapytała, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie jest w nastroju na wymijające odpowiedzi.

- Tak.

Tyle dobrze, że Victoria się tego wstydzi, pomyślała Gemma, wciąż roztrzęsiona po incydencie.

- Dlaczego pozwoliłaś, żeby zrobił ci taką wielką krzywdę? Muszę to wiedzieć, Victorio.

- Kochałam go.

- Jezu Chryste. I tylko tyle masz do powiedzenia? Co się stało z feminizmem? To najsmutniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam, Victorio. Naprawdę kochałaś tego śmiecia? On nie przepracował w życiu ani jednego dnia, prawda? Takie sprawia wrażenie.

- Wiem, przykro mi.

- Wciąż go kochasz? Czy ja marnuję swój czas? W głowie mi się nie mieści, że mogłaś słuchać tego idioty.

- Chyba wciąż trochę go kocham, ale też nienawidzę. Nienawidzę go bardziej, niż kocham. Zostawił mnie na podłodze na tej imprezie i poszedł po coś do jedzenia. Mogłam umrzeć. Ktoś mógł na mnie napaść. Nigdy więcej nie chcę go widzieć.

- Dzięki Bogu! Daj słowo, że mówisz prawdę.

- Daję słowo, mamó. Skończyłam z narkotykami. I z nim, z chłopcami takimi jak on. Popatrz, w jakim jestem stanie, po prostu nie nadaję się do takiego życia. Brałam tylko przez kilka miesięcy i o mało wszystkiego nie straciłam. Trzeba być prawdziwym twardzielem, żeby brać. Jestem delikatna, nie mogę przez wiele dni nie jeść ani się nie myć. Mówię ci prawdę, mamó, i proszę, odłóż ten nóż, przerażasz mnie.

- Och, przepraszam, zapomniałam o nim. Dobra, przesłuchanie skończone. Więcej nie będziemy do tego wracać. Ale jeśli on znowu się tu pokaże, wzywam policję, rozumiesz?

- Dobrze.

- I od tej chwili zawsze sprawdzaj, czy drzwi są zamknięte.

- Dobrze.

Jakimś sposobem obie wiedziały, że Buddy'ego jeszcze zobaczą.

- Mamo, byłaś taka odważna! - westchnęła Victoria, rzucając się Gemmie w objęcia.

- Dziękuję, kochanie - odparła Gemma, wyciskając głósnego całusa na czubku głowy Victorii. - Może jestem meduzą na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, ale zapewniam, że na suchym lądzie zmieniam się w rekina.

Rozdział 24

Twoje pierwsze zdjęcie

Sara spojrzała w obiektyw i przesunęła aparatem wzdłuż horyzontu. Zrobiła kilka ujęć po to, żeby zorientować się w skali.

- Rzecz w tym, Ethan, że już wcześniej widziałam tego rodzaju panoramy - powiedziała; zależało jej, by zabrzmiało to taktownie. Spoglądała w dół na wioskę, jasnoszarą plażę i ciemnozielony ocean. - Wiesz, ten krajobraz jest oszałamiająco piękny, ale myślę, że mnie potrzeba czegoś innego. Czegoś z narracją.

- Narracją?

- Tak, z czymś, co opowiada historię.

- Jak zdjęcie może opowiedzieć historię? - zapytał Ethan ze szczerym zainteresowaniem. - Przecież przedstawia tylko jeden moment?

- Na tym polega istota fotografii - roześmiała się, bo jego zdumienie wydało jej się miłe. - Tego my, fotografowie, szukamy codziennie. Widok jest cudowny, ale też beczasowy i w pewnym sensie pozbawiony wszelkich emocji.

- Chcesz powiedzieć, że jest nudny? - uśmiechnął się Ethan.

- Ależ nie, tylko za mało aktualny, chyba też za mało osobisty. Potrzebuję więcej szczegółów.

- Rozumiem.

- Ale wspinaczka tutaj była cholernie dobrym ćwiczeniem - dodała Sara, chowając aparat do plecaka.

Napiła się wody z butelki i podała ją Ethanowi. Kiedy on też się pokrzepił, uśmiechnęli się do siebie.

Ruszyli w dół zbocza, ślizgając się na wilgotnej, pokrytej kamyczkami ścieżce. Powietrze było kryształowo czyste. Kiedy Sara nabrała haust w płuca, miała wrażenie, że wypycha ono londyński smog.

- To takie piękne miejsce - powiedziała ze smutkiem. - Nie chcę jeszcze wracać do domu.

- Więc nie wracaj.

- Zobaczymy.

- Pytałaś o tę pracę w cukierni?

- Tak. Powiedzieli, że będą kogoś potrzebowali dopiero w maju - westchnęła Sara. - Byli bardzo mili. Obiecali, że dadzą mi znać, gdyby pojawił się wakat.

- Ale ty i tak jesteś zbyt utalentowana do takiej pracy.

- Żebracy nie mogą wybierać i tak dalej. Hej, poczekaj, Ethan, co tam jest? - Wskazała niewielkie pole u stóp góry, na którym pod kępą starych ciemnych drzew wznosił się stos barwnych śmieci. - Czy to złomowisko? Wygląda, jakby pełno tam było starych samochodów. To są traktory? Te żółte i różowe pojazdy.

- To nic - odparł cicho Ethan. - Tylko stary złom.

- Ale popatrz, są takie jaskrawe. Z bliska mogą okazać się bardzo interesujące. Zejdziemy i przyjrzymy się dokładniej?

Odwróciła się ku niemu i zobaczyła, że na jego twarzy maluje się niepokój.

- Co się stało, Ethan? - zapytała. - Powiedziałam coś, co cię zirytowało?

- Posłuchaj, ten złom na dole jest z wesołego miasteczka. Starego wesołego miasteczka w Redstone. Leży tu od mniej więcej dziesięciu lat, kiedy wesołe miasteczko zostało zamknięte.

- Ale w czym rzecz? Widzę, że jesteś zdenerwowany. Nie jestem ślepa.

- Chodzi o to... wiesz, ja tam pracowałem. Nie lubię myśleć o przeszłości.

Czuję się stary.

- Pracowałeś w wesołym miasteczku? Jakie to seksowne! No, opowiedz mi o tym. Bo wiesz, Aurora kiedyś wspomniała, że w wiosce było wesołe miasteczko, ale potem z jakiegoś powodu zarzuciłyśmy temat.

Zaczęło mżyć, kiedy Sara zbiegła z góry ku kolorowym śmieciom. Ethan jakoś dziwnie nie chciał rozmawiać o dawnym wesołym miasteczku. Znowu zapytała go o szczegóły.

- Było wielkie? Dlaczego przestało działać? Co tam robiłeś?

- Naprawdę nie ma nic do opowiadania. Stało tu średniej wielkości zwykłe wesołe miasteczko, miało około dwudziestu atrakcji, było w nie najlepszym stanie, w świetle dnia nie wyglądało najlepiej. Ja obsługiwałem elektryczne samochodziki i zajmowałem się naprawami. W gruncie rzeczy byłem sprzątaczem. A potem miasteczko spłonęło.

- Co się stało?

- Nikt tego nie wie.

Sara pokonała ostatnią część wąskiej ścieżki, po czym zaatakowała porośnięte krzewami pola. Ethan podążał za nią. W końcu doszła do żeliwnej bramy, o którą się oparła, żeby złapać oddech.

- Z całą pewnością nie robię się młodsza - zażartowała.

- Latem zamierzam odzyskać kondycję, niezależnie od miejsca, w którym wyląduję. W głowie mi się nie mieści, że brakuje mi sił na pokonanie takiej górkę i na półgodzinny marsz po płaskim.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona. Popatrz, to tylko złom. Śmieci.

Ale Sara widziała o wiele więcej niż tylko złom. Widziała konie z karuzeli, pięknie pomalowane i prawie jak żywe, z ogromnymi czarnymi oczami, które zdawały się płonąć uczuciem. Widziała rozwiane złote grzywy i ogony oraz złote pałaki sterczące na smukłych końskich plecach. Miejscami były bardzo zwęglone, ale obiektyw wciąż mógł uchwycić ich piękno. W stosie znajdował się też śliczny malowany szyld z napisem „Witamy w Redstone” wykonanym pełnymi zawijasów żółtymi i czerwonymi literami, w jaskrawym cyrkowym stylu.

- Właśnie to nazywam możliwością narracji fotograficznej - oznajmiła wesoło. Wdrapała się przez bramę, uważając na cenny aparat w plecaku, po czym zaczęła

przyglądać się różnym przedmiotom, schylając się, by uzyskać lepszy kąt, stając wyżej, by spojrzeć na wybrany obiekt z góry.

- Uważaj - ostrzegł Ethan, kiedy o mało nie spadła z samochodziku.

- Wiesz co? Olśniło mnie. Tak, wpadłam na pomysł. Te konie są niezwykle, zgadzasz się? - Przechyliła się przez resztki stoiska z prażoną kukurydzą. - Popatrz na wykonanie, wyglądają jak żywe.

- Skoro tak mówisz - mruknął Ethan. Odwrócił się i odszedł na kilka kroków z głową pełną mrocznych myśli. Zdawał sobie sprawę, że powinien teraz o wszystkim jej powiedzieć. To idealna pora, a jak to robi, może wreszcie przestanie się martwić i zdoła przespać noc. Ale w jakie słowa ująć wyznanie, że kiedyś był bezpośrednio wpłątany w przypadek podpalenia?

- Hej, Ethan - powiedziała Sara i Ethan uniósł głowę. W tej samej chwili nacisnęła guzik na aparacie. - Twoje pierwsze zdjęcie!

- Ach, nie rób tego! - jęknął. - Nie jestem fotogeniczny.

- To się dopiero okaże - odparła ze śmiechem, idąc ku niemu i równocześnie oglądając zrobione fotografie. - Aparat jest cyfrowy, więc możesz od razu się zobaczyć.

- Nie, dziękuję.

- Proszę, zdjęcie jest rewelacyjne. Wyglądasz wspaniale na tle gór. A teraz przyjrzyjmy się koniom... O tak, dziecinko! Są super... widzisz, jak perspektywa została skrócona przez ten nieostry pałąk?

- Tak, bardzo ładne. Ale wciąż widać przypalone miejsca na pysku - zauważył.

- To właśnie jest moja opowieść - odparła niezwykle zadowolona ze swej porannej pracy. - Wyglądają nawet lepiej w czerni i bieli, choć z drugiej strony potrzebny mi kolor, żeby uwypuklić przypalone fragmenty. Hej, Ethan, wiesz co? Sfotografuję wszystko, co tu jest, a także tę zrujnowaną salę taneczną i drewniany leżak przypięty łańcuchem do płotu przed domem Gemmy, który najwyraźniej stoi tam od wieków. Zrobię fotoreportaż o miejscowości nadmorskiej, którego tematem przewodnim będzie upadek tradycyjnych wakacji. Wiesz, człowiek jedzący rybę z frytkami w deszczu, samotna mewa na bramce przed moło, puste plaże w środku lata?

- Sara, posłuchaj, od tygodni dręczy mnie pewna myśl i bardzo chciałbym pozbyć się tego ciężaru, jeśli się zgodzisz.

- Strzelaj. - Sara wytarła krople deszczu z obiektywu. Dłonie miała zmarznięte i schowanie aparatu do futerału sprawiało jej trudność. Spojrzała na Ethana wyczekująco. - O co chodzi?

- O coś, co zdarzyło się dziesięć lat temu. Dlatego nie poszedłem z tobą do łóżka tamtej nocy. W sylwestra, pamiętasz?

- Pamiętam.

- Chociaż czułem wielką pokusę, niech Bóg ma mnie w opiece, chociaż pora była nieodpowiednia ze względu na to, co przeszłaś ze swoim narzeczonym. Mimo to trudno mi było powiedzieć „nie”.

- Ethan, nie ma sprawy, możesz mi wszystko powiedzieć. Wyrzuć to z siebie, szczegółami zajmiemy się później. Nie odgryzę ci głowy, nie jestem taka.

- No dobra, niech tam... Widzisz, mam głębokie blizny na plecach i boku. Doznałem obrażeń w pożarze. Kiedy wesołe miasteczko zaczęło płonąć, trafiłem w sam środek ognia i poważnie mnie poparzyło. Nie chciałem, żebyś widziała mnie bez ubrania. Żebyś zobaczyła blizny.

- Och, mój drogi! Jestem pewna, że nie byłabym aż tak wstrząśnięta.

- Byłabyś.

- Nie.

- Tak czy owak to nie koniec, choć nie wiem, czemu ci o tym mówię, Saro. Istnieją szanse, że okoliczności tej sprawy nigdy nie wyjdą na światło dzienne. Ale przez cały czas o tym myślę. Więc może powodem jest to, że... cię kocham.

- Och, Ethan, to niesamowite i cudowne, że tak mówisz, ale wciąż musimy lepiej się poznać.

- Wiem, to żalosne, ale tak czuję. Dla mnie to była miłość od pierwszego wejrzenia. Zakochałem się w tobie, kiedy w pubie upuściłaś wszystkie swoje rzeczy. Więc muszę ci powiedzieć, co stało się w wesołym miasteczku, na wypadek gdyby ktoś mnie uprzedził i przestałaś mi ufać. Nie chcę mieć przed tobą sekretów. Przez tak długi czas, dziesięć lat, trzymałem to tylko dla siebie.

- Wracajmy do chaty - powiedziała, kładąc palec na jego cudownych obrzmiałych wargach. - Usiądziemy sobie przy kominku, rozgrzejemy się i wszystkim opowiesz.

Kiedy szli do Różanej Chaty, zadzwoniła znowu Abigail, ale Sara uznała, że to nie jest odpowiednia pora na miłą pogawędkę o nowym facecie, którego Abigail poznała w Londynie. Nie odebrała telefonu. Ethan wziął ją za rękę i resztę drogi przebyli w milczeniu.

Godzinę później małe tipi z torfu z trzaskiem zajęło się ogniem, zasłony zostały zaciągnięte, herbata zaparzona.

- Dobrze - powiedziała Sara łagodnie, kiedy niezręcznie usiedli obok siebie na sofie. - Teraz jestem gotowa, mów wszystko, od początku do końca.

- To było dziesięć lat temu w walentynki. Mieliśmy dobry dzień: przyszło dużo gości, mimo że po południu padało. Jak zwykle pracowałem w namiocie z samochodzikami, niektóre zablokowały się przy barierze. A potem Patrick Gormley powiedział, że wieczorem nie muszę sprzątać. Idź do domu, takich słów użył.

- Mąż Miriam? - zapytała zdumiona Sara.

- Tak, był właścicielem wesołego miasteczka, nie powiedziała ci? Gemma Hayes też o tym nie wspomniała?

- Nie.

- No dobra, rozumiem, dlaczego wołały o tym nie mówić. W każdym razie Paddy (tylko ja tak do niego mówiłem) był właścicielem. To była rodzinna firma, założona w latach pięćdziesiątych przez jego dziadka. Kiedy zacząłem u niego pracować, miał miasteczko dopiero od kilku lat. Znałem się na urządzeniach mechanicznych i tak dalej, a tam było sporo roboty. Oczywiście lunapark zamykano na zimę, ale Paddy zawsze go otwierał w okolicy walentynek, bo wpadali goście, którzy szli na tańce. A potem znowu zamykał do maja.

- Na razie wszystko łapię.

- Okay. Wróciłem do domu około ósmej, kiedy ostatnie niedobitki poszły na tańce. Wszystko było przysypane opakowaniami po frytkach i niedopałkami, ale Paddy był szefem, więc go posłuchałem. Założyłem, że chce się mnie pozbyć; wcześniej mi powiedział, że na tańcach zamierza oświadczyć się Miriam.

- Rozumiem.

- Ale kiedy mniej więcej o wpół do dziewiątej piłem piwo u Callaghana, naszyły mnie złe przecucia związane ze sprawą sądową.

- Jaką sprawą?

- Poprzedniego lata młoda dziewczyna spadła z karuzeli i doznała poważnych obrażeń. Jej rodzina pozwała Paddy'ego do sądu, zażądali fortuny i strasznie się tym martwił. Nie mógł spać, tak mi mówił, ani jeść, sporo przez to schudł. Był przekonany, że wszystko straci, jeśli wysokość odszkodowania będzie choć zbliżona do sumy sugerowanej przez prawników poszkodowanej. A on chciał się żenić. Miriam była dla niego doskonałą partią, o wiele od niego młodsza i tak dalej. Więc siedziałem w pubie i ogarnęło mnie to uczucie... może przecucie... albo tylko podejrzenie.

- I co zrobiłeś?

- Wróciłem do wesołego miasteczka, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Kiedy zobaczyłem ogień, od razu zrozumiałem, że Paddy zrobił to specjalnie, żeby ukryć dowody świadczące o zaniedbaniu. To znaczy, niektóre karuzele czasy świetności miały już za sobą, ale pilnowaliśmy, żeby przeglądy robić na czas. Nie można powiedzieć, że oszczędzaliśmy na bezpieczeństwie. Rzecz w tym, że usłyszałem, jak Paddy przeklina gdzieś w samym środku ognia. W końcu wytropiłem go przy samochodzikach. Stopa utknęła mu pod torem koło barierki i nie potrafił się uwolnić. Tor pewnie się wykrzywił, bo o ile pamiętam, nie zawsze przylegał do podłogi.

- O mój Boże! Poszedłeś po niego?

- Tak, wbiegłem do namiotu z samochodzikami, odgrywając bohatera. Próbowałem go wyciągnąć, ale utknął na dobre. W końcu wykopałem barierkę, podniosłem tor z jego stopy i wywlokłem go w chwili, gdy spadł dach. W ramię i plecy trafił mnie rozgrzany słup z kawałkiem płonącego płótna. Oczywiście natychmiast rzuciłem się na mokrą trawę i zgasilem ogień, ale szkoda już się stała. Paddy'emu odebrało mowę, taki był wstrząśnięty. Biedak trząsał się jak osika.

- Biedak, akurat. Mogłeś zginąć, obaj mogliście zginąć. To było szaleństwo.

- No tak, ale on nie chciał nikomu zrobić krzywdy. W tym czasie w miasteczku nikogo nie było, a do wioski było daleko. Paddy rzucił trochę śmieci na przenośny

grzejnik i naprawdę nie musiał długo czekać. Jak mówiłem, wszędzie wałały się opakowania po frytkach, plamy oleju i masła z prażonej kukurydzy.

- Nikt nie zobaczył ognia i nie wezwał straży pożarnej?

- Nie, lunapark znajdował się w dolinie pomiędzy dwoma wzgórzami. A poza tym najbliższa remiza strażacka jest piętnaście kilometrów stąd. Większość rzeczy zrobiona była z płótna, drewna i sklejki. Po dziesięciu minutach nie został z nich ślad.

- Ale dlaczego podpalił namiot z samochodami, skoro przede wszystkim chciał pozbyć się karuzeli?

- Przecież to nie mogło być takie oczywiste, prawda? No wiesz, może i zwariował, ale nie był głupi. Miał zamiar podłożyć ogień przy samochodach, a potem rzucić kawałek płonącego płótna na karuzelę. Ale nie musiał tego robić, bo wszystko zajęło się ogniem jak beczka pełna prochu.

- Mówiłeś, że padało?

- Padało wcześniej, ale pod namiotami było sucho jak na Saharze.

- Rozumiem. Co potem się stało?

- Błagał mnie, żebym trzymał język za zębami. Odparłem, że nie zamierzam donosić na przyjaciela, za kogo on mnie bierze, ale prędzej czy później ktoś doda dwa do dwóch i domyśli się, co się stało. Bardzo się zdenerwował. Powiedział, że to bez znaczenia, co zaczną podejrzewać, bo nikt niczego nie będzie mógł udowodnić. Po pożarze ludzie zawsze gadają. Podpalenie to pierwsza rzecz, jaka przychodzi im do głowy, podpalenie dla ubezpieczenia. Ale dopóki obaj będziemy trzymać gęby na kłódkę, nikt nic nie może zrobić.

- To by się zgadzało, Ethan, gdyby was obu tam nie było - powiedziała Sara z namysłem.

- To kolejny fragment mojej historii. Paddy w końcu jakoś się pozbierał i poszedł do domu, żeby przygotować się na tańce. Powiedział, że pokiwa do ludzi w sklepie, żeby wyglądało na to, że szedł już do domu, kiedy wybuchł pożar. Nie wyglądał gorzej niż zwykle, więc to mogło się udać. Ja jednak się poparzyłem i nie mogłem tak łatwo się wymigać. Musiałem czekać dwadzieścia minut do przyjazdu straży pożarnej i powiedzieć, że próbowałem zgasić ogień. Tyle mniej więcej czasu zajęłoby mi dojście do wioski i poproszenie o pomoc.

- Patrick nie miał samochodu?
- Tamtego wieczoru oddał go do warsztatu.
- Okay. Więc powiedziałeś, że trafiłeś na pożar, który wybuchł przypadkiem?
- Tak. Powiedziałem, że wróciłem po portfel i zobaczyłem wszystko w ogniu.
- Fiu, fiu. Uwierzyli ci?
- Niezupełnie, ale musieli wysłać mnie do szpitala, no nie? A potem Paddy i ja

trzymaliśmy się naszej wersji i wyglądało na to, że rozprawa może ciągnąć się przez wiele lat. Paddy dostał pieniądze z ubezpieczenia, a rodzina dziewczyny zgodziła się na połowę tego, co mogli dostać w sądzie. Prawdę mówiąc, wciąż podle się z tego powodu czuję. Biedna mała, leżała w szpitalu przez osiem miesięcy z kręgosłupem złamanym w dwóch miejscach.

- Wyzdrowiała?
- W końcu tak. Ale musiała chodzić z laską.
- Ojej...

Ethan potarł oczy i westchnął.

- To musiało być dla ciebie straszne - powiedziała Sara, trzymając go za rękę. -

A twoje plecy?

- Długo cholernie bolały!
- W to nie wątpię.
- Tak, kilka razy wracałem do szpitala, bo nie chciało się goić.
- A ty dostałeś jakieś odszkodowanie?
- Nie.
- Dlaczego?
- Ponieważ Paddy mnie nie ubezpieczył.
- I nic ci nie dał? Przecież mógł dać ci coś ze swojego ubezpieczenia?
- Powiedział, że potrzebuje pieniędzy na kupno nowego domu dla Miriam.

Lawendowego domu, bo go sobie upodobała, tak powiedział.

- Na litość boską, byłeś poważnie ranny. Uratowałeś mu życie!
- Nieważne. Przecież nie mogłem go zostawić, żeby spalił się żywcem, no nie?
- To śmieszne, Ethan. Uratowałeś mu życie, a on nic ci nie dał? Nie wierzę.

Przecież mógł ci odpalić jakąś sumkę, prawda?

- Powiedział, że to zrobi, jak będzie go na to stać.

- I zrobił?

- Nie. Od tamtego wypadku właściwie nie rozmawialiśmy. Posłuchaj, to bez znaczenia, Saro. W tamtym roku rodzice zostawili mi dom, a sami przenieśli się do Anglii. Ojciec dostał pracę z mieszkaniem w college'u w Sheffield, jest tam portierem. A kilka miesięcy później przyjęli mnie do warsztatu. Zresztą nie wziąłbym tych pieniędzy od Paddy'ego, posunął się wtedy za daleko, a ja byłem winny współuczestnictwa. Wiedział, że nic od niego nie chcę.

- Ale to niewybaczalne! Ryzykowałeś życie, żeby go uratować, a on nie dał ci ani grosza. Mają mnóstwo pieniędzy, Gemma tak mówiła. Odziedziczyli fortunę po Gormleyach z Galway. Dlatego oboje nie muszą pracować.

- Guzik mają, Saro, wiem to na pewno. Paddy Gormley zarabia na życie pisaniem do wędkarskiego czasopisma.

- Ale Miriam zachowuje się tak, jakby mieli pieniądze.

- Miriam szybuje w obłokach, Saro. Nie zauważyłaś? To znaczy, jest uroczą kobietą, ale nie stąpa twardo po ziemi.

- Wcale nie szybuje w obłokach! Nie mów tak o niej! Chce urodzić dziecko, nawet jeśli konieczne będzie zapłodnienie in vitro, ale Patrick się nie zgadza.

- Podejrzewam, że ma swoje powody. Jest dość staroświecki, ten nasz Patrick. Moim zdaniem nie chce poddać się testom. A poza tym jak mówiłem, nie są zbyt majątni.

- O Jezu! Miriam wydała kupę szmalu w Nowym Jorku. Sama zapłaciła za bilet i pokój w hotelu. Powiedziała, że Patrick nie chciał, żeby jechała, więc przerzuciła wszystko na kartę kredytową i pojechała. A w dodatku flirtowała z barmanem.

Ethan bezradnie wzruszył ramionami.

- To nie nasz problem. Tylko że Patrick kocha tę kobietę do szaleństwa, Saro. Ma na jej punkcie kompletnego bzika. Mam szczerą nadzieję, że Miriam nie zostawi go z powodu tego sztucznego zapłodnienia, bo on bez niej nie będzie w stanie żyć. Z tego powodu też nie naciskałem go w kwestii pieniędzy. Przestaje myśleć rozsądnie, kiedy chodzi o Miriam. Zrobiłby dla niej wszystko. No, prawie wszystko. Kupił jej ten dom.

- Pokaż mi blizny.
- Co?
- Proszę, pokaż mi je.
- Nie możemy z tym poczekać, aż się ściemni?
- Nie, chcę zobaczyć je teraz.
- Okay, przygotuj się.

Odpiął kurtkę i koszulę, po czym wstał.

Kiedy zsunął ubranie z ramion, Sara zobaczyła siedem ukośnych czerwonych bruzd na plecach, jakby wysmagano go rozżarzonym prętem. Co w pewnym sensie odpowiadało prawdzie. Prawy bok miał różowy i błyszczący, poza tym skóra była gładka i biała.

- Czy przy dotyku wciąż cię boli? - zapytała delikatnie.
- Nie, już od dawna.
- Wiesz co? Chodźmy do łóżka!
- Co takiego? Hej, to trochę za szybko! Daj mi chwilę na uporządkowanie myśli, dobrze? Nie przypuszczałem, że jak zobaczysz te blizny, będę ci się podobał!
- Spokojnie! Chodziło mi o to, żebyśmy poszli spać, oboje jesteśmy zmęczeni. Miło byłoby spać razem, co ty na to?
- Bardzo bym chciał.

Ale kiedy po prysznicu i kolacji Sara pod kołdrą wtuliła się w muskularną, seksowną klatkę piersiową i ramiona Ethana, rozległo się pukanie do drzwi. Usłyszeli też stłumione głosy i trzask zamykanych drzwi samochodu.

- Nie zwracajmy na to uwagi - szepnęła Sara. - Pewnie ktoś pomylił adres.
 - Która godzina?
 - Dziewiąta, za późno na wizyty. Nikogo się nie spodziewam.
- Kolejne pukanie było głośniejsze.
- Ach, cholera jasna - westchnęła Sara, wstając i naciągając sweter na piżamę. - Zobaczę, kto przyszedł, może to pani Casey.
- Pobiegła i otworzyła drzwi Różanej Chaty.

Na progu, drżąc z zimna, stali jej rodzice, Agatha i Richard Quinnowie, a za nimi trzy potężne walizki. W taksówce zostały jeszcze dwie oraz komplet kijów do golfa.

- Przyjechaliśmy cię odwiedzić, kochanie - powiedziała matka. - Przywieźliśmy trochę twoich rzeczy. Niespodzianka!

- O Boże...

Drogą ku jej domowi zbliżały się Gemma i Victoria. Obie sprawiały wrażenie zdenerwowanych.

- Możemy u ciebie spędzić noc, Saro? - zapytała Gemma. - Och, dobry wieczór, mam nadzieję, że nie przeszkadzamy?

Sara w osłupieniu ledwo potrafiła pozbierać myśli. Z trudem dokonała prezentacji, choć miała ochotę zatrzaskać drzwi i wrócić do łóżka.

- Gemmo, to moi rodzice, Agatha i Richard Quinnowie. Mamo i tato, to Gemma Hayes, sławna powieściopisarka, i jej urocza córka Victoria.

Nastąpiły serdeczne powitania. Sara dla równowagi chwyciła się klamki.

- Pogadajcie sobie - powiedziała wreszcie, uśmiechając się z determinacją - a jak skończycie, zapraszam do środka.

- Saro, mamy kłopoty - wyjaśniła cicho Gemma; starała się, by państwo Quinnowie jej nie usłyszeli. - Ktoś nas prześladowuje. Na razie tylko do nas wydzwania, ale nie chcemy ryzykować.

- Och, Gemmo! Wiesz, kto to jest? - szepnęła Sara.

- Chłopak Victorii. Nie chce przyjąć odmowy, drań. Zadzwoiłam na policję i poradzili, żebyśmy gdzie indziej spędziły noc. Będą obserwować dom. Wiesz, nie chciałam zwałać się na głowę Aurorze po tym wszystkim, co ostatnio dla nas zrobiła. Nie masz mi za złe, prawda?

- W żadnym razie. Wchodźcie wszyscy. - Sara na oścież otworzyła drzwi jak z bajki o Jasiu i Małgosi. Zastanawiała się, jak powiedzieć rodzicom, że nie potrzebuje tych dodatkowych rzeczy, które jej przywieźli, ponieważ dosłownie za kilka dni kończy się okres wynajmu. Miała czworo gości i tylko jedną dodatkową sypialnię z podwójnym łóżkiem. Gemma i Victoria będą musiały spać na sofach, chyba że odstąpi im własne łóżko. Tylko że aktualnie leżał w nim Ethan. To był jej główny problem:

jak ma wyjaśnić, co robi z Ethanem Reillym, który z gołym torsem leży w jej łóżku, skoro wszyscy przypuszczają, że przyjechała do Redstone kurować złamane serce?

- Ha, to była udręka, ale wreszcie jesteśmy na miejscu powiedziała Agatha Quinn, wlokąc do chaty dwie pierwsze walizki. - Człowiek zapomina, jak długo to trwa, jeśli od jakiegoś czasu nie podróżował. Daj buziaka, skarbie, a potem oprowadź nas po domu. Umieram z ciekawości! Co tu zrobiłaś?

- Niewiele, mamó. A właściwie nic, tylko kupiłam małego Buddę do salonu, żeby przynosił mi szczęście - odparła wesoło Sara; wiedziała, że mama będzie się martwić, iż jej chrześcijańska córka ma w domu fałszywych bogów.

- Co kupiłaś? - zapytała pani Quinn z czołem zmarszczonym z troski i konsternacji.

Rozdział 25

Szczęśliwy dom

Nie trzeba mówić, że to była pełna wrażeń noc w Różanej Chacie. Najpierw Sara zaprowadziła matkę do kuchni i przestrzegła, by nie wypytywała Gemmy o tajemniczego dręczyciela. Panią Quinn tak zaniepokoił widok Buddy, że trzeba go było zdjąć z regału i schować w kącie za wiklinowymi koszami, a potem wynieść na podwórko, oznajmiła bowiem, że nie zaśnie pod tym samym dachem co posądek.

- A jeśli w nocy umrę? - pytała raz po raz.

- Nie kuś losu - szepnęła Sara do Gemmy i obie zaczęły chichotać.

Później Sara musiała pod jakimś pozorem pójść do sypialni i powiedzieć Ethanowi o niespodziewanej wizycie rodziców. A także o tym, że matka ciągle dopomina się o „rzucenie okiem na sypialnię”.

Ethan, już ubrany, wciąż był wzruszony wyznaniem Sarze tajemnicy ciąży mu na sumieniu i pokazaniem blizn, więc nie uśmiechało mu się spotkanie z gośćmi.

- Właściwie jestem zmęczony - zaczął.

- Jeśli chcesz, możesz wyskoczyć przez okno i wrócić do domu - odparła Sara, opierając się o zamknięte drzwi, na wypadek gdyby do środka wpadła matka. - Zadzwoń, kiedy wyjadą. - Posłała mu całusa i wróciła do salonu.

Po jej wyjściu Ethan tęsknie spojrział na okno. Mógłby wyskoczyć i plażą wrócić do domu.

To bez dwóch zdań byłoby najłatwiejsze rozwiązanie, ale bał się, że Sara uzna go za chimerycznego tchórza. A on nie chciał, żeby myślała o nim źle tak jak o Mackenzie. Wszystko wskazywało na to, że Sara wyznacza wysokie standardy swoim partnerom. Do głowy wpadł mu pomysł. Otworzył drzwi sypialni.

- Dobry wieczór - powiedział wesoło, wnosząc do salonu krzesło.

Pani Quinn podskoczyła z zaskoczenia.

- No nie! Nic nie mówiłaś, że masz gościa, skarbie - pisnęła oskarżycielsko.

- Nie? Musiałam w całym tym zamieszaniu zapomnieć. Ethan przyszedł naprawić grzejnik...

- Proszę, Saro - powiedział Ethan głośno, stawiając krzesło koło kuchennych drzwi. - Nigdy za wiele krzesel, kiedy wpadają niezapowiedziani goście - dodał nieśmiało.

- Dziękuję, Ethan, jesteś cudowny - odparła Sara, mile zaskoczona jego decyzją, by zostać, ale też zadowolona, że odgrywa tę scenkę. Tak, to idiotyczne, że trzeba chodzić na paluszkach wokół matki, ale wyjaśnianie jej niektórych rzeczy to po prostu za wielki kłopot, pomyślała ze znużeniem. Jak na przykład to, że mogłaby spędzić noc z Ethanem i nie uprawiać z nim seksu. A gdyby jednak się z nim kochała, to byłaby wyłącznie ich sprawa. I wcale nie musiałyby to oznaczać, że zaraz pobiegną kupować pierścionek i ogłaszać zaręczyny.

- To jeden z moich nowych przyjaciół, Ethan Reilly - dodała, starając się nadać głosowi swobodne brzmienie. Jakby rzeczą zupełnie normalną było, że przystojny facet wpada o dziewiątej wieczorem naprawić grzejnik, ale nie ma skarpetek, a koszula wystaje mu z dżinsów, natomiast Sara ubrana jest w piżamę i papucie.

Gemie o mało oczy nie wyskoczyły z orbit, taka była rozbawiona. Świetna robota, Saro, pomyślała, tłumiąc śmiech. Doskonale, że zwabiłaś takiego przystojniaka do domu. Może i w wiosce uważano Ethana Reilly'ego za ustępliwego i skrytego, ale

Gemma zawsze gotowa była takim słabeuszom przyznać przywilej wątpliwości. Sama w końcu należała do słabeuszy.

- Poznałeś już rodziców Sary? - zapytała go, głową wskazując dobrze ubraną parę: pani Quinn miała na sobie elegancki kostium z szarej wełny i płaszcz, pan Quinn beżowy prochowiec i czapkę. Ethan z całą pewnością ich nie znał, ale Gemma była zdania, że trzeba jakoś nawiązać rozmowę.

- Nie, cała przyjemność po mojej stronie - odparł ciepło Ethan, podchodząc do rodziców Sary i ściskając im dłonie. - Jak się państwo miewają? Bardzo mi miło. Cóż, będę się zbierał. Dobranoc. Myślę, że nie będziesz miała więcej kłopotów z tym starym gratem, Saro. Powinien dobrze działać. - Głową wskazał sypialnię.

- Nie idź, Ethan, zostań jeszcze trochę, bardzo proszę! - zawołała błagalnie Sara, nie mając ochoty zostać sama z rodzicami oraz Gemmą i Victorią. Z każdą z tych par osobno dałaby sobie radę, ale goszczenie ich naraz wróżyło niezręczną sytuację. To był poważny przypadek zderzenia dwóch odrębnych światów. Jej rodzice byli religijni, konserwatywni i lubili wiedzieć, czy inni także tacy są - niezależnie od wyznania. Poza tym nie mieli pojęcia, że Victoria jest na odwyku. Sara nie chciała, żeby się o tym dowiedzieli. A Gemma mogłaby niechcący wspomnieć, jak wielką ulgę czuje na myśl, że jej córka nie umarła z przedawkowania heroiny na trzydniowej imprezie w Bronksie.

Ojej, myślała Sara czując, jak w brzuchu ją wierci. To będzie trudne. Kochała swoich rodziców z całego serca, byli tacy sympatyczni, mimo to ogarnęło ją zakłopotanie, kiedy pani Quinn rozpoczęła śledztwo w najlepszym stylu porucznika Columbo. Po prostu czuła przymus poznawania szczegółów z życia innych ludzi.

- Więc jesteś stąd, Ethan? Chodziłeś do tutejszej szkoły dla chłopców? Do Świętego Michała?

Ethan potaknął. Jasne, chodził do Świętego Michała. A dokąd miał chodzić?

- Tak - odparł z uśmiechem. - Czternaście szczęśliwych lat. Na szczęście nie używali już różgi, kiedy ja wystawiałem ich cierpliwość na próbę. Należałem do drużyny hokeja na trawie. Kiedy byłem w ostatniej klasie, zdobyliśmy puchar hrabstwa.

Pani Quinn pokiwała głową zadowolona, że trafiła na równie otwartego młodego człowieka. To był dobry początek.

- A uczył wtedy ksiądz Healy?

- Tak, uczył - uśmiechnął się Ethan.

- Wspaniale odprawiał msze.

- To prawda.

- Powiedz mi, czy ksiądz Healy nadal prowadzi coroczne tygodniowe rekolekcje dla mężczyzn?

- O tak, pani Quinn. Nigdy ich nie opuszczam. Co wieczór siedzę w pierwszym rzędzie. Zaczynają się dokładnie o siódmej. Lepszych nigdzie nie ma.

- Naprawdę? A jaki jest porządek, bo zapomniałam? - zapytała pani Quinn.

Sara wstrzymała oddech, ale Ethan wyprzedzał ją o krok. Przestał brać udział w rekolekcjach, ale ich porządek przez czterdzieści lat nie uległ zmianie. A poza tym słyszał to i owo od kolegów z warsztatu, którzy byli dość religijni.

- Najpierw oczywiście jest msza, potem kazanie o zlu współczesnego stylu życia. W zeszłym roku to była pornografia. Przepraszam, że to mówię. Ale ksiądz Healy powinien pracować w show biznesie, taki z niego komik. Krzyczał z ambony: „Dziewczyny ze wszystkich krajów świata brykają w bieliźnie w każdym kiosku w Irlandii!”.

- Chciałbym! - roześmiał się wbrew sobie pan Quinn.

- Richardzie, proszę cię - upomniała go żona.

- Przepraszam, Agatho.

- Mów dalej, Ethan - ponagliła pani Quinn.

- Na czym skończyłem? Aha. Po kazaniu odmawiamy różaniec, chodząc nawą, potem zapalamy świece w wybranych intencjach. Na koniec śpiewamy „Star of the Sea”. Całość jest świetnie skomponowana, harmonijna. - Ethan dołożył starań, by wyglądać na pobożnego. - To wspaniale przeżycie.

Ani przez moment w jego głosie nie zabrzmiała kpina. Ten człowiek to geniusz, pomyślała z podziwem Gemma.

Pani Quinn nie wiedziała, co ze sobą począć. Odebrało jej mowę w obliczu takiej głębokiej pobożności.

Spryciarz z tego Ethana, pomyślała Sara, kiedy za plecami pani Quinn mrugnął do niej znacząco. Pokazał matce, gdzie jej miejsce, nie zachowując się przy tym arogancko. A ona naprawdę sobie na to zasłużyła. Agatha Quinn nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego w dzisiejszych czasach pozwala się ludziom na laicyzację, choć poza tym była wyrozumiała i serdeczna.

W pokoju zapanowała niezręczna cisza. Wszyscy stali w nieregularnym kręgu, popatrując na siebie z nadzieją, że ktoś inny rozpocznie rozmowę albo pierwszy usiądzie. Victoria ziewnęła i lekko się zachwiała. Ona naprawdę wyglądała na zmęczoną, pomyślała z poczuciem winy Sara.

- Umieram z głodu - przemówiła Gemma odważnie, wyczuwając napięcie w powietrzu. - Najpierw położę Victorię do łóżka, a potem może przygotujemy kolację? Och, przepraszam, Saro, przecież w wolnej sypialni będą spać twoi rodzice. Zadzwoń do Aurory i zapytam, czy może nas przyjąć. Przepraszam za to zamieszanie.

- Nie ma potrzeby niepokoić Aurory o tej porze - powiedziała Sara, otrząsając się z zamyślenia i wyciągając rękę, by powstrzymać Gemmę, która już wybierała numer na telefonie komórkowym. - Bardzo będę się cieszyła, jeśli zostaniecie.

- Nie chcemy ci przeszkadzać. Tak mi przykro - powiedziała cicho Victoria. Była bardzo zakłopotana, że obsesyjne zachowania jej byłego chłopaka stały się sprawą znaną powszechnie. Żałowała, że w ogóle poznała Buddy'ego. Dzięki Bogu, że wyjechała z Ameryki, zanim zdążył ją namówić, żeby na ramieniu wytatuowała sobie jego imię. Gdyby to zrobiła, do końca życia miałyby pamiątkę po tym bezużytecznym wałkoniu.

- Zaprowadź Victorię do drugiej sypialni. To te drzwi. - Sara pokazała Gemmie drogę. - Włącz elektryczny grzejnik, Victorio, bądź tak dobra. Kontakt jest za nocnym stolikiem po lewej. Będziecie spać razem, dobrze?

- Bardzo ci dziękuję, Saro - odparła z uśmiechem Gemma. Kiwnięciem głowy wyraziła wdzięczność dla Sary i dla Ethana. Cieszyła się, że silny młody mężczyzna jest z nimi. A właściwie dwóch mężczyzn, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Zaraz jednak rozgniewała się na siebie, że zachowuje się jak podfruwajka. Poszła z córką do sypialni.

- Mamo i tato, będziecie spać w moim pokoju - ciągnęła Sara. - Zanieście tam walizki, żeby tu nie przeszkadzały. Ja prześpię się na sofie. Ethan, byłabym ci wdzięczna, gdybyś dołożył do ognia. Zobaczą, co możemy przygotować na kolację, choć nie będzie tego wiele. Nie możecie chyba liczyć na nic więcej poza bulionem z kurczaka z puszki i świeżym chlebem. Aha, mam jeszcze markizy i brzoskwinie. Czy to wam odpowiada?

- Brzmi cudownie, złotko - powiedział jej ojciec, zaczynając się odprężyć. Widział wyraźnie, że Sara znalazła sobie chłopaka w Redstone. Richard Quinn był może pantoflarzem, ale nie głupcem. Rozpoznawał iskrzenie na pierwszy rzut oka. A chłopak jest przynajmniej sporo młodszy od Mackenziego Campbella, i bardzo dobrze. Sądząc z wyglądu, niezbyt bogaty, ubranie ma podniszczone. Ach, może to tylko robocze ciuchy, uznał wspaniałomyślnie. Sara była rozsądną dziewczyną i to mu wystarczało.

Wszyscy usadowili się na sofach koło ognia płonącego w kominku - sytuacja bardzo przypominała piknik. Nie brała w nim udziału tylko Victoria, która już smacznie spała. Gemma tymczasem czujnie zerknęła na okna i drzwi, by sprawdzić, czy do środka nie wdiera się intruz. Sara wiedziała, że kiedy wszyscy pójdą się położyć, Ethan będzie musiał się pożegnać, i już za nim tęskniła. Doskonale mu wychodziło łagodzenie niezręcznych momentów. Uśmiechnęła się do niego i bezgłośnie powiedziała „dziękuję”. Odpowiedział jej uśmiechem i kolejnym mrugnięciem.

- Ethan, mógłbyś zostać na noc? - zapytała Gemma. - Prześpisz się na drugiej sofie, dobrze? Tak na wypadek, gdybyśmy mieli nieproszonego gościa.

- Jasne - odparł - jeśli uważasz, że tak będzie lepiej.

- Wielkie dzięki - powiedziała Gemma serdecznie. - Idę spać. Dobranoc.

Pani Quinn ściągnęła usta tak mocno, że zmieściłyby się w oku igły, ale się nie odezwała.

- Dobranoc - powiedziała Sara do Gemmy.

Zostali we czwórkę, Ethan zagaił nieszkodliwą pogawędkę poświęconą znajomym rodzinom w okolicy. Nie było tak źle. Wcale nie było źle. W gruncie rzeczy Sara dobrze się bawiła. Kiedy rodzice w końcu poszli spać, razem z Ethanem pozmywali naczynia i triumfalnie padli sobie w objęcia.

Ale na plaży ktoś czekał.

Rozdział 26

Życie w północnym miasteczku

Abigail siedziała przy biurku w sypialni Mackenziego - no cóż, teraz to była ich sypialnia - i patrzyła na telefon. Lśniący i milczący czekał, aż podejdzie do niego i podniesie słuchawkę. Naprawdę powinna osobiście powiedzieć o wszystkim Sarze, ale teraz, kiedy minęło sporo czasu i wiadomość stała się naprawdę poważna, Abigail stchórzyła. Nie była w stanie sformułować słów, a co dopiero wypowiedzieć je na głos, wiedziała o tym na sto procent. W ostatnich dniach wiele razy sięgała po słuchawkę, ale to było zbyt trudne. Tak więc wbrew temu, czego zawsze ją uczono, postanowiła uniknąć potencjalnie niebezpiecznej konfrontacji. Wzdychając ciężko, Abigail przyciągnęła ku sobie podkładkę pod papier i wzięła pióro. Nie chciała zostawiać pisanego dowodu swojej zdrady, ale w zaistniałej sytuacji było to mniejsze zło.

Kochana Saro,

Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku.

Mam też nadzieję, że nie będziesz mi miała za złe, że piszę, skoro podobno jesteśmy przyjaciółkami. Naturalnie wciąż nimi jesteśmy, ale próbowałam kilka razy porozmawiać z Tobą przez telefon, a Ty albo byłaś szalenie zajęta swoim nowym życiem w Redstone, albo miałaś wyłączoną komórkę. Zdecydowałam więc, że list będzie najlepszym wyjściem dla nas obu, a dla mnie łatwiejszym, jeśli mam być szczera. Co jest dość dziwne, ponieważ zawsze byłam gorącą zwolenniczką osobistego załatwiania poważnych spraw.

Zaczynam.

Jakiś czas temu wspomniałam Ci, że z kimś się spotykam. Cóż, to nie jest mężczyzna, którego poznałam w Londynie, a nasz związek nie jest przelotny. Saro, przykro mi, że w taki sposób przekazuję Ci tę wiadomość, ale muszę być z Tobą

całkowicie szczerą. Spotykam się z Mackenzie Campbell. Twoim Mackenzie. Nie wątpię, że czytając to, jesteś tak samo zszokowana jak ja, kiedy to piszę. Dziewczyny z naszej paczki zaczynają coś podejrzewać, a ja wolę, żebyś poznała szczegóły ode mnie, nie od nich. Saro, zrozum mnie, proszę. Jeśli to jakaś pociecha, uwierz, że nie chodzi o zemstę ani głupi plan mający na celu wzbudzenie w Tobie zazdrości i skłonienie Cię do powrotu. To poważna sprawa, Saro, prawdziwy związek.

Nie potrafię Ci powiedzieć, jak bardzo poczułam się winna, kiedy po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie, że nie jesteśmy sobie obojętni. Nie była to oczywiście romantyczna miłość, ale przyjaźń i bliskość. Oboje straciliśmy naszych ukochanych i przypuszczam, że byliśmy gotowi na ustawkowanie się i spokojne życie. Po prostu dla nas obojga to była odpowiednia pora oraz jak przypuszczam, szczęśliwy zbieg okoliczności. Spędziłam w Ostowym Puchu kilka dni po Nowym Roku (zaprosiła mnie Millicent) i między nami wytworzył się rodzaj porozumienia. Postanowiliśmy dać sobie szansę i przekonać się, co z tego wyniknie. Teraz, dziewięć tygodni później, wciąż jestem w Ostowym Puchu. Zrezygnowałam z pracy w klinice i wystawiłam swoje mieszkanie na sprzedaż.

Mackenzie poprosił mnie, żebym została i pomogła mu prowadzić posiadłość. Pieniądze ze sprzedaży mieszkania zamierzamy wykorzystać na renowację tych starych, zrujnowanych chat na obrzeżach wioski, a potem wynajmować je artystom i pisarzom. Może też nazwiemy je stosownie, na przykład Zakątek Ludzi Pióra. Liczymy, że niektóre z domów będzie można wynająć na cały rok, nie tylko na lato, co przyczyni się do powstania małej społeczności, jeśli oczywiście sprawa wypali. Niewykluczone, że założymy internetową galerię sztuki, a może poprowadzimy kursy leśnictwa, strzelania albo łucznictwa. Jestem bardzo podekscytowana naszymi planami i ani trochę nie tęsknię za dawną pracą. Co tydzień chodzę z Mackenzie do kościoła i poznałam już większość mieszkańców Glenallon. Próbuję przez to Ci powiedzieć, że Mackenzie zaproponował mi małżeństwo.

Saro, wiem, że mnie za to znienawidzisz. Daję Ci jednak najświętsze słowo honoru, że nie miałam zamiaru związać się z Mackenzie nawet wtedy, gdy bez cienia wątpliwości wiedziałam, że między Wami wszystko definitywnie skończone. Jeśli pamiętasz, dokładałam starań, by Was pogodzić, i wciąż mam poczucie, że zawiodłam

w tej sprawie jako psycholog i przyjaciółka. W najdzikszych snach jednak nie wyobrażałam sobie, że z Mackenzieem kiedyś będziemy razem. Musisz to zrozumieć, Saro. Dlatego takie to dla mnie ważne, żebyś dała nam swoje błogosławieństwo.

Nie poradzę sobie, jeśli z powodu mojego małżeństwa z Mackenzieem nasza przyjaźń się skończy. Obawiam się tej możliwości. Tyle razem przez te lata przeżyliśmy. A teraz, po tygodniach spędzonych z Mackenzieem, zakochałam się w nim. On też mówi, że mnie kocha tak bardzo, jak bardzo jest w stanie pokochać kobietę inną niż Jane. Jestem gotowa to przyjąć, ponieważ jakaś część mnie zawsze będzie należała do Donalę.

Mackenzie ustalił wstępnie datę naszego ślubu na trzydziesty czerwiec tego roku, a chociaż nie oczekuję, że weźmiesz w nim udział, wiele by dla mnie znaczyło, gdybyś mogła przysłać nam życzenia. Millicent zadziwiająco spokojnie podchodzi do tej sprawy. Myślę, że cieszy się, iż Mackenzie nie będzie sam, tak jak ona była przez wszystkie te lata.

Proszę Cię, Saro, nie znieńwiedz mnie. Pamiętasz, jak siedziałyśmy na huśtawkach w parku i ciągle rozmawiałyśmy o tym, jak będzie wyglądało nasze życie w przyszłości? Wiesz, teraz czuję się tak samo. Jakbym znowu siedziała na tej huśtawce i czekała, aż coś się zdarzy. Mam szczerą nadzieję, że dobrze się bawisz w Redstone ze wszystkimi nowymi przyjaciółmi, ale liczę, że poświęcisz chwilę na skontaktowanie się ze starą przyjaciółką. To by dla mnie bardzo, bardzo wiele znaczyło. Zawsze będę Cię kochała.

Twoja przyjaciółka, Abigail.

P S. Przekazałam ślubną suknię Twoim rodzicom. Przepraszam, że teraz o tym wspominałam, ale wiem, że na pewno się o nią martwisz.

Abigail mądrze uznała, że nie ma prawa napisać „Twoja najlepsza przyjaciółka”. No tak, zanim zdążyła uchylić się przed wysłaniem (tak jak wcześniej przed telefonem), poskładała starannie kartki i włożyła do koperty, po czym idealnym, pochyłym pismem skreśliła adres:

Sara Quinn, Różana Chata, Redstone, Irlandia.

List wyglądał pięknie i elegancko w kremowej kopercie ze znakiem wodnym. Abigail starannie nakleiła znaczki. To był bardzo ważny list i chciała wszystko zrobić jak trzeba. Nie napisała jednak adresu zwrotnego. Uznała, że to byłaby przechwałka.

Po śniadaniu pożyczyła dżipa, żeby pojechać do Glenallon. Wsiadła do samochodu ze starym koszykiem na zakupy Millicent oraz krótką listą produktów spożywczych.

- Jedź ostrożnie - powiedział Mackenzie, kiedy wychodziła za próg.

- Dobrze - zapewniła go; wiedziała, że do końca wspólnie przeżywanych na tej ziemi dni będzie używał tego samego zwrotu. - Pojadę bardzo ostrożnie, nie martw się.

Mackenzie z okna odprowadzał ją wzrokiem. Orientował się, że Abigail jedzie wysłać list do Irlandii, i miał nadzieję, że Sara nie będzie nimi obojgiem rozczarowana. Psy szczekaniem domagały się spaceru, ale on chciał zobaczyć, jak Abigail odjeżdża. Kiedy wyjechała za bramę, uniósł wysoko rękę i pomachał do niej.

Rozdział 27

Światło, które nigdy nie gaśnie

Mijał czwarty dzień w przeludnionej Różanej Chacie. Gemma i Victoria dokładały starań, by schodzić wszystkim z drogi, przebywając głównie w swojej sypialni albo w kuchni. Powinny były już wrócić do domu, ale w sytuacji, kiedy groziło im niebezpieczeństwo, miło było mieć towarzystwo. Czasami udawało im się nawet zapomnieć o Buddym, tak świetnie się bawiły, przygotowując posiłki albo gawędząc przy kominku. Pani Quinn za to nieustannie popatrywała w okno, szukając na horyzoncie śladu intruza, przez co utrzymywała Gemmę i Victorię w stanie ciągłego niepokoju. Sara powtarzała matce, żeby się odprężyła. Kręcąc głową, pomyślała, że z mamy byłby pierwszorzędny dręczyciel. Ta kobieta miała siłę i determinację dziesięciu chłopów.

- Z rozkoszą zastrzeliłabym tego pieprzonego śmiecia, gdybym nie musiała za to odpowiadać - szepnęła Gemma do Sary, kiedy w kuchni przygotowywała kanapki dla córki. - Ale gdyby zamknęli mnie w więzieniu, kto zaopiekowałby się Victorią? Biedactwo, poza mną na całym bożym świecie nikogo nie ma. Nie wiem, jak do tego doszło, ale teraz jesteśmy tylko we dwie. Żałuję, że nie mam wielkiej rodziny. Nie mam pojęcia, co począć.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła Sara. - Policja go złapie, jeśli wciąż gdzieś się tu kręci. A gdzie on właściwie nocuje? Na pewno nie w hotelu ani w pensjonacie, bo już by go mieli.

Jestem pewna, że nie da rady długo spać na dworze czy w samochodzie. Nie, w najbliższej przyszłości wróci do Ameryki i to będzie koniec całej sprawy. O ile już nie wrócił. Brutale tacy jak on wolą się zmyć, kiedy wiedzą, że mają przeciwko sobie grupę. W ostatecznym rozrachunku są tchórzami. Wszyscy brutale pod pozorami siły są tchórzliwi jak kurczaki.

- Dziękuję, Saro. Taka jestem ci wdzięczna, że pozwoliłaś nam zostać.

- Nie ma za co. Poza tym teraz bardzo się cieszę, że tu jesteście. Stanowicie rewelacyjny bufor między mną a rodzicami, przy was nie mogą bez przerwy mnie

wypytywać. Za to tobie mama daje niezły wycisk. Gdyby nie próbowała wywiedzieć się, o co chodzi z Buddym, ostro by mnie przesłuchiwała w kwestii moich planów względem Ethana. Mówię szczerze, codziennie przed śniadaniem odpowiadałabym na dwadzieścia pytań.

- Ethan dzisiaj przyjdzie? - zapytała Gemma, rozkładając kanapki na talerzu i nalewając mleka do kubka. - To znaczy wiem, że musi pracować, ale czy później przyjdzie?

- Tak. Powiedział, że zwolni się wcześniej i zabierze mojego tatę na to fantastyczne pole golfowe trzydzieści kilometrów stąd. Mama też się z nimi wybiera.

- To miło z jego strony. Nie wiedziałam, że Ethan gra w golfa.

- Nie gra.

- Prawdziwy anioł z niego, Saro! Wspaniale zajmuje się twoimi rodzicami. Zanioseł to Victorii, potem posprzątam kuchnię, dobrze? Strasznie się cieszę, jak widzę, że znowu ma apetyt. Myślę, że chyba wracamy do normalności.

- Mnie to odpowiada, nie musisz się śpieszyć. Och, jest poczta?

Sara zbiegła po schodkach, żeby sprawdzić, co przyniósł listonosz. W gruncie rzeczy nie spodziewała się żadnej interesującej korespondencji, ale przyjemność sprawiła jej koperta zaadresowana do Różanej Chaty. Nawet jeśli przysłał ją bank. Na macie leżały dwa listy. Jeden istotnie pochodził z banku. Sara natychmiast go otworzyła. Jej druga prośba o (mniejszy tym razem) debet także została odrzucona. Skąpe dranie, pomyślała z niepokojem. I co teraz pocznie, skąd weźmie pieniądze? Aparat i złota bransoleta od Mackenziego to były jedyne wartościowe rzeczy, jakie miała. Czy powinnam je sprzedać? zastanawiała się, biorąc drugą kopertę. Od razu rozpoznała charakterystyczne pismo Abigail.

- Hej, co za miła niespodzianka - powiedziała uradowana.

Zanim jednak zdążyła otworzyć list, usłyszała szcęk talerza spadającego na ziemię w salonie i ciche, acz naglące wołanie Gemmy.

- Saro, chodź szybko! - krzyknęła Gemma i Sara z kopertami w dłoni pobiegła do salonu. Gemma stała przy oknie, zza zasłony zerkając przez widokowe okno. Za nią kręcili się państwo Quinnowie.

- Wrócił nasz prześladowca - oznajmiła matka Sary złowieszczo.

- Popatrz - wykrztusiła Gemma - popatrz, to on. To Buddy. O Boże!

Sara spojrzała we wskazanym kierunku.

Buddy i Victoria siedzieli na murku ogradzającym tylne podwórko i rozmawiali o czymś gorączkowo, stykając się prawie czołami.

- Wyszła odetchnąć świeżym powietrzem, Saro. Ten mały drań musiał czekać. Nie wiem, co począć. Nie mam pojęcia, jak nas tu znalazł. Powinnam zadzwonić na policję i liczyć, że zdążą przyjechać, zanim sobie pójdzie? Albo od razu wyjść i mu przyłożyć?

- Dzwoni na policję, ja wyjdę na dwór. Ty lepiej się do niego nie zbliżaj, bo jeszcze popełnisz jakiś idiotyzm. Mamo i tato, zostańcie tutaj i nie róbcie zamieszania - zarządziła Sara.

- Jakbym kiedykolwiek robiła zamieszanie... - zaczęła matka.

Ale mąż położył jej dłoń na ramieniu i zaprowadził do sofy.

- Nic nie mów - powiedział z czułością. - To nie jest nasza sprawa. Saro, skarbie, ty lepiej też zostań w domu, niech zajmie się nim policja. Ale jeśli chcesz wyjść, pójdę z tobą.

- Zaraz ją uderzy! Och, za późno! - krzyknęła pani Quinn.

Usłyszeli krzyki Buddy'ego, który obrzucał Victorię przezwiskami. Dziewczyna szlochała, przestraszona i uległa. Buddy znowu ją uderzył.

- Dość tego - warknęła Gemma. - Dłużej nie będę na to patrzeć!

Z rozmachem otworzyła kuchenne drzwi i popędziła ku Buddy'emu. Złapała go za kłapy, odpychając od Victorii, po czym zaczęła okładać pięściami i kopać po łydkach. Pan Quinn wpadł do sypialni po kij golfowy, a pani Quinn wyszła na ulicę wypatrywać Ethana.

Sara jak sparaliżowana obserwowała Buddy'ego, który zebrał siły do kontrataku. Nie ulegało wątpliwości, że kilka dni włączenia się po deszczowej Irlandii osłabiło go, ale zacisnął kościstą dłoń i walnął Gemmę prosto w oko. Victoria zaczęła krzyczeć. Gemma leżała na ziemi, zbyt oszołomiona, żeby się podnieść. Victoria pochylała się nad matką i wszystko wskazywało na to, że Buddy ją też znokautuje. Naprawdę stracił panowanie nad sobą. Twarz miał wykrzywioną z wściekłości.

- Nie możesz ze mną zerwać! - ryknął. - Nie pozwolę ci! Kochamy się!

- Chcesz powiedzieć, że kochasz moje pieniądze? Ty pijawko! Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła przez łzy Victoria. - Nie widzisz, że nikt cię tu nie chce! Ja cię nie chcę! Mam dość brania i nienawidzę cię! Wynoś się!

Sara wreszcie otrząsnęła się z paraliżu. Upuściła listy, wypadła na podwórko i w błysku olśnienia złapała posążek Buddy ukryty za pojemnikiem na śmieci, po czym z całej siły uderzyła nim Buddy'ego. Prosto w potylicę. Chłopak zatoczył się i bezwładnie padł na piasek po drugiej stronie murku.

- O Boże! Mamusi, wszystko w porządku? - szlochała Victoria, pomagając Gemmie wstać z ziemi. - Widzisz na to oko? Wygląda na bardzo podbite! W głowie mi się nie mieści, że ci to zrobił! Nigdy bym nie pomyślała, że zachowa się tak okropnie. W Nowym Jorku taki nie był. Traktował mnie zaborczo, ale nigdy nie stosował przemocy. Och, mamusi, czy z okiem wszystko w porządku?

- Przeżyję. Ale co z tym beznadziejnym fiutem? - wykrztusiła Gemma. - Nie żyje?

- O Boże, nie rusza się! O Mój Boże, to straszne! Saro, chyba go zabiłaś! - wymamrotała Victoria, przez murek spoglądając na Buddy'ego. Była zrozpaczona i dręczyło ją okropne poczucie winy. Nie potrafiła uwierzyć, że sprowadziła takie kłopoty na własną matkę i jej przyjaciółkę.

- Nie chciałam go zabić - wydusiła przez wyschnięte usta Sara. - Chodziło mi tylko o to, żeby nie zrobił krzywdy Gemmie. Och, co ja narobiłam? Jestem morderczynią...

Chwila paniki jednak minęła, bo Buddy jęknął, otworzył oczy, jęknął jeszcze głośniej i na powrót opuścił powieki.

- Nie ruszaj się, chłoptasiu - powiedział pan Quinn, biegnąc przez podwórko. Stał nad Buddym z kijem golfowym w ręku. - Saro, nie martw się, wszyscy widzieliśmy, co się stało. To była samoobrona.

- Ta wioska... bardzo podupadła... odkąd przeprowadziliśmy się do Londynu - powiedziała zadyszana pani Quinn, wracając z Ethanem. Obojgu brakowało tchu. Pani Quinn praktycznie zwlokła Ethana po schodkach do salonu, a stamtąd na tylne podwórko.

- Odwołaj tego golfa, Ethan - powiedział pan Quinn ze znużeniem, wycierając pot z czoła, podczas gdy Ethan usiłował zrozumieć, co tu się dzieje.

Lewe oko Gemmy błyskawicznie puchło, twarz Victorii była czerwona i obrzmiała.

- Dokonaliśmy obywatelskiego aresztowania - dodał pan Quinn, wskazując Buddy'ego kijem. - Ten młody człowiek napadł na Victorię i jej matkę. Wszyscy widzieliśmy, co się stało. To była jego wina. Kompletnie stracił panowanie nad sobą.

- Ja uderzyłam go pierwsza - przyznała Gemma cicho.

- Ale najpierw on uderzył twoją córkę - wtrąciła Agatha Quinn. - O mało nie odleciała jej głowa. Widziałam dokładnie, jak było. - (Widziała, ponieważ stała przyklejona do okna, nie chcąc uronić ani jednego szczegółu.)

- Tak jest - potwierdził Quinn. - A w ogóle co to za mężczyzna, który bije kobietę?

- I jej matkę - dodała jego żona.

- To żaden mężczyzna. Bandyta i drań.

- A potem Sara walnęła go tym fałszywym bogiem - uzupełniła pani Quinn. - I to go powstrzymało.

Sara tylko kiwała głową, była zbyt wstrząśnięta, żeby się odezwać.

- No, no. Wezwaliście lekarza? On nie wygląda za dobrze

- powiedział szybko Ethan. - Wracajcie wszyscy do domu, a ty, Richard, zadzwoń po pogotowie, dobrze? Ja zostanę i popilnuję tego gościa. Lepiej go nie ruszać.

Wszyscy pomaszerowali do domu. Pani Quinn skreśliła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę.

- Tak mi przykro, mamusiu, teraz masz poważne kłopoty - szlochała Victoria, przecierając oko Gemmy wacikiem nasączonym zimną wodą. - Sara też. Oskarżają ją o napad.

- Nikt nie będzie miał żadnych kłopotów - przemówiła pani Quinn z nieoczekiwaną pewnością w głosie. - Pogadam z policją. Jestem pewna, że sprawa szybko da się wyjaśnić. To była tylko drobna sprzeczka.

- Muszę się napić - powiedziała Sara, z lodówki wyjmując wino. -

Poczęstowałabym wszystkich, ale została tylko odrobina i ja ją wypiję, na wypadek gdyby mnie aresztowali.

Wszyscy pokiwali głowami na zgodę. Nikt nie chciał odmawiać Sarze kropelki wina po tym, co przeszła.

- Bardzo was wszystkich przepraszam - powtórzyła Victoria. - Przysięgam, że do końca życia nie zrobię nigdy nic głupiego.

- To bez znaczenia, kochanie. Dla mnie ważne jest tylko to, czy z tobą wszystko w porządku. Ten facet potrzebuje poważnej pomocy i nie chodzi mi wyłącznie o ciało.

- Gemma mocno przytuliła córkę, jakby nigdy więcej nie miała jej od siebie puścić. Teraz wiedziała, że Victoria da sobie radę. Jej romans z mroczną stroną życia dobiegł końca. Geny matki odniosły zwycięstwo nad genami ojca i nie trzeba będzie mówić jej żalostnej prawdy o pochodzeniu.

Na razie Victoria wiedziała, że jej ojciec był uroczym człowiekiem, z którym Gemma spotykała się przez krótki czas przed jego wyjazdem na stałe do Nowej Zelandii, gdzie dawno temu zginął podczas wspinaczki w górach. Gdyby Victoria kiedykolwiek zapragnęła odwiedzić jego grób, Gemma zamierzała jej powiedzieć, że został poddany kremacji i chyba nie miał żadnych krewnych. Na szczęście jak dotąd Victoria nie wyraziła ochoty na odkrywanie swoich korzeni.

Po policzku Buddy'ego spływał strumyczek krwi. Ten kraj jest nienormalny, pomyślał z goryczą, nawet kobiety są tu niespełna rozumu. Kumple mówili, że w Irlandii Północnej mieszkają same świry, za to ci z południa to sympatyczni, przyjacielscy ludzie. Buddy tęsknił za bezpieczeństwem swojej dzielnicy w Bronksie. Czaszka pulsowała mu potężnym bólem, przy każdym uderzeniu serca miał wrażenie, że głowa rozpada mu się na dwoje. Postanowił, że nie złoży oskarżenia. Nie chciał, by jego sytuacja osobista znalazła się pod ostrzałem. W dodatku za podróż zapłacił kradzioną kartą kredytową. Jak tylko zdoła samodzielnie iść, wyniesie się z tego okropnego miejsca i wróci do Ameryki. Położył głowę na piasku i znowu zamknął oczy.

Rozdział 28

Idealny dzień

Rodzice Sary pojechali do domu. Wyprawa do Redstone bardzo dobrze im zrobiła, tak powiedzieli. Dzięki niej docenili swój kwiecisty pałacyk w Islington. Raz na zawsze zrezygnowali z mglistych marzeń o powrocie do Irlandii. Przestali łaknąć starości w spokoju irlandzkiego wybrzeża. A poza tym kilka razy wybrali się do pubu Callaghana i tam przekonali się naocznie, jak mało znajomych z dawnych czasów tu pozostało. Teraz ich przyjaciele w większości byli londyńczykami. Anglikami. Co w tym złego?

Sara pojechała z nimi autobusem aż do Galway; skoro była już w mieście, z ociąganiem sprzedała swoją złotą bransoletę w lombardzie. Dostała za nią niezłą sumkę, wystarczającą na czynsz i skromne utrzymanie na następny miesiąc. Ojciec zaproponował jej pieniądze, ale nie chciała uszczuplać jego oszczędności. Richard Quinn przez czterdzieści lat harował jako elektryk, a ona nie zamierzała trwonić owoców jego pracy, leżąc brzuchem do góry w Różanej Chacie. Przysięgła sobie, że niedługo znajdzie pracę. Może w smażalni!

Następnie poszła do kafejki internetowej, podłączyła do komputera swój aparat cyfrowy, po czym przesłała do znajomego wydawcy w Londynie fotografie koni z karuzeli, nostalgiczne ujęcia starej sali tanecznej oraz przypiętych łańcuchami leżaków. Znajomy specjalizował się w albumach i ilustrowanych kalendarzach.

Szanse naturalnie były małe. Tak małe, że właściwie prawie nie warto było próbować. Z drugiej strony Sara zdawała sobie sprawę, że miała dobry pomysł. Błyszczące kalendarze na biurko z mnóstwem wolnego miejsca na notatki, ale też zajmującymi całą stronę fotografiami irlandzkiego wybrzeża z przeszłości oraz propozycjami spędzenia paru dni na Szmaragdowej Wyspie. Bardzo aktualne w czasach współczesnej paranoi na punkcie globalnego ocieplenia i zbyt wieloma ludźmi przenoszonymi się z jednego końca planety na drugi w zbyt wielu samolotach. Sara dołączyła list z krótkim planem kalendarza, kontaktem do siebie oraz informacją, że

obecnie nie ma komputera, a potem jednym ruchem myszki wszystko to wysłała.

Magia!

Na końcu poszła do innego lombardu i sprzedała aparat. Zaoferowano jej dobrą cenę, którą natychmiast przyjęła w obawie, że jeśli zacznie się zastanawiać, rozklei się i zmieni zdanie. Aby uczcić nieoczekiwany przyływ gotówki, w delikatesach w centrum miasta kupiła wino i dobre jedzenie. Wracając autobusem do domu z portmonetką pełną banknotów, na które wymieniła dwa czeki, postanowiła, że aż do początku lata pozwoli sobie na wytchnienie w Redstone. I będzie więcej czasu spędzała z Ethanem. A potem wróci do Islington i zacznie szukać pracy. Jakiegokolwiek pracy, nawet w kasie supermarketu, jeśli nic innego się nie trafi.

Kiedy weszła do Różanej Chaty, panujący w niej spokój odebrała jak balsam na zmysły. Policjanci przyszli i poszli - nie zamierzali aresztować jej ani oskarżać o napaść. Dzięki Bogu. Buddy'emu w najbliższym szpitalu udzielono pomocy, po czym przewieziono go na lotnisko. Teraz był już z powrotem w Nowym Jorku. Nikt nie wątpił, że wykurował się ze swojej „miłości” do Victorii Hayes.

Gemma i Victoria znowu były przyjaciółkami, ze śmiechem porównując swoje siniaki. Gemma zdobyła zlecenia na prowadzenie kolumn w kilku miejscowych czasopismach i perspektywy nie wyglądały źle. Aurora powiedziała jej, żeby nie martwiła się pożyczką, to może poczekać, aż Gemma stanie na nogi. Do czego by to doszło, gdyby kobiety nie trzymały się razem w sytuacji kryzysowej?

Przekonała się, że na Ethanie można polegać w trudnych chwilach. Nie zniechęciło go poznanie jej matki ani ubóstwo, przez które musiała sprzedać najwartościowsze rzeczy. W sumie życie nie było takie złe.

Przypomniała sobie o liście Abigail cierpliwie czekającym na regale, gdzie pewnie matka albo ktoś inny położył go w dniu, gdy Buddy w dramatycznych okolicznościach zawarł znajomość z posażnikiem ze Srebrnej Klatki dla Ptaków. Sara zrobiła sobie herbaty, dziwiąc się swemu uzależnieniu od dotyku ciepłej filiżanki w dłoniach. Rozpaliła ogień w kominku, z przyjemnością przesuwał palcami po miękkiej jak puder powierzchni rozpałki. Wreszcie usiadła w fotelu na biegunach i zabrała się do lektury listu, spodziewając się zabawnych wiadomości o dziewczętach, zwłaszcza o najrozmaitszych wybrykach Elizy.

Prawda powoli docierała do jej świadomości. Nawet kiedy odczytała imię „Mackenzie”, nie pojmowała. Abigail i Mackenzie się pobierają. Sara nie potrafiła w to uwierzyć. Pobierają się w czerwcu? Abigail zakochała się w Mackenzie? Porzuciła swoją ważną pracę w Londynie?

To wszystko było nie tak, to było bardzo nie w porządku. Oboje byli samotni, zranieni, pogrążeni w żałobie i zmęczeni odgrywaniem roli silnych i dlatego się ku sobie zwrócili, wyłącznie dlatego. A mimo to kiedy Sara o tym myślała, widziała wyraźnie, że ci dwoje są dla siebie stworzeni. Z oczami pełnymi łez czytała koniec listu. Kochana, słodka Abigail, jak zawsze troskliwa. Tak, Sara pobłogosławi ich związek. I tak, to złamie jej serce, ponieważ na tym zakończy się jej przyjaźń z Abigail. Zbyt trudno, zbyt niezręcznie byłoby udawać, że Mackenzie nigdy nie był zaręczony z Sarą, że Sara nie sypiała z nim przez pięć lat, że знаła jego ciało i że uciekła od niego sprzed ołtarza.

- Napiszę do niej jutro albo pojutrze - powiedziała Sara tańczącym na stercie czarnego torfu pomarańczowym płomieniom.

Jedna z brył pękła na pół z cichym trzaskiem. Sara obserwowała wachlarz jasnych iskerek unoszących się do komina i nie mogła powstrzymać płaczu.

Egoizmem było oczekiwać, że inni ludzie pozostaną w miejscu, zdawała sobie z tego sprawę. Mackenzie i Abigail są wolni. Nie zrobili nic złego. Mimo to Sarze nie mieściło się w głowie, że teraz stanowią parę. Straciła najlepszą przyjaciółkę, swoją linę ratunkową. Wyglądało na to, że jest sama na tym świecie.

- Tak - szepnęła - ułatwię to Abigail. Zasługuje na szczęście, tak samo jak Mackenzie. Ale Boże, będę za nimi obojgiem tęskniła. - Znowu wybuchnęła płaczem.

Postanowiła, że nie chce nigdy wracać do chwili, w której zrozumiała, że straciła najlepszą przyjaciółkę. Przeczytała list raz jeszcze, wsunęła kartki do ciężkiej twardej koperty i z szacunkiem położyła ją na ogniu. Westchnęła, gdy z listu Abigail pozostał tylko popiół. Potem spaliła też paragony za sprzedaż bransolety Mackenziego i aparatu. Doszła do wniosku, że nigdy tych przedmiotów nie odkupi, więc po co miałyby trzymać kwity?

Znowu zaparzyła herbatę. Mocno trzymając filiżankę w dłoniach, pomodliła się o szczęście dla Mackenziego, o powodzenie jego trzeciej próby uwierzenia w potęgę

miłości. Po jakimś czasie wyszła, by zapłacić pani Casey zaległy czynsz i kupić kilka rzeczy na planowaną kolację. Świece, pudełko zapalek, serwetki, lody.

Kiedy wieczorem wpadł Ethan i zapytał, czy Sara ma ochotę pójść na drinka do pubu, wciągnęła go do środka, zamknęła drzwi, zarzuciła mu ramiona na szyję i długo całowała.

- A to z jakiego powodu? - zapytał ze śmiechem.

- Nie podobało się? - odparła żartobliwie.

- Wręcz przeciwnie. Jestem zachwycony.

- To dlatego, że byłeś miły dla moich rodziców.

- A dlaczego miałbym nie być dla nich miły? - zapytał szczerze zdziwiony.

- No wiesz, nie każdy mężczyzna zadałby sobie tyle fadygi dla dziewczyny, którą niedawno poznał. A oni przy bliższym poznaniu są naprawdę uroczy. Mają złote serca.

- Nie ma sprawy, naprawdę. Lubię ich - uśmiechnął się Ethan.

- Ja też.

- No to jak, idziemy na drinka czy nie? Myślałem, że coś tam przekąsimy.

Umieram z głodu.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to dzisiaj rano w Galway kupiłam trochę jedzenia i butelkę czerwonego wina. Pomyślałam, że coś dla nas przygotuję. Steki, nic wymyślnego. Ale nie mam ochoty iść do pubu. Zgadzasz się?

- Jasne, że możemy zostać, tak będzie nawet lepiej.

- Poza tym nie chcę, żeby policja pomyślała, że szaleję po knajpach, choć dopiero co popełniłam akt przemocy.

- Trafna uwaga.

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie.

- Śmiesznie mówić coś takiego, kiedy ma się tyle lat... ale ja naprawdę cię lubię, Ethan.

- Dziękuję za ten wyraz zaufania, panno Quinn. To co wcześniej powiedziałem, wciąż jest aktualne - odparł łagodnie. - Chociaż wiem, że jeszcze na to za wcześnie, więc przez jakiś czas nie będę tego powtarzał.

- Okay. Zdejmij kurtkę i usiądź przy ogniu. Och, posłuchaj mnie tylko, ostatnimi czasy brzmię bardzo po irlandzku. Można by pomyśleć, że są lata czterdzieste i wszyscy chorują na zapalenie płuc!

Poszła do kuchni, by wyjąć z lodówki steki i sałatę.

- Pomóc ci? - zapytał Ethan, podążając za nią do małego aneksu kuchennego.

- We dwoje tu się nie zmieścimy - roześmiała się Sara - ale możesz przenieść ten stół pod okno w salonie. Kupiłam też świece, więc zapal kilka, dobrze?

- Jasne. Już się robi.

Godzinę później oboje siedzieli wygodnie przy stole. Zjedli steki, zieloną sałatę i ziemniaczane placuszki. Sara przyrządziła je, dodając pokrojoną cebulkę do gniecionych ziemniaków i formując z masy puszyste placki, które usmażyła na maśle, tak jak robiła to jej matka. W butelce zostało niewiele wina, świece jedna po drugiej gasły. Ethan zapalił nowe i zażartował, że Różana Chata wygląda jak kapliczka.

- Będziemy mieć kapliczkę, kiedy policja odda mi Buddę - roześmiała się Sara.

Słyszeli fale przyływu rozbijające się na plaży sto metrów od nich. Żadna z nowych przyjaciółek Sary nie odwiedzi jej dzisiaj wieczorem. Uprzedziła wszystkie, że zaprosiła na kolację Ethana, a one zrozumiały, co to oznacza: poważną rozmowę.

- Kilka dni temu dostałam list od Abigail - zaczęła Sara - ale przy tym całym zamieszaniu z Buddem i wizytą moich rodziców wołałam zostawić go sobie na później, kiedy będę sama. Tak czy owak Abigail napisała, że wychodzi za Mackenziego.

- Co? Twojego Mackenziego?

- Tak - uśmiechnęła się Sara. - Ona też tak go nazwała. Ale przecież on nie jest mój, prawda? Nikt nie należy do drugiej osoby.

- Tylko że to dość nagła sprawa, co? Ile czasu minęło? Nawet nie trzy miesiące, tak?

- Tak. Wszystko zaczęło się w okolicy Nowego Roku.

- Tobie to nie przeszkadza?

- Przypuszczam, że nie mam innego wyjścia. A najśmieszniejsze w tym jest to, że są dobraną parą, byłabym nieszczerą, gdybym twierdziła inaczej.

- Nie wiem, co powiedzieć. Jedno jest pewne, facet nie zasypia gruszek w popiele.

- Tak, ale wiesz, on ma czterdzieści dziewięć lat. Pewnie nie może sobie pozwolić na kolejne dziesięć lat smętnego snucia się z kąta w kąta.

- Naprawdę ma czterdzieści dziewięć lat? Hej, a ja założyłem, że jest w twoim wieku - powiedział Ethan nieco przytłoczony tą informacją, a także faktem, że Mackenzie jest właścicielem posiadłości w Szkocji i mieszka w zabytkowym dworze z gargulcami.

- Kiedy byliśmy razem, nie poświęcałam tym sprawom zbyt wielkiej uwagi - odparła Sara, wstając od stołu.

- Kolacja była wyśmienita, dziękuję bardzo - powiedział Ethan pośpiesznie, także się podnosząc i zbierając talerze. - Pozmywam.

- Zostaw. Usiądźmy i porozmawiajmy.

- Okay.

Kiedy jednak usiedli na sofie, słuchając zrywającego się na dworze wiatru, który pogwizdywał pod okapami, znowu zaczęli się całować. Bardzo łagodnie i czule, niepewni siebie wzajemnie. Oboje żałowali, że Sara wspomniała o Mackenzie, bo teraz mieli wrażenie, że są odpadkami z jego historii miłosnej. W każdym razie Sara trochę tak się czuła. Jakby to ona była tą niedojrzałą, która nie potrafi radzić sobie z emocjami osób dorosłych.

Ethan w gruncie rzeczy nie miał wrażenia, że jest substytutem, choć cień odwołanego ślubu Sary bez wątplenia nad nimi się unosił. Może zawsze tak będzie, pomyślał ze smutkiem. Może rozwój wypadków uświadomi Sarze, co straciła, i zapragnie wrócić do tamtego życia w Szkocji. Kobiety to szalenie skomplikowane istoty. Ethan nie znosił tego rodzaju uprzedzeń, ale to była prawda. Dopóki nie będzie wiedział na pewno, że Sara raz na zawsze przestała żywić jakiegokolwiek uczucia do Mackenziego, nie może proponować jej związku.

- Spędzisz dzisiaj noc ze mną? - zapytała znacząco Sara, wrywając go z zamyślenia.

- Co?

- No wiesz, spędzisz ze mną dzisiaj noc? Potaknął.

Może jednak Sarze nie zależy na Mackenzie. W każdym razie Ethan taką miał nadzieję...

- Chodźmy - powiedziała, biorąc go za rękę. - Zimno tutaj. Kiedy wieje wiatr tak jak dzisiaj, tego pokoju po prostu nie da się ogrzać. Zastanawiałam się, dlaczego pani Casey dawno temu nie sprzedała tego domu za grube pieniądze, ale teraz zaczynam rozumieć. Miejscowi chyba na pierwszy rzut oka rozpoznają zimny dom.

Razem poszli do sypialni. Ethan od razu zauważył, że Sara przytulniej ją urządziła. Zawiesiła grubsze zasłony na oknie, łóżko przykryła satynową narzutą w kolorze oberżyny. Na stoliku nocnym stała lampka z fioletowym abażurem zdobionym paciorkami, na wcześniej pustej ścianie wisiało serduszko z gałązek, a na podłodze leżał dywanik.

- Byłaś na zakupach? - zapytał, siadając ostrożnie na łóżku, by nie zburzyć układu poduszek.

- Nie, to są rzeczy, które rodzice przywieźli mi z mojego dawnego pokoju w Londynie. Zabiorę je, kiedy będę stąd wyjeżdżać.

- Ale jeszcze nie wyjeżdżasz?

- Zostaję co najmniej do początku lata. A potem kto wie, co się zdarzy?

Sara zgasiła górne światło, zostawiając tylko małą lampkę, która rzucała stłumiony fioletowy cień na białe ściany, zamieniając niewielki pokój w magiczną przestrzeń. Na świeżych białych powłóczkach widniały zgięcia powstałe przy prasowaniu. Całość sprawiała bardzo przytulne wrażenie. Sara usiadła obok Ethana i znowu go pocałowała, przesuwając dłońmi po jego twarzy. Pomyślała nie po raz pierwszy, że jest piękny. Niemal żałowała, że będzie z nim dzisiaj spała, nie chciała, żeby jej wyobrażenia o nim uległy zburzeniu. Ethan był bardzo seksowny w codziennym życiu: miał piękne dłonie i zmysłowe, obrzmiałe usta. Byłaby bardzo rozczarowana, gdyby w łóżku okazał się egoistą. Mimo to nie zamierzała tego dłużej odkładać. Czas ruszać dalej. Na dobre przestała być dziewczyną Mackenziego.

- Położymy się? - zapytała. - Będzie nam cieplej,

- Jesteś pewna, że powinniśmy to zrobić?

- Tak, jestem pewna.

- Czy powodem jest Mackenzie? - zapytał cicho Ethan.

- To, że oświadczył się Abigail?
- Tak. Nie przeszkadzałoby mi, gdybyśmy jeszcze trochę poczekali.
- Nie chodzi o nich. Jestem już gotowa, to wszystko.
- Okay.

Rozebrali się i wsunęli pod kołdrę. Mimo stłumionego światła rzucanego przez lampę z abażurem Sara wyraźnie widziała blizny po oparzeniach na plecach i boku Ethana, ale to jej nie denerwowało. Blizny stanowiły część jego historii i podziwiała go za uratowanie życia Patrickowi Gormleyowi. A ten nieszczęśnik nie docenił cudownego gestu Ethana na tyle, by mu się odwdziaczyć. Zaczął lać ulewny deszcz, krople rytmicznie bębniły w dach. Ethan zaczął pieścić Sarę pod kołdrą.

- Masz śliczną skórę - powiedział. - Jest gładka jak marmur...

Na początku Sara czuła niewiarygodną nieśmiałość, ale po chwili się odprężyła i oddała inicjatywę Ethanowi. W łóżku był tak samo troskliwy i uważny jak poza nim. Objęła go za szyję i pocałowała. Wkrótce też zaczęła pragnąć, by się z nią kochał. Czule i łagodnie, jak najlepszy z przyjaciół. Łaknęła przyjaźni, ponieważ straciła dwoje ludzi, których na całym świecie ceniła najbardziej. Chciała wypełnić potężną lukę pozostawioną przez siłę Mackenziego i mądrość Abigail. A także odegnąć samotność, która jak się obawiała, stanie się jej udziałem, jeśli zamknie się w sobie i będzie rozpaczać z powodu zerwania z Mackenzie. Lubiła przebywać w towarzystwie Ethana i podobał jej się bardziej, niż nawet przed sobą przyznawała. Miał takie piękne usta, czasami kiedy mówił, nie potrafiła oderwać od nich wzroku.

Ethan położył się na plecach i łagodnie wciągnął ją na siebie.

- Och, Ethan, poczekaj, najpierw zgaszę światło - szepnęła.
- Dlaczego?
- Nie chcę, żebyś na mnie patrzył.
- Dlaczego?
- Nie chcę.
- A ja chcę cię widzieć.
- Jeszcze nie.

Pochyliła się i zgasila lampkę, ale wpadająca przez szczelinę w nowych zasłonach księżycowa poświata rozpraszała mrok. Ethan łagodnie wyprostował Sarę, by móc lepiej ją widzieć.

- Jesteś piękna - powiedział, podziwiając małe jędrne piersi oświetlone księżycem. - Nie powinnaś mi zabraniać patrzeć na siebie. Masz taką szczupłą talię...

Sara pochyliła się, by go pocałować. Tym razem to był długi pocałunek. Nagle przestali zachowywać się z nieśmiałą uprzejmością, ogarnęło ich pożądanie.

Sara całowała go w szyję. Ethan delikatnie wsunął dłoń między jej nogi i przekonał się, że jest gotowa. Lekko przechylił jej ciało do tyłu, a ona wprowadziła go w siebie. Kiedy wreszcie się złączyli, było cudownie, wbrew swoim wcześniejszym obawom Sara wcale nie czuła zakłopotania. Ethan pieścił jej talię i wpatrywał się w nią. Oboje się uśmiechali. Potem Sara zamknęła oczy na chwilę, bo Ethan zaczął się w niej poruszać i pytać, czy jest jej dobrze.

- Tak - odparła. - Wspaniale.

Stopniowo odzyskała pewność siebie na tyle, by przejąć inicjatywę; kołysała się w przód i tył, aż poczuła, jak rodzi się w niej znajome doznanie. A potem przeszył ją elektryzujący dreszcz rozkoszy. Ethan poczuł to samo i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Przepraszam, że tak krótko to trwało - powiedział. - Było za dobre.

Następnym razem będzie lepiej...

- Było cudownie. Dziękuję ci - odparła Sara.

Położyła się obok niego. Pocałował ją, a ona oparła głowę o jego pierś. Przytuleni pod oberżynową narzutą słuchali deszczu bębniącego o dach i syczenia fal na plaży, zastanawiając się, które pierwsze przerwie milczenie.

- Kocham cię - szepnął Ethan, zakręcając pasma jej włosów w połyskliwe spirale.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała, prawie zasypiając.

- Saro, mówisz poważnie? Naprawdę?

- Tak.

- Skąd wiesz? Myślałem, że to dla ciebie za wcześnie.

- Czuję, że tak powinno być. Po prostu tak jest słusznie. Przy tobie czuję się swobodnie. Wiem, że mogę być sobą, i to mi się podoba. To bardzo miłe doznanie.

Ethan znowu ją pocałował i oboje zasnęli.

Rozdział 29

Przyznaję się do winy

Przy śniadaniu Miriam była w okropnym nastroju. Z głośnym trzaskiem postawiła na stole talerze i kubki, a kiedy rozchlapała mleko, nie sięgnęła po ścierkę, żeby je zetrzeć. Patrick patrzył na biały płyn rozlewający się po różowym obrusie i bał się odezwać. Taki otwarty pokaz złego humoru był w ich małżeństwie czymś nowym. Zwykle dom stanowił dla Miriam źródło dumy i Patrick niczego nie mógł przesunąć nawet o centymetr, bo od razu to zauważała i poprawiała.

- Równie dobrze możesz o tym wiedzieć - przemówiła, siadając ciężko i gniewnie spoglądając na męża ponad tosterem. - W Nowym Jorku spałam z mężczyzną.

- Co powiedziałaś? - Głos Patricka był ledwie schrypniętym szeptem.

- Poszłam do łóżka z pewnym mężczyzną. Młodszym ode mnie. Zrobiłam to raz, zauważ, tylko raz, ale było cudownie.

Miriam patrzyła na Patricka, jakby go nienawidziła. Pogardała nim. W tej chwili istotnie go nienawidziła. Żałowała, że za niego wyszła, że w ogóle go poznała.

Patrickowi serce waliło z niepokoju, ale to nie było nic nowego. Czuł, jak ogarnia go znajoma panika, od której kręciło mu się w głowie.

- Mówisz poważnie? Zastanawiałem się, dlaczego zadałaś sobie tyle trudu dla córki Gemmy Hayes. Więc przyszła ci ochota na skok w bok? W porządku. Ale dlaczego mi o tym mówisz?

- Chciałam zajść w ciążę. Zrobiłam to, żeby zajść w ciążę.

- O mój Boże! Chcesz powiedzieć, że się nie zabezpieczyłaś? Nawet nie wiesz, kim on był.

- Wiem. Był bardzo miły. I omówiliśmy tę kwestię, jeśli chcesz wiedzieć.

- Jezu, czy ty całkiem straciłaś rozum?

- Nie musisz się przejmować, najdroższy Patricku. Nie udało się. Dzisiaj rano dostałam okres.

- Rozumiem. To wiele wyjaśnia. Mleko...

- Rozlane mleko! I nic więcej nie jesteś w stanie powiedzieć?

- A co chcesz, żebym powiedział? „Przykro mi, że nie zaszłaś w ciążę z tym swoim amerykańskim żigolakiem?” A przy okazji, ile pieniędzy wydałaś?

- Kilka tysięcy.

- Nie stać nas na to.

- Wiem, że nie.

- Więc dlaczego pojechałaś? - zapytał, podnosząc głos.

- Ponieważ mi nie zależy - odparła obojętnie.

- Na czym ci nie zależy?

- Zaczniemy od tego, że po tym co stało się rano, nie zależy mi na dziecku.

Wygląda na to, że macierzyństwo nie jest mi pisane. Nie zależy mi też na pieniądzach, których nie mamy. Nie zależy mi na tobie i twojej cholernej fobii. Nie zależy mi na tym pieprzonym domu i wszystkich idiotycznych ozdobach, na których kolekcjonowaniu zmarnowałam tyle lat. Po prostu nic mnie nie obchodzi. Dokładnie nic.

Patrick nie odrywał od niej wzroku.

- Nie wierzę ci - powiedział chrapliwie. - Kochasz ten dom.

- Już nie.

- Kupiłem ci go w prezencie ślubnym.

- Przykro mi, Patrick. Zmieniłam się. Znudził mnie ten lawendowy dom.

- Tak?

- Tak. Śmiertelnie znudził.

Zapadło milczenie, które po chwili przerwał Patrick.

- Pod pewnym względem to dobrze.

- Jak to? Dlaczego niby to dobrze?

- Jesteśmy bankrutami.

- Co?

- W czasie twojego wyjazdu dostałem list. Nie byłem w stanie spłacać wszystkich naszych kart kredytowych, Miriam, więc w zeszłym roku pod zastaw domu wziąłem kredyt konsolidacyjny.

- Nie podpisywałam żadnego wniosku o kredyt.

- Sfalszowałem twój podpis. To zresztą teraz dyskusja akademicka, ponieważ spłacanie kredytu konsolidacyjnego także przerosło moje możliwości. Za kilka miesięcy dom zostanie zajęty.

- Mówisz prawdę, Patrick?

- Tak. Zaległości wynoszą czterdzieści tysięcy euro. Nie ma sensu prosić banku o pomoc, bo żadne z nas nie ma stałej pracy. Poza tym już za późno na negocjacje. Chcą pieniądze na koniec miesiąca, w przeciwnym razie będzie po nas.

Miriam cicho westchnęła.

Pokój wirował, ozdoby i jaskrawe kolory kręciły się wokół niej. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

- Przepraszam, że cię zawiodłem - mówił Patrick. - Nie tylko w jednej sprawie...

Przez kilka minut ciszę w pokoju przerywało tylko tykanie zegara na ścianie. Miriam naląła herbaty do filiżanki i wypila, omijając wzrokiem wstrząśniętą, pobladłą twarz męża. Nie miało sensu dłużej ignorować prawdy, powiedziała sobie. Patrick od lat nie pracował, ponieważ nie był w stanie spojrzeć ludziom w twarz ani rozmawiać z nimi w codziennych sytuacjach. Pisanie do angielskiego czasopisma dla wędkarzy było jego jedynym zajęciem, za co dostawał tygodniowo marne sto pięćdziesiąt funtów. Nie lubił długo przebywać we wnętrzach, chyba że we własnym domu. Nie lubił latać samolotami ani jeździć pociągami czy autobusami. Przestał także sam prowadzić samochód.

Nie znoził przebywać w miejscu, gdzie inni ludzie mogliby stać się świadkami jego niepokoju. Nie brał udziału w ślubach, pogrzebach, przyjęciach. Nie chodził do kina, do supermarketu, fryzjera ani lekarza. Odmówił wyjazdu do dublińskiej kliniki leczenia niepłodności. A Miriam nie pracowała, ponieważ nie lubił, by w ciągu dnia przebywała zbyt daleko do niego. Bo mógł dostać jeden z tych swoich ataków paniki i potrzebował jej, żeby rozmową się z niego wydobyć. W dodatku sytuacja wcale się nie

poprawiała. Patrick powiedział, że z czasem będzie lepiej. Przynależ jej to, ale wcale tak nie było.

- Pewnie miał wazektomię, ten facet, którego poznałam w Nowym Jorku - powiedziała nagle Miriam, jakby mówiła do siebie. - Pewnie śpi z mnóstwem kobiet i wolał się wysterylizować, żeby nie płacić alimentów na tuziny dzieci. Ale jestem głupia. Nie przyszło mi do głowy, żeby go o to zapytać. Zapytałam tylko, czy jest zdrowy.

- Przespałabyś się z nim, gdybyś wiedziała, że nie masz szans na ciążę? Chciałaś spać z innym?

- Dlaczego o to pytasz, Patrick? Przecież już dość masz na głowie.

- Lepiej bym się czuł, gdybym wiedział, że zrobiłaś to tylko ze względu na dziecko.

- Przeszkadzałoby ci, gdybym dziś rano dowiedziała się, że jestem w ciąży?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Och, pieprzyć to, Patrick. Wpadliśmy w cholerne tarapaty, co? Nie mam pojęcia, co pocniemy.

- Nie zostawiaj mnie, Miriam - szepnął ze łzami w oczach. - Chciałem ci dzisiaj powiedzieć o pieniądzach. To tylko kwestia czasu, zanim zaczną telefonować. Ale to nie musi oznaczać końca wszystkiego. Nie musi oznaczać końca między nami. Sprzedamy dom, spłacimy długi i kupimy coś mniejszego. Pójdę do tej kliniki w Dublinie, przysięgam. Pójdę wszędzie, gdzie mi każesz. Zrobię to, Miriam, pójdę do lekarza i na wszystko się zgodzę.

- Naprawdę? - zapytała zdumiona. - Choć tyle czasu minęło? Dziesięć lat? Zawsze mówiłeś, że sam wyzdrowiejesz. Z czasem, tak mówiłeś.

- Tylko że nie wyzdrowiałem. Jeśli już, to mój stan się pogorszył. Umówiłem się z agentem z biura nieruchomości na wycenę domu, ale kiedy przyszedł z taśmą mierniczą i aparatem, nie byłem w stanie otworzyć drzwi. Stałem w holu koło regału i czekałem, aż sobie pójdzie. Nie możemy dłużej tak żyć, Miriam.

- Wiem.

- A gdybyśmy się rozstali, dom i tak trzeba by sprzedać. Ty nie dałabyś rady utrzymać go sama, a moje wynagrodzenie nie wystarczyłoby na jeden dom, nie

mówiąc już o dwóch. Najlepiej zrobimy, jeśli teraz sprzedamy go sami i spróbujemy wytargować wysoką cenę. W przeciwnym wypadku towarzystwo kredytowe może chcieć szybko się go pozbyć. Obniżą wartość, nam wejdą na konto i zostaniemy bez niczego.

- Ale co ze mną i tym facetem w Nowym Jorku? Myślałam, że wyrzucisz mnie na ulicę, kiedy ci powiem.

- Dlaczego miałbym to zrobić? Miriam, ja cię kocham.

- Ale ja cię zdradziłam.

- To prawda. Nie winię cię. Niełatwo ze mną żyć.

- Och, Patrick! Tak mi przykro!

- No cóż, ostatnie dziesięć lat to nie były szczęśliwe lata, prawda? Nie byłem dobrym mężem.

- Ale dlaczego, Patrick! Co się z tobą stało? Zanim się pobraliśmy, byłeś zupełnie inny, zabawny i towarzyski. Wszyscy powtarzali, że lubią z tobą przebywać.

- Zrobiłem złą rzecz, Miriam. Mogę ci o tym powiedzieć, skoro wpadliśmy dzisiaj w nastrój zwierzeń. Podłożyłem ogień w wesołym miasteczku.

- Co?

- Słyszałaś. Podpaliłem wesołe miasteczko.

- Dlaczego?

- Żeby dostać ubezpieczenie, na litość boską! Było wysoko ubezpieczone.

- Ale mogłeś za to pójść do więzienia. Och, Patrick, co za idiota z ciebie! To dlatego Ethan Reilly tak się wtedy poparzył? Próbował cię powstrzymać? Zawsze myślałam, że musiał oszaleć, podchodząc tak blisko ognia, skoro nikogo tam nie było! Jak mogłeś zrobić coś tak kompletnie bezmyślnego, tak bezdennie głupiego?

- Sporo ryzykowałem, to prawda. Ale wszędzie były moje odciski palców, więc w żaden sposób nie mogli mi udowodnić, że zrobiłem to celowo. Wepchnąłem opakowania po frytkach do grzejnika gazowego w namiocie z samochodzikami.

- Patrick! Grzejnik mógł eksplodować!

- Zbiornik był prawie pusty, sprawdziłem.

- Mimo to mogłeś zginąć.

- Może byłoby lepiej, gdybym wtedy zginął.

- Nawet tak nie mów!

- Dlaczego nie? Przecież to prawda. Od tamtej nocy moje życie to koszmar. Nerwy mam w strzępach, cholera. Nie mogę pójść do dentysty ani nigdzie bez strachu, że będę miał atak serca. Powinienem był skończyć z tym wiele lat temu.

- Nie!

- Ty już mnie nie kochasz. Przed chwilą powiedziałaś, że na niczym ci nie zależy.

- Byłam rozczarowana, że nie zaszłam w ciążę.

- Może gdybym dzisiaj wypłynął w morze... Wróciłybyś do Ameryki, poznała prawdziwego mężczyznę i sypiała z nim tak często, aż byłabyś pewna, że będziesz miała dziecko. Zresztą nie musiałabyś jechać do Ameryki, bez problemu znalazłabyś partnera gdziekolwiek. Jesteś piękną kobietą. Bez najmniejszego trudu wyszłabyś znowu za męża.

- Patrick, nie bądź taki. Powiedziałeś, że zrobisz wszystko, co zechcę, że pójdziesz do lekarza i postarasz się coś z tym zrobić.

- Tak powiedziałem, bo nienawidzę swojego obecnego życia, Miriam. Nienawidzę, rozumiesz?

- Och, Patrick! - szlochała Miriam. - Tak mi przykro, bardzo przykro. Kocham cię.

- Naprawdę?

- Tak! Jasne, że cię kocham, chociaż czasami straszny z siebie głupiec.

- Wiem, że jestem głupi. Czasami żałuję, że Ethan Reilly wrócił tamtego wieczora.

- Co to znaczy? Chcesz powiedzieć, że zapłacił cenę za twoje szaleństwo?

- Tak. Nie chciałem, żeby komukolwiek stała się krzywda, a tym bardziej żeby Ethan do końca życia miał takie głębokie blizny. Ale to nie koniec tej historii, moja droga. Ethan wrócił, żeby sprawdzić, czy nic się nie dzieje. Chyba wiedział, jak bardzo dręczyła mnie ta sprawa sądowa. Wielkie odszkodowanie zrujnowałoby nas doszczętnie. W sądzie zeznał, że wrócił po portfel. Ale ludzie nie wiedzą, że uratował mi życie. Ja wciąż tam byłem, Miriam.

- Jezusie przenajświętszy! To staje się coraz gorsze! Do diabła, o czym ty mówisz! Wciąż tam byłeś? Dlaczego tam byłeś? Patrick, niech twoja odpowiedź mnie przekona, w przeciwnym razie mogę się spakować i jednak odejść!

- Nie miałem wyboru, skarbie. Wciąż tam byłem, ponieważ znalazłem się w pułapce i nie potrafiłem wyjść z namiotu. Stopa uwięzła mi w torze. Powinniśmy go byli naprawić w dniu, kiedy zauważyliśmy, że odstaje od podłoża, wiem o tym, ale samochodziki były naszą największą atrakcją i nie mogłem sobie pozwolić na zamknięcie namiotu na tydzień. Remont toru kosztowałby fortunę, jeśli wziąć pod uwagę stracone zyski. Kiedy zaczęło się palić, chciałem wybiec. Skoczyłem nad barierką i stopa utknęła mi dokładnie w tym miejscu. Możesz w to uwierzyć? Że stopa utknie w tym jedynym uszkodzonym miejscu? To się nazywa sprawiedliwość!

- O mój Boże!

- Zginałbym, gdyby Ethan nie wrócił. Choć bywały okresy, kiedy żałowałem, że mnie uratował.

- Błagam, przestań tak mówić! Na litość boską, Ethan Reilly zaryzykował własne życie, żeby uratować twoje, a ty nawet nie jesteś mu za to wdzięczny! Kiedy u ciebie pracował, nie płaciłeś mu dobrze, skoro o tym mowa. To właściwie było kieszonkowe. I z całą pewnością nic nie dałeś mu po wypadku. Powinieneś być mi o tym powiedzieć. Nie trzeba było kupować domu, skoro w gruncie rzeczy nie mogliśmy sobie na niego pozwolić. Biedny Ethan. Cała wioska myśli, że jest trochę słaby na umyśle. Od dziesięciu lat wszyscy są przekonani, że bardzo dziwnie się wtedy zachował. Bez żadnego istotnego powodu wbiegł prosto w płomienie i poważnie się poparzył. Jezu Chryste! Nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Do jasnej cholery! Co z ciebie za człowiek, Patrick?

- Jestem wariatem, Miriam! Tak myślisz, prawda? A co myślą Gemma i Aurora? Reszta wioski? Patrick Gormley to pieprzony świr! Chowa się po kątach, bo się boi własnego cienia!

Wstał i z rykiem, który śmiertelnie przeraził Miriam, przewrócił kuchenny stół, rozrzucając na wszystkie strony talerze, kubki, czajnik, dzbanuszek z mlekiem, toster i sztućce.

- Uspokój się! - krzyknęła Miriam. - Przestań! Co ci przyjdzie z rujnowania domu?

- Wolalbym nie żyć, niż prowadzić takie połowiczne życie! Ciągłe się boję, co będzie dalej. Nie mogę tego znieść, Miriam. Dłużej tego nie zniosę!

- Ja ci pomogę, Patrick. Jezu Chryste, nie szalej, okropnie mnie wystraszyłeś. Przyzwyczaiałam się do ciebie takiego, jakim byłeś, ale teraz się boję. Proszę, uspokój się! Nie chcę cię stracić, Patrick. Nie chcę cię stracić. Błagam! Kocham cię. Kocham cię. - Teraz już Miriam szlochała histerycznie; serce waliło jej jak młot.

- Co mówiłaś? - Patrick trząśł się na całym ciele od tłumionej przez lata frustracji.

- Kocham cię, Patrick - szepnęła.

- Pomimo wszystko? Pomimo mojego szaleństwa? Długów, w które nas wpędziłem?

- Tak, kocham cię. Nie zostawiaj mnie samej.

- A twój młody kochanek?

- Teraz pewnie nie pamięta już mojego imienia - odparła cicho Miriam.

- I nie zjawi się w naszym domu, deklarując miłość do ciebie?

- Nie bądź śmieszny. Bardziej prawdopodobne jest to, że ty zaczniesz przebierać się za Elvisa - prychnęła Miriam.

Oboje się uśmiechnęli, po czym omijając stłuczone naczynia, podeszli do siebie i objęli się.

- Och, Patrick, taka byłem głupia. Kupowałam noże do masła i koszyki, kiedy powinnam była tobie pomagać. Namawiać cię na terapię wstrząsową, jak radzą poradniki.

- Ja też byłem głupi. Co teraz zrobimy?

- Właśnie, zastanówmy się! Posprzątam i zadzwonimy do tego agenta.

Powiemy, że tamto spotkanie wypadło nam z głowy. Możesz iść posiedzieć na molo, kiedy będę omawiać z nim warunki sprzedaży. Może już ma listę potencjalnych nabywców. Następnie spakujemy wszystkie te cholerne graty i przeprowadzimy się do jakiegoś tymczasowego mieszkania. Oddamy kredyt i poszukamy mniejszego domu.

A kiedy kurz opadnie, mniej więcej za jakieś dwa miesiące, pójdziesz do lekarza.

- Zgoda. Zgoda na wszystko.

- I nigdy żadnych więcej sekretów. Nigdy. Pragnęła, by to potwierdził.

- Tak jest. Ale chcę, żebyś mi odpowiedziała na jedno pytanie.

- Jakie?

- Dlaczego z romanssem czekałaś dziesięć lat?

- To była przygoda na jedną noc, nie romans - odparła ze smutkiem. - A nawet nie przygoda na jedną noc, tylko trwające jedno popołudnie interludium.

- Ale dlaczego tak długo czekałaś?

- To Sara tak na mnie wpłynęła - odparła. - Powiedziała Gemmie, że powinna myśleć o swoim strachu przed lataniem jako o tunelu, przez który przepływa, a nie o twardej ścianie, przez którą musi się przepchnąć. Tak właśnie zrobiłam. To znaczy, podjęłam próbę zajścia w ciążę. To był pierwszy obraz, który stanął mi przed oczyma, kiedy zobaczyłam Nigela.

- Nigel?

Ha, trzeba powiedzieć, że ten żigolak ma nieciekawe imię.

- Masz rację, Patrick jest o wiele ładniejszym imieniem. Przykro mi. Zaczniemy od nowa?

- Dobrze - powiedział, całując ją w rękę. - Zaczniemy od nowa. To jak, zdejmujemy obrazy ze ścian i schowamy, zanim zaczną przychodzić potencjalni nabywcy?

- Co?

- Mówię o obrazach Brendy Brown. Czytałem w gazecie, że czasami ludzie kradną dzieła sztuki z oglądanych domów. Zwłaszcza mniejsze obiekty, które łatwo ukryć. Wpychają je pod swetry. Nie będziemy ryzykować. Wiem, ile te obrazy dla ciebie znaczą.

- Och, Patrick... Właśnie to do mnie dotarło... może jednak wcale nie będziemy musieli sprzedawać domu! Dzięki Bogu, że nie byłeś w stanie przyjąć tego agenta, bo teraz pewnie wpadlibyśmy po uszy. Obrazy nas uratują! Mimo że każdy podziwiam i kocham niemal tak samo jak ciebie. Ale jak to się dobrze składa, że teraz wybawią nas z kłopotów!

- Jakim cudem? Przecież kosztowały nie więcej niż dwieście dolarów. A może kręciłaś, mówiąc mi o ich cenie?

- Nie kręciłam, wariacie! Ceny były w katalogu, na litość boską. Ale ostatnio ich wartość podskoczyła. Rozumiesz? I to bardzo podskoczyła. Zaledwie wczoraj rozmawiałam o tym z Aurorą. Powiedziała mi, że Brenda ze swoim mężem, uroczym Seanem, była w Los Angeles. Wystawiała tam swoje prace i nie uwierzysz, ale Nicolas Cage, ten aktor, kupił jej obraz! To takie ekscytujące, że o mieszkance Redstone mówią w ogólnokrajowych wiadomościach. Nie słyszałeś niczego?

- Nie, ostatnio za bardzo przejmowałem się pieniędzmi, żeby oglądać wiadomości.

- W każdym razie kiedy Nicolas Cage kupił obraz, reszta gości od razu rzuciła się na pozostałe prace.

- Nicolas Cage? On jest sławny? W czym ostatnio występował?

- Och, Patrick! Naprawdę powinieneś częściej wychodzić z domu. To obecnie największy gwiazdor na całym świecie. Większy niż Brad Pitt, Johnny Depp albo Jake Gyllenhaal.

- Jaki Jake?

- Może się zamkniesz i wysłuchasz mnie, ty beznadziejny człowieku! Więc Brenda sprzedała całą wystawę i teraz ceny za jej obrazy podskoczyły do mniej więcej pięciu tysięcy euro, a mowa o mniejszych formatach. Patrick, my mamy dziewiętnaście obrazów Brendy. O mój Boże, wszystko będzie w porządku.

- Dziewiętnaście razy pięć to dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy euro! I naprawdę zgodzisz się je sprzedać? A co, jeśli trzeba będzie sprzedać każdy z nich? Bo wiesz, wszystko zależy od tego, ile dostaniemy... Choć nieswojo się czuję, prosząc cię o to, Miriam. Ta kolekcja tak wiele dla ciebie znaczy.

- Oczywiście, ale ty jesteś dla mnie ważniejszy. Zupełnie nic do ciebie nie trafia, ty wariacie! Niech Bóg mi pomoże! Gdybym miała dość rozumu w głowie, zerwałabym je ze ściany i uciekła, żeby nigdy tu nie wrócić. Ale teraz musimy zachowywać się logicznie. Obrazy są wiele warte, a my potrzebujemy dużo pieniędzy. Możemy jeden albo dwa zatrzymać jako inwestycję, zresztą i tak nie powinniśmy

wszystkich sprzedawać na raz. A co tam, możemy o radę zapytać Brendę i Seana.

Niewykluczone, że pomogą nam urządzić kolejną wystawę.

- Chwała niech będzie Panu. Chyba zaraz dostanę ataku...

- Nie dostaniesz, a my jesteśmy uratowani. Teraz możemy zająć się tobą.

- Co masz na myśli? Muszę odpocząć, tego mi teraz potrzeba.

- O nie, w żadnym razie! Koniec z atakami paniki i odpoczywaniem, szanowny panie. Zawlokę cię do świata żywych, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię. Natychmiast wkładaj kapelusz i płaszcz.

- Miriam, błagam!

- Nie sprzeczasz się ze mną. Te uniki do niczego cię nie doprowadzą, kochanie.

Od dzisiaj musisz stawiać czoło rzeczywistości. Musisz się postarać dla mojego i swojego dobra. Jeśli Ethan Reilly wykazał się hartem i zaryzykował życie, żeby cię uratować z pożaru, ty przynajmniej mógłbyś się postarać i wrócić do normalności. Nie proszę cię, żebyś poszedł na policję i przyznał się do podpalenia. Nie proszę, żebyś stanął przed sądem. Co się stało, to się nie odstanie, a ja w żadnym razie nie chcę zostać bez dachu nad głową. Na pewno zabraliby nam dom. Nie wspominam już o kartach kredytowych. Firma ubezpieczeniowa wzięłaby dom i musielibyśmy sprzedać moją kolekcję, żeby spłacić karty kredytowe, a wtedy zostalibyśmy bez grosza przy duszy. Nasze nazwisko zostałoby unurzane w błocie. Co więcej, mógłbyś wylądować za kratkami.

- Mój Boże, nigdy o tym nie pomyślałem! Nie mogę iść do więzienia, Miriam, nie mogę. Tego najbardziej się boję. Oszalałbym w dziesięć minut, to pewne - powiedział Patrick z twarzą białą ze strachu.

- No cóż, nie pójdziesz do więzienia, jeśli będziemy trzymać język za zębami. Ale coś ci powiem! Damy Ethanowi Reilly'emu to, co nam zostanie po spłaceniu kredytu, przysięgam. A teraz zbieraj się. Pójdziemy do Aurory na kawę, żeby uczcić nasze cudowne ocalenie od przytułku dla nędzarzy. Zostaniemy tam pół godziny, ani sekundy mniej. Od dzisiaj rozpoczynamy terapię wstrząsową.

- Nie ma mowy, dzisiaj nie wychylę nosa za próg - oznajmił Patrick stanowczo, przysiadając na wygodnej białej kanapie.

- Ale obiecałeś, że naprawdę spróbujesz, Patrick - powiedziała Miriam łagodnie. - Obiecałeś, że tym razem się postarasz.

- Tak, i zrobię to. Ale dzisiaj zostaję w domu nie z powodu swojej fobii. Chodzi o obrazy. Nie spuszczę ich z oka, dopóki nie zostaną sprzedane, a przynajmniej zmagazynowane w bezpiecznym miejscu. Bo wiesz, one nie są nawet ubezpieczone...

Rozdział 30

Codziennie piszę książkę

Był pierwszy dzień maja. Aurora przez całe rano chodziła podenerwowana. Kilka dni wcześniej umieściła w witrynie Ostatniego Rozdziału zawiadomienie o inauguracyjnym spotkaniu jej nowego, lepszego klubu książki w Redstone. Ostatnimi czasy księgarnia nieźle sobie radziła, a Aurora wprowadziła dodatkowo nietypowe kartki z życzeniami. Miała około pięćdziesięciu klientów, których znała z imienia. Liczyła, że w najgorszym razie dziesięcioro z nich pojawi się dzisiaj po południu. Przy trzech stolikach w części kawiarnianej mieściło się dwanaście osób, cztery mogły usiąść na wysokich stołkach przy kontuarze. A jeśli zajdzie potrzeba, następny tuzin jakoś się upcha w księgarni. Aurora postawiła wielką misę ze słodyczami przy kasie, zaparzyła kawę i obok ekspresu dała plastikowe kubki. Postanowiła, że nie będzie żadnych oficjalnych kart członkowskich ani głupiego podwyższenia, na którym miałyby stać. No i oczywiście żadnych złudzeń co do wielkości. Ten klub książki dotyczyć będzie wyłącznie przyjaźni i literatury, niczego więcej. Nieco stłumiła światła, tak na wypadek, gdyby któryś z potencjalnych uczestników był wyjątkowo nieśmiały, i czekała. Pomalowana na zielono księgarnia nigdy nie wyglądała bardziej zapraszająco.

Sama Aurora także wyglądała inaczej. Lekko się umalowała, by uczcić okazję. Gemma namówiła ją, by ostrzygła długie włosy i ufarbowała na ciepły miodowy blond. Staroświeckie spódnice i buty ustąpiły miejsca szerokim spodniom, modnym butom na koturnie i obcisłemu golfowi. A co tam, nawet usta pociągnęła jaskrawoczerwoną szminką. Trudno było w niej rozpoznać dawną Aurorę. Po raz

dziesiąty tego poranka wytarła kontuar i szybę oraz sprawdziła, czy w toalecie jest papier i mydło. Choć wcześniej zdążyła już to sprawdzić dziesięć razy.

O pierwszej pojawili się pierwsi ciekawscy potencjalni uczestnicy; jedni wchodzili do środka, inni krążyli po ulicy, przez szyby przeprowadzając rekonesans. Przyszły Gemma i Victoria, Miriam z Patrickiem (co prawda Patrick zajął pozycję przy drzwiach i bez przerwy zerkał na zegarek, ale przynajmniej był w środku, a to najważniejsze), a także Sara i Ethan, chociaż Ethan od razu uprzedził, że ma przerwę w pracy i niedługo musi wracać do warsztatu. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Aurora naliczyła piętnaście osób (cudownie!) i spotkanie zostało uznane za otwarte. Kawę i słodczyce powitały oklaski, a potem Aurora przemówiła krótko zza lady. Ogłosiła listę sugerowanych lektur z obniżkami na poszczególne tytuły i zaproponowała wybór książki, którą przeczytają na następny tydzień.

Podczas głosowania pomiędzy zebranymi nawiązały się rozmowy, a kiedy Aurora już miała odczytać rozdział wybrany do dyskusji, drzwi księgarni otworzyły się i w progu stanął... David Cropper we własnej osobie.

W pełnym stroju wiktoriańskiego dandysa. Wcięty w talii czarny surdut, biała lniana koszula, krawat z białego jedwabiu. Włosy starannie ułożone, buty lśniące jak czarne szkło. W lewej dłoni trzymał laskę ze srebrną główką. Wszedł do środka uśmiechnięty od ucha do ucha i uklonił się, wdzięcznie machając dłonią.

W tej samej chwili zorientował się, że tylko on jest w kostiumie.

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

- O rety - powiedział. - A mnie dano do zrozumienia, że Paczka Bronte powstała z martwych. Jak widzę, myliłem się?

Nikt mu nie odpowiedział.

David jeszcze nie zarejestrował Aurory z jej nową fryzurą.

Aurorę tymczasem sparaliżowały w równej mierze pożądanie i wściekłość. Och, pomyślała tęsknie, David wygląda zachwycająco w tym surducie. Udoskonalił nawet szybki, lekki krok. Gdyby była sama w księgarni, pewnie uległaby pokusie. Zrzuciłaby misę ze słodczymi z kontuaru i zdarła z Davida spodnie. Ale nie była sama. Otaczał ją nowy zastęp moli książkowych, a nie miała zamiaru po raz drugi stać się pośmiewiskiem.

- Pozwólcie, że przedstawię, to mój przyjaciel David Cropper - zaczęła. Zebrani powiedli wzrokiem od niej do nowo przybyłego i z powrotem. - Możecie przez chwilę zająć się rozmową? Dziękuję.

David przepchnął się między stołami i krzesłami.

- Auroro? Kochanie, coś ty zrobiła z włosami? - powiedział cicho, marszcząc czoło z rozczarowania. - I umalowałaś się? Co tu się dzieje?

- Dojdziemy do tego, Davidzie. Najpierw powiedz mi, jak dowiedziałeś się o nowym klubie książki?

- Widziałem ogłoszenie w Internecie.

- Nie ogłaszałam się w Internecie.

- No cóż, ktoś wspomniał o tym w tygodniowym blogu poświęconym Redstone - przyznał David z nutką zakłopotania w głosie.

- Sprawdzasz Redstone w Google'u?

- Powiedzmy, że od czasu do czasu wrzucam nazwę do wyszukiwarki.

- Och, Davidzie, po co to robisz?

- Ponieważ cię kocham - odparł, chyląc głowę w ukłonie. Zebrani nastawiali uszu, usiłując złapać każde słowo. I kto powiedział, że kluby książki są nudne?

- Dobrze, dość wygłupów - powiedziała Aurora, po czym głośno odkaslnęła. - Prowadzę klub książki. Proszę cię, Davidzie, wyjdź natychmiast, w przeciwnym razie znajdę jakiś sposób na ukaranie cię za to, że wtargnąłeś bez zaproszenia.

- Nigdzie nie pójde - oznajmił uprzejmie, zajmując pozycję koło kasy.

- W porządku, sam się o to prosiłeś - szepnęła.

Odwróciła się do uczestników spotkania i wygłosiła ważne oświadczenie.

- Mój uczony przyjaciel uprzejmie zaproponował, że zastąpi mnie i sam odczyta wskazany fragment. - Klasnęła w dłonie. David poczerwieniał. Aurora pomyślała, że teraz wypadnie za drzwi jak błyskawica. Bo przecież nie zostanie w Ostatnim Rozdziale, żeby czytać na głos grupce gospodyń domowych i farmerów w puchowych kurtkach i džinsach?

Bardzo się jednak myliła. David nie ruszył się z miejsca i z całą pewnością nie zamierzał tak łatwo przerywać ich ponownego spotkania.

- Ehm - zawahał się. - Doskonale. Dzień dobry, panie i panowie. Mam tu przy sobie wybór poezji lorda...

- Och nie, ja już wybrałam odpowiedni fragment, bardzo ci dziękuję. Proponuję „Niebezpieczny pocałunek” Jackie Collins. Czyta mój drogi przyjaciel, pan David Cropper. Zaczynaj, Davidzie.

W księgarni rozległy się oklaski. Były zaskakująco głośne.

Aurora wręczyła Davidowi „Niebezpieczny pocałunek” i usiadła za kontuarem. Nalała sobie kawy, mrugając do Davida. Ubawię się setnie, pomyślała, naprawdę setnie! Twarz Davida spurpurowiała ze wstydu i upokorzenia. Aurora już chichotała pod nosem.

Rozdział 31

Polegaj na przyjaciółach

Wreszcie nadszedł czerwiec. Lato przybyło do Redstone i reszty kraju, wysuszając niezliczone plamy pleśni i wilgoci, które powstały w zakamarkach domów podczas długich zimowych miesięcy. Wysoko na niebie świeciło słońce. Taki dzień, by nawet jeden obłoczek nie przesłaniał złotej, pulsującej żarem tarczy, rzadko zdarzał się w Irlandii. Z Galway i okolicznych miasteczek przy wtórze klaksonów zjeżdżali się ludzie, by na plaży urządzić sobie piknik na kraciastych pledach. Dzieci budowały zamki z piasku, sprzedawcy lodów i kioskarze wyrabiali nadgodziny. Wzdłuż nadbrzeżnej drogi wystawiano szyldy przed świeżo pomalowanymi na pastelowe kolory pensjonatami. A Sara wyprowadzała się z Różanej Chaty akurat wtedy, gdy róże na tylnym podwórku zaczynały kwitnąć.

Postanowiła, że przyjmie szczerą propozycję Ethana i przeprowadzi się do jego małego domu z widokiem na zatokę. Domek naprawdę był mały, miał dwie sypialnie, miniaturowe okna i salon, w którym mieściła się tylko dwuosobowa sofa. Obecnie był pusty, ale Sara wiedziała, że może dokonać w nim cudów dzięki zebranych przez lata przedmiotom, zmagazynowanym w jej pokoju w Islington. Ethan powiedział, że dom potrzebuje kobiecej ręki. Sara odparła, że chętnie podejmie

wyzwanie. To była tylko lekka wymiana zdań i sprawa została załatwiona. Nie padły poważne deklaracje o miłości, małżeństwie i dzieciach. Oboje wiedzieli, że te rzeczy przyjdą z czasem. Zresztą miłość już się pojawiła.

Sara już spędziła kilka nocy w sosnowym podwójnym łóżku Ethana. Spała w jego ramionach, słuchała jego spokojnego oddechu, który mieszał się z szumem fal bijących o skały. Ethan dał jej klucz do domu; przypięła go do swojego zielonego breloczka. W Różanej Chacie nie zdążyli przesunąć łóżka Sary pod okno widokowe, ale to nic, z sypialni Ethana rozciągał się przepiękny widok na morze.

Dzisiaj wieczorem urządzali przyjęcie na pożegnanie różowego domku, ponieważ następny lokator już wkrótce miał się wprowadzić i Sara musiała oddać pani Casey wielki brązowy klucz do Różanej Chaty.

- Dać ten lód do miski? - zapytał Ethan, który wrócił ze sklepu z sześcioma opakowaniami kostek lodu w termicznej torbie.

- Tak, bo do lodówki się nie zmieści. Boże, mam nadzieję, że to przyjęcie się uda. W życiu tak się nie denerwowałam.

- Będzie dobrze - zapewnił ją, uśmiechając się szerzej niż zwykle. - Mówiłem ci, my tutaj jesteśmy na luzie. Sami dobrze będziemy się bawić, nie przejmuj się.

- Lepiej tego pokoju nie mogliśmy przystroić - powiedziała Sara, spoglądając na niebieskie i białe wstęgi pod sufitem, na bukiety irysów i słoneczników w słojach i puszkach rozstawionych na parapetach oraz na stolik uginający się pod przekąskami. Niektóre sama zrobiła, bardziej wymyślne przyrządziła Miriam, a Patrick wcześniej przywiózł je samochodem.

Sara miała na sobie czarne błyszczące spodnie i prostą czerwoną kamizelkę. Włosy uczesała w koński ogon. Zdążyła jeszcze sprawdzić makijaż w lustrze i goście zaczęli napływać.

Pierwsze przyszły Gemma i Victoria. Gemma wyglądała uwodzicielsko w obcisłej czarnej sukience, szpilkach, z małą różą wpiętą w grzywkę sczesaną do tyłu. Victoria ubrała się w spłowiałe niebieskie dzinsy i bolerko z cekinami. Wyprostowane loki błyszczały od odżywki. Dziewczyna przytyła kilka kilogramów i z jej twarzy zniknął wreszcie wyraz udręczenia. Przyniosły Sarze po

butelce dobrego białego wina i wielkim pudełku czekoladek, po czym przywitały się z Ethanem.

- Ojej, obie wyglądacie fantastycznie! - zawołała Sara, po czym z żartobliwą naganą w głosie dodała: - Przyćmiłyście mnie kompletnie.

- Przestań, wyglądasz olśniewająco! - roześmiała się Gemma. - Przy twoim wzroście we wszystkim ci do twarzy. A ta czerwona szminka bardzo ci pasuje.

- Och, dzięki. Bardzo się cieszę, że przyszłyście.

- Spróbowałabyś nas powstrzymać. Wiesz, jesteśmy trochę wcześniej, Saro, bo przydarzyło mi się coś niezwykłego. Zaproponowano mi pracę w wielkim czasopiśmie.

- No nie! W którym?

Gemma wyjęła z torebki ostatni numer i podała Sarze. Było to jedno z ogólnokrajowych angielskich czasopism, grube na trzy centymetry i z wyglądu bardzo kosztowne.

Sara wpatrywała się w magazyn z dobroduszną zazdrością.

- Gratulacje! Ty cholero!

- Cudowne, prawda? - roześmiała się Gemma. - Będę miała tylko dla siebie cztery pełne strony co miesiąc, mogę pisać, co zechcę. A pieniądze są fantastyczne. Może nawet rzucę pisanie powieści, jeśli to się uda. Książki to jednak ciężka praca! Redakcja daje mi też skromny fundusz na wydatki. Oraz różne gratisy. To, czego nie chce redaktor naczelny, rozdziela się pomiędzy innych redaktorów, ludzi prowadzących kolumny i tak dalej.

- Och, Gemmo, tak się cieszę. - Sara mocno uściskała przyjaciółkę. - Gratulacje! Świetna robota!

- Nie uwierzysz, skąd ta oferta - zachichotała Gemma.

- Skąd?

- Dzięki Mike'owi! Z mojej dawnej gazety! Podał moje nazwisko redaktorowi i powiedział, że jestem o wiele za dobra dla jego tabloidu. Czy to nie cud? A zrobił to po tym, co mu nagadałam w dzień, kiedy jechałyśmy do Nowego Jorku. Wczoraj byłam w szoku, a potem posłałam mu kwiaty. W sumie całkiem porządny z niego gość. Spotkał tamtego redaktora na kolacji w Dublinie.

- To rewelacyjna wiadomość, Gemmo. Zaslugujesz na to, naprawdę. A Mike bardzo przyzwoicie się zachował - powiedziała Sara, nalewając Gemmie i Victorii po odrobinie wina. (Obie były neofitkami w zakonie zdrowej żywności.) Potem Gemma wciągnęła Sarę do kuchni i powiedziała, że na randkę chciał się z nią umówić jeden z pracowników redakcji, z którym rozmawiała przez telefon.

- Był uroczy, Saro, po prostu uroczy - oznajmiła Gemma radośnie.

- I co mu odpowiedziałaś?

- Że to niemożliwe.

- Gemmo!

- Powiedziałam, że muszę teraz spędzać czas z córką. Bo wiesz, Saro, ona będzie ze mną tylko przez rok albo dwa, później znowu wyruszy w świat. Tym razem przypuszczalnie na dobre. Myślę, że dostała solidną nauczkę i wyciągnęła wnioski. Jeśli znowu wpadnie w kłopoty, to nie będzie jej wina. Biedactwo. Tak bardzo ją kocham... Chcę spędzić z nią każdą wolną minutę, żeby potem niczego nie żałować, kiedy wyfrunie z gniazda.

- Jesteś rewelacyjną matką, Gemmo. Ale nie rezygnuj całkowicie z własnego życia - powiedziała z namysłem Sara.

- Nie zamierzam - odparła Gemma, chowając czasopismo do torby. - To tylko tymczasowa przerwa. A najlepsze jest to, że jeśli będę musiała jechać do Londynu, mogę wsiąść na prom, a potem do pociągu.

Do kuchni weszła Victoria, szukając widelca, bo miała ochotę na sernik, i rozmowa o potencjalnym romansie się urwała. Usłyszały trzask otwieranych drzwi i do pokoju nieśmiało wkroczyli Aurora i David. Wyglądali bardzo dziwnie w normalnych, współczesnych strojach, David w szerokich beżowych spodniach i brązowym swetrze, Aurora w dopasowanej białej letniej sukience i butach bez pięty. Przynieśli wielki koszyk truskawek i słoik śmietanki.

- Bardzo wam dziękuję - powiedziała Sara.

Przyjaciółkę uścisnęła na przywitanie, Davidowi oficjalnie podała dłoń. Nie byli jeszcze na etapie familiarnych całusów, ponieważ David wciąż pracował w Belfaście i do Redstone przyjeżdżał tylko na weekendy. Aurorze to odpowiadało; mówiła, że David wciąż jest „na okresie próbnym”.

- Wyglądacie ślicznie - zaświergotała Gemma, wciąż w euforii z powodu nowej pracy.

- Och, ujdziemy w tłoku - roześmiała się Aurora. - Jeszcze się nie przyzwyczaiałam do tej nowej fryzury. O wiele więcej z nią kłopotu niż z kokiem. Ale podoba mi się.

- Naprawdę ci w niej do twarzy - automatycznie odparły wszystkie kobiety. Aurora skromnie wzruszyła ramionami.

Nie ma potrzeby mówić im, że jeszcze nie zdążyła wyrzucić gorsetu i czepka. I że niedługo, kiedy poczuje ochotę, pewnie znowu je włoży. Ale tym razem wyłącznie dla Davida... Miała wyrzuty sumienia, że zamierza w łóżku nosić symbole niewieściej opresji. Z drugiej zaś strony ten jego surdut naprawdę ją kręcił.

Następni do drzwi zapukali Miriam i Patrick - Miriam wystrojona jak choinka w zieloną suknię i czerwony połyskliwy szal, buty, torebkę i bransoletki, które dźwięczały na obu jej rękach. Patrick wciąż czuł się skępowany na przyjęciach, ale znaleźli mu miejsce obok drzwi i zapewnili, że naturalnie może wrócić wcześniej do domu, choć bardzo by się cieszyli, gdyby został z nimi do końca. O ile oczywiście da radę. Patrick odparł, że spróbuje, po czym posłał całusa żonie, która okręciła się, prezentując nową kreację.

- Jak poszła sprzedaż? - zapytała Sara.

- A nie widać? Sprzedaliśmy dziesięć obrazów! - odparła Miriam z oczami błyszczącymi zachwytem.

- Więc problem rozwiązany. - Sara wstrzymała dech.

- Tak. Brenda powiedziała, żeby nie wystawiać całej kolekcji na sprzedaż, bo to może zdestabilizować rynek, więc daliśmy dziesięć do tej galerii w Dublinie.

Wszystkie sprzedano pierwszego dnia. Spłaciliśmy długi i jest dobrze.

- Och, Miriam, to doskonała wiadomość - westchnęła Gemma. Od lat modliła się, żeby Miriam i Patrick jakoś rozwiązali swoje problemy.

- O tak. Ja dostałam posadę w sklepie, a Patrick przez dwa dni w tygodniu będzie pracował w tym centrum ogrodniczym pod Galway, prawda, Patricku?

Potaknął nieśmiało. W każdym razie zamierzał spróbować.

- Przyjęli cię do sklepu? - zapytała Sara.

- Powiedzieli, że ty zmieniałaś zdanie - odparła Miriam. - W przeciwnym razie nigdy bym się nie zgodziła. Ale zapewniali mnie, że zrezygnowałaś. Och, tylko nie mów, że wyjeżdżasz, Saro? Dlatego jest to przyjęcie?

- Nie wyjeżdżam. Rzecz w tym, że też mam wam coś do zakomunikowania! Wydadzą mój kalendarz z nadmorskimi krajobrazami! - powiedziała Sara bez tchu.

- Hura! - wykrzyknęli wszyscy, a Ethan otworzył butelkę szampana.

- Saro, powinnaś nam była wcześniej powiedzieć. - Gemma pogroziła jej z wyrzutem palcem.

- Dowiedziałam się dopiero dwa dni temu. Na początku w głowie mi się to nie mieściło. Ale w nadchodzącym roku mają zamiar wydać wielki kalendarz z moimi zdjęciami oraz wspomnieniami sławnych ludzi o wakacjach z dzieciństwa. Pieniądze nie są rewelacyjne, choć wcale nie takie złe. No i dojdą honoraria, jeśli kalendarz będzie się dobrze sprzedawał. A najlepsze jest to, że przez jakiś czas mogę być wolnym strzelcem. Zrobię też kilka sesji dla mojego dawnego czasopisma, bo obecny fotograf wziął urlop bezpłatny. Podejrzewam, że ta robota dość szybko przestała być dla niego atrakcyjna.

- Wszystkie te wiadomości są cudowne, prawda? - powiedziała Aurora. - Musisz dać mi nazwę tego wydawnictwa. Chcę jako pierwsza zamówić dostawę kalendarzy do Redstone! Zrobię z tej okazji specjalną wystawę.

Potem drzwi znowu się otworzyły i do salonu weszła pani Casey z czterema córkami i ich rodzinami, wszyscy koledzy Ethana z warsztatu, a także dziewczyny ze smażalni, z którymi teraz Sara była po imieniu. Ethan włączył przenośne stereo i impreza nabrała rozpędu. Pod koniec wieczoru Miriam próbowała skłonić Ethana, by przyjął czek od niej i Patricka. Chcieli w ten sposób podziękować mu za to, co zrobił dziesięć lat temu. Ale Ethan nie chciał o tym słyszeć.

- Powiedziałem wtedy Patrickowi, że nie oczekuję zapłaty. To nie jego wina, że się poparzyłem. Kazał mi wyjść, ratować siebie. Ale przecież nie mogłem go zostawić, prawda? Zrobiłbym to dla każdego, Miriam, więc bardzo dziękuję, ale nie wezmę tego czeku.

- Przewidywałam, że to powiesz - uśmiechnęła się Miriam. - Patrick mnie uprzedzał, że tak będzie. Może więc weźmiesz choć ten obraz? Bardzo proszę. Jest

mały, najmniejszy z naszej kolekcji, aczkolwiek zabawnym zbiegiem okoliczności dla mnie zawsze był najważniejszy. Patrick i ja wyjaśniliśmy sobie sporo i oboje jesteśmy ci bardzo wdzięczni za to poświęcenie. Chcę, żebyś wziął obraz. Przymierzam, nigdy więcej nie będziemy o tym mówić. Czas najwyższy, żeby tę sprawę zostawić za sobą.

Podowała mu płótno. Ethan wziął je i podziękował.

- Śliczny, prawda? - powiedziała Miriam. - Nosi tytuł „Ptaki morskie”.

Rozdział 32

Miłość ma cudowny kolor

Rano w dzień ślubu ktoś zadzwonił do drzwi. Podekscytowana Abigail pobiegła je otworzyć, spodziewała się bowiem, że to posłaniec z bukietem. Ale to jeszcze nie był bukiet, tylko mała paczka, której odbiór musiała pokwitować. Kartonowe pudełko owinięte w gruby brązowy papier i związane staroświeckim białym sznurkiem. Abigail przyglądała mu się zaintrygowana. Paczkę nadano w Irlandii. Kto mógł przysłać jej ślubny prezent z Irlandii? Tylko Sara. Tak, na odwrocie widniało jej nazwisko.

Abigail niewielu osobom powiedziała o ślubie, tylko niektórym dziewczynom. Eliza przysłała śliczne papucie. Nie mogła przyjechać, ponieważ była w Nowym Jorku, gdzie przygotowywała sesję zdjęciową dla czasopisma. Młody aktor Nigel jakiś tam, aktualnie temat numer jeden w mediach, dostał rolę w filmie, którego akcja toczyła się w piekarni, a zadaniem Elizy było obsypanie go mąką i zrobienie czarno-białych zdjęć, przedstawiających go leżącego na kontuarze i odzianego wyłącznie w fartuch...

Abigail zaniósła paczkę do kuchni, żeby przeciąć sznurek nożyczkami.

- Od kogo to dostałaś? - zapytała Millicent, dając psom karmę i wodę.

Po ślubie przeprowadzała się do jednej z nowo odremontowanych chat na skraju wioski. Powtarzała, że nie może się doczekać, kiedy będzie mogła poleżeć brzuchem do góry. I właściwie była to prawda. Przed wszystkim jednak chodziło jej o to, by syn i jego żona mieli przestrzeń dla siebie i dla bliźniaków. Naturalnie jeszcze

nie teraz, Abigail była dopiero w trzecim miesiącu. Ale tak czy owak teraz panią domu stała się Abigail, a Millicent z radością ustępowała, by szczęśliwa para mogła swobodnie odetchnąć. Poza tym odremontowane chaty były rewelacyjne! Wyposażone w najnowsze ulepszenia. I co najważniejsze, w zimie będzie w nich ciepło jak w uchu. Och, co za radość budzić się rano i stawiać stopy na puszystym dywanie, a nie na zimnych deskach. No i za sąsiada będę miała ojca Donalę, pomyślała zadowolona. Rodziciel zmarłego ukochanego Abigail też był wdowcem. Abigail zaproponowała, że wynajmie mu chatę, a on natychmiast się zgodził. W zeszłym tygodniu przeprowadził się z Londynu. Powiedział, że to urzeczywistnienie jego marzeń, bo zawsze kochał Szkocję. Oczywiście będzie na ślubie. Może na przyjęciu zaprosi Millicent do tańca...

- To paczka od Sary.

Abigail odwinęła papier i teraz wyjmowała z paczki coś małego i płaskiego, otulonego w bibułkę.

- Och, to chyba rama na obraz - powiedziała Millicent; ucieszyła się, że Sara przysłała prezent.

- No nie wiem, to jest za lekkie na ramę - odparła Abigail. - Zaraz, to chyba obraz. Tak, to obraz! Przedstawia dwa ptaki nad morzem. Popatrz, Millicent, piękny, prawda?

- Śliczny obrazek. Jakie to miłe ze strony Sary! Co za uroczy gest.

- Wiem. Obraz namalowała Brenda Brown. Chyba ostatnio stała się sławna. Mieszka w Redstone. Mam nadzieję, że Sara nie wydała za dużo pieniędzy na ten obraz... Och, jest też list.

Droga Abigail,

Z tym obrazem łączy się długa historia, a ja nie mogę jej opowiedzieć ani teraz, ani nigdy. Powiem tylko, że podarowano go mojemu najdroższemu przyjacielowi Ethanowi w dowód wdzięczności za przysługę, którą wyświadczył wiele lat temu. A Ethan dał go mnie. Bo wiesz, jesteśmy parą! Teraz ja daję go Wam obojgu w prezencie ślubnym. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że będę za Tobą tęskniła, bo jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką w życiu miałam. Zamierzam pozostać w Redstone i mam zlecenia na sesje fotograficzne, więc jednak nie będę musiała sprzedawać lodów - pamiętasz, jak na ten temat żartowałam! Mam nadzieję, że dzisiejszy dzień jest dla

*Ciebie cudowny, Abigail, i że z Mackenziem przeżyjecie wiele, wiele szczęśliwych lat.
Zawsze będę Was kochać.*

Niech Was Bóg błogosławi. Sara.

- To bardzo miło z jej strony, prawda? - Millicent wytarła łzę z kącika oka.

- O tak - odparła Abigail.

To był list pożegnalny, wiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy Sary. Miała ochotę się rozplakać, ale w żadnym razie nie mogła tego zrobić. Zrujnowałyby sobie makijaż, a przecież Mackenzie już czekał na nią w kościele. Nie miała czasu na malowanie się od nowa.

Znowu rozległ się dzwonek do drzwi. Tym razem otworzyła Millicent.

- Przynieśli kwiaty! - zawołała. - I przyjechał samochód. Jesteś gotowa?

- Już idę - odparła Abigail, przez kilka cennych sekund przypatrując się obrazowi. Dwa morskie ptaki krążące wokół siebie po niebieskim, lekko zamglonym niebie. Każdy piękny, ale jakimś sposobem jeszcze piękniejsze razem, rozcinały skrzydłami bawełniane chmury, tworząc idealny krąg. - Już idę - powtórzyła. Miała nadzieję, że suknia z czerwonego aksamitu nie okaże się przesadą w Glenallon. Zawinęła obraz w bibułę i z szacunkiem położyła na kuchennym stole. Po powrocie z kościoła postanowi, gdzie go zawiesi. Nie wybierali się w podróż poślubną, woleli nie szaleć ze względu na ciążę.

- Abigail? - Millicent zaczynała się niepokoić, bo czas mijał. - Nie chcę cię ponaglać, ale nie powinnyśmy kazać czekać Mackenziemu. Jesteś gotowa?

Abigail wzięła szal wiszący na krześle i zarzuciła na ramiona.

- Żegnaj, Saro, dziękuję i życzę ci szczęścia - powiedziała, po raz ostatni przekraczając próg Ostowego Puchu jako panna.

